Bestsellerowy cykl autorki największego światowego przeboju literatury erotycznej ostatniego roku – serii Ten Mężczyzna

Numer 1 empik.com

Ta Noc

uczyniła przyjemność obsesją...

Tom 5

Przysięga

Jodi Ellen Malpas

AMBER

Ta Noc Tom 5
Przysięga

Jodi Ellen Malpas

Przekład
KAROLINA POST-PAŚKO
MARTA CZUB

AMBER

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
One Night: Unveiled

Copyright © 2015 by Jodi Ellen Malpas.
This edition published by arrangement with Forever,
New York, New York, USA.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5437-1

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. (22) 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

Mojej wspólniczce.
Niektórzy ludzie stają się częścią naszego życia.
Ona zawsze będzie częścią mojego.
Katie Fanny Cooke,
dziękuję Ci za twoją obecność każdego dnia.
Dziękuję, że pozwalasz mi być sobą
i kochasz mnie za to, kim jestem.
Dziękuję, że wiesz, kiedy potrzebuję być sama,
a kiedy potrzebuję wyrzucić wszystko z siebie.
Dziękuję, że czytasz we mnie jak w otwartej księdze.
Dziękuję Ci… za wszystko.

Prolog

William Anderson już ponad godzinę siedział w swoim lexusie na rogu znajomej uliczki. Całą cholerną godzinę i wciąż nie znalazł w sobie dość siły, żeby wysiąść z samochodu. Przez wszystkie te bolesne sekundy wpatrywał się w stary wiktoriański dom stojący w szeregu na tej ulicy. Unikał tej części miasta od ponad dwudziestu lat z jednym wyjątkiem. Żeby odwieźć ją do domu.

Ale teraz musiał stawić czoło swojej przeszłości. Musiał wysiąść z samochodu. Musiał zapukać do drzwi. I czuł lęk.

Nie miał innego wyjścia, choć rozpaczliwie próbował je znaleźć. Nic nie przychodziło mu do głowy.

– Czas wypić piwo, którego nawarzyłeś, Will – szepnął sam do siebie, wysiadając z samochodu. Zamknął cicho drzwi i ruszył w stronę domu, zły, że nie potrafi zapanować nad przyspieszonym biciem serca. Tłukło mu się w piersi tak mocno, że czuł pulsowanie w uszach. Z każdym kolejnym krokiem jej twarz stawała się coraz wyraźniejsza, aż w końcu zacisnął z bólu powieki.

– Bądź przeklęta, kobieto – mruknął, wzdrygając się.

Znalazł się przed frontowymi drzwiami znacznie szybciej, niżby chciał. Zbyt wiele przykrych wspomnień atakowało jego biedny umysł. Czuł się słaby. Nie było to uczucie, którego William Anderson często doświadczał, ponieważ sam tego pilnował. Po niej cholernie tego pilnował.

Odrzucił głowę do tyłu i zamknął na chwilę oczy, biorąc najgłębszy oddech w swoim życiu. A potem uniósł drżącą dłoń i zapukał do drzwi. Puls przyspieszył mu na dźwięk kroków, prawie przestał oddychać, gdy drzwi otworzyły się na oścież.

Nic się nie zmieniła, ale teraz musiała mieć… ile? Osiemdziesiąt lat? Minęło już tyle czasu? Nie wyglądała wcale na zaskoczoną, a on nie był pewien, czy to dobrze, czy źle. Oceni to, gdy już stąd wyjdzie. Mieli wiele spraw do omówienia.

Uniosła spokojnie siwe już brwi, a gdy zaczęła kręcić głową, William uśmiechnął się blado. Był to nerwowy uśmiech. Trząsł się ze strachu.

– Patrzcie no, kogo tu przyniosło – westchnęła.

Rozdział 1

Tu jest idealnie. Ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby mojego umysłu nie zatruwały niepokój, lęk i dezorientacja.

Przewracam się na plecy w podwójnym łóżku i spoglądam w okna dachowe wbudowane w sklepiony sufit naszego hotelowego apartamentu, w których widzę miękkie, puchate obłoki na jasnobłękitnym niebie. Widzę też sięgające nieba wieżowce. Wstrzymuję oddech i wsłuchuję się w znajome dźwięki nowojorskiego poranka – pisk klaksonów, gwizdy i cały ten miejski zgiełk słychać aż na dwunastym piętrze. Otaczają nas przeszklone drapacze chmur, przez co nasz budynek sprawia wrażenie zagubionego w dżungli ze szkła i betonu. Nasze otoczenie jest niewiarygodne, ale to nie ono sprawia, że jest tu prawie idealnie. To mężczyzna leżący obok mnie na ogromnym sprężystym łóżku. Jestem pewna, że łóżka w Ameryce są większe. W Ameryce wszystko wydaje się większe – budynki, samochody, osobowości… moja miłość do Millera Harta.

Jesteśmy tu już od dwóch tygodni i straszliwie tęsknię za babcią, chociaż rozmawiamy ze sobą codziennie. Daliśmy się pochłonąć temu miastu i nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko zanurzyć się w sobie nawzajem.

Mój doskonale niedoskonały mężczyzna rozluźnił się tutaj. Wciąż zdarzają mu się skrajne zachowania, ale to jestem w stanie przeżyć. To dziwne, ale wiele jego natręctw nabrało w moich oczach uroku. Teraz mogę to powiedzieć. I mogę to powiedzieć jemu, nawet jeśli wciąż nie chce uznać faktu, że obsesje wciąż ograniczają większość obszarów jego życia. Łącznie ze mną.

W Nowym Jorku przynajmniej nikt nie zakłóca naszego spokoju, nikt nie próbuje odebrać mu jego najcenniejszego skarbu. Ja jestem jego najcenniejszym skarbem. I noszę ten tytuł z radością. To także brzemię, które jestem gotowa dźwigać. Ponieważ wiem, że azyl, jaki tu sobie stworzyliśmy, jest tymczasowy. Na horyzoncie naszej niemal idealnej egzystencji majaczy starcie ze światem mroku. I jestem na siebie zła, że wątpię, by starczyło mi sił do tej walki – sił, o których istnieniu Miller jest przekonany.

Lekkie poruszenie tuż obok ściąga mnie z powrotem do luksusowego apartamentu, który jest naszym domem od przyjazdu do Nowego Jorku. Uśmiecham się, gdy Miller z uroczym pomrukiem wtula nos w poduszkę. Czarne fale na jego cudownej głowie są zmierzwione, na szczęce widać cień szorstkiego zarostu. Wzdycha i na wpół śpiąc, maca ręką dookoła, aż jego dłoń odnajduje moją głowę, a palce moje rozwichrzone loki. Leżę nieruchomo z szerokim uśmiechem, wpatrując

się w jego twarz, gdy przeczesuje mi palcami włosy. To kolejny nawyk mojego doskonałego dżentelmena na niepełny etat. Bawi się moimi włosami całymi godzinami, nawet przez sen. Kilka razy obudziłam się z kołtunami we włosach, czasem z wplecionymi w nie palcami Millera, ale nigdy się nie skarżę. Potrzebuję kontaktu – jakiegokolwiek kontaktu z nim.

Powoli opuszczam powieki, ukojona jego dotykiem. Lecz mój spokój zakłócają wnet nieproszone wizje – łącznie z prześladującym mnie widokiem Gracie Taylor. Otwieram gwałtownie oczy i siadam na łóżku, krzywiąc się, gdy czuję szarpnięcie za włosy.

– Cholera – syczę, podejmując skomplikowaną próbę wyplątania z nich palców Millera. Stęka kilka razy, ale nie budzi się, więc odkładam mu dłoń na poduszkę, a potem przesuwam się delikatnie na skraj łóżka. Zerkam przez nagie ramię i widzę, że jest pogrążony w głębokim śnie. Mam nadzieję, że jego sny są spokojne i błogie. W odróżnieniu od moich.

Opuszczam stopy na pluszowy dywan, wstaję i przeciągam się z westchnieniem. Stoję obok łóżka i wyglądam niewidzącym wzrokiem przez wielkie okno. Czy to możliwe, że widziałam moją matkę po raz pierwszy od osiemnastu lat? Czy była to wyłącznie halucynacja wywołana stresem?

– Powiedz mi, co trapi ten twój piękny umysł. – Jego chrapliwy, zaspany głos wyrywa mnie z zadumy, a gdy się odwracam, leży na boku, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy pod policzkiem. Zmuszam się do nieszczerego uśmiechu i pozwalam, żeby Miller w całej swojej doskonałości pomógł mi zapomnieć o moich rozterkach.

– Bujałam w obłokach – mówię cicho, ignorując jego pełne powątpiewania spojrzenie. Zadręczam się, odkąd wsiedliśmy na pokład samolotu, raz po raz odgrywając w myślach tamtą chwilę, i Miller zauważył mój melancholijny nastrój. Nie próbował nakłonić mnie do zwierzeń, więc byłam pewna, że uznał, iż rozpamiętuję traumę, która zmusiła nas do ucieczki do Nowego Jorku. Miałby częściowo rację. Wiele spraw, sensacyjnych wieści i obrazów zaprzątało mój umysł, odkąd tu przybyliśmy, przez co wbrew sobie nie byłam w stanie docenić w pełni poświęcenia, z jakim Miller oddawał się wielbieniu mnie.

– Chodź tutaj – szepcze władczym tonem. Leży nieruchomo, nie zachęcając mnie żadnym gestem.

– Chciałam zrobić kawę. – Byłam niemądra, jeśli wydawało mi się, że uda mi się dłużej unikać jego pytań i troski.

– Nie będę prosił dwa razy. – Unosi się na łokciu i przekrzywia głowę w bok. Zaciska usta w wąską kreskę i świdruje mnie spojrzeniem przejrzystych błękitnych oczu. – Nie każ mi się powtarzać.

Z westchnieniem kręcę lekko głową i wślizguję się z powrotem do łóżka. Przyciskam się do jego torsu i próbuję znaleźć wygodną pozycję. Gdy leżę już wygodnie, obejmuje mnie ramionami i zanurza nos w moich włosach.

– Lepiej?

Kiwam głową i wbijam wzrok w jego muskulaturę, podczas gdy on błądzi rękami po całym moim ciele, oddychając głęboko. Wiem, że rozpaczliwie pragnie podnieść mnie na duchu. Ale nic z tego. Pozwolił mi na chwilę samotności, a ja wiem, że było to dla niego niewiarygodnie trudne. Za dużo myślę, wiem o tym, i Miller też to wie.

Wysuwa nos z moich ciepłych włosów i przez chwilę je układa. A potem wbija we mnie zatroskane niebieskie spojrzenie.

– Nigdy nie przestawaj mnie kochać, Olivio Taylor.

– Nigdy – obiecuję z poczuciem winy. Chcę go zapewnić, że nie powinien mieć żadnych wątpliwości co do tego, że go kocham. Absolutnie żadnych. – Nie myśl tyle. – Unoszę rękę i przesuwam kciukiem po jego pełnej dolnej wardze, patrząc, jak mruga leniwie, po czym łapie moją dłoń przy swoich ustach. Całuje mnie w jej środek.

– To działa w obie strony, moja cudowna dziewczyno. Nie mogę patrzeć, jak się smucisz.

– Mam ciebie. Nie mogę się smucić.

Uśmiecha się lekko i nachyla do przodu, żeby cmoknąć mnie w koniuszek nosa.

– Pozwolisz, że się nie zgodzę.

– Może pozwolę, a może nie, Millerze Hart.

Łapie mnie i wciąga na siebie, rozsuwając nogi, tak że leżę między nimi. Przyciska mi dłonie do policzków i wysuwa usta do przodu, tak że od moich warg dzielą je zaledwie milimetry, czuję na skórze jego gorący oddech. Nie potrafię zapanować nad reakcją mojego ciała. I nie chcę.

– Pozwól mi się skosztować – mruczy, zaglądając mi głęboko w oczy.

Wysuwam głowę, zderzając się z nim ustami, wdrapuję się na niego i siadam mu okrakiem na biodrach, tak że czuję pod pupą jego twardą, gorącą męskość. Mruczę mu w usta, wdzięczna za tę próbę odwrócenia mojej uwagi.

– Chyba jestem od ciebie uzależniona – mruczę, obejmując od tyłu jego głowę i ciągnę niecierpliwie, dopóki nie usiądzie. Oplatam go nogami w pasie, a on łapie mnie za pupę i przyciąga jeszcze bliżej. Nasze języki splatają się w niespiesznym, namiętnym tańcu.

– To dobrze. – Przerywa pocałunek i odsuwa mnie lekko do tyłu, a potem sięga na szafkę i bierze prezerwatywę. – Niedługo powinnaś dostać okres – zauważa, a ja kiwam głową, zabieram mu paczuszkę i rozdzieram opakowanie. Też nie mogę się już doczekać, aż zacznie mnie wielbić. – Świetnie. Wtedy będziemy mogli się ich pozbyć. – Znów mnie obejmuje, zakłada kondom, unosi mnie, a potem zaciska powieki i zanurza nabrzmiały członek w mojej wilgotnej szparce. Zsuwam się w dół, biorąc go aż po nasadę.

Wydaję z siebie niski, urywany jęk satysfakcji. Nasze zjednoczenie odsuwa wszelkie problemy na dalszy plan, zostawiając miejsce wyłącznie dla niesłabnącej

rozkoszy i dozgonnej miłości. Miller siedzi zupełnie nieruchomo, tkwiąc głęboko we mnie, a ja odrzucam głowę w tył i wczepiam się paznokciami w jego potężne barki.

– Porusz się – błagam głosem rwącym się z pożądania, napierając na jego biodra.

Odnajduje ustami moje ramię i lekko zaciska na nim zęby, zaczynając poruszać się pieczołowicie.

– Przyjemnie?

– Przyjemniej, niż jestem w stanie sobie wyobrazić.

– Zgadzam się. – Unosi biodra w górę, jednocześnie ściągając mnie w dół, dając rozkosz obu naszym falującym ciałom. – Olivio Taylor, jestem tobą cholernie zafascynowany.

Miarowy rytm jego ruchów jest więcej niż doskonały, nasze podniecenie narasta niespiesznie, każda rotacja przybliża nas do eksplozji. Jęczę i dyszę, gdy przy końcu każdego okrążenia moja łechtaczka ociera się o jego krocze, potem moje ciało znów zatacza krąg, osłabiając na chwilę ten cudowny nacisk, by za chwilę znowu wspiąć się na szczyt rozkoszy. Widzę w jego oczach, że robi to celowo, a jego powolne mruganie i widok lekko rozchylonych warg tylko pogłębia mój rozpaczliwy stan.

– Miller – sapię, chowając twarz w jego szyi, bo nie jestem w stanie wytrzymać dłużej wyprostowana.

– Nie pozbawiaj mnie widoku swojej twarzy, Olivio – ostrzega. – Pokaż mi się.

Dysząc, liżę i kąsam go w szyję, jego zarost drapie moją spoconą twarz.

– Nie mogę. – Wprawa, z jaką mnie wielbi, zawsze działa na mnie obezwładniająco.

– Dla mnie możesz. Spójrz na mnie. – Wypowiada te słowa surowym tonem, wyrzucając biodra w górę. Krzyczę, gdy wbija się głęboko, i prostuję plecy.

– Jak?! – wołam, sfrustrowana i zachwycona jednocześnie. Sprawia, że trwam w zawieszeniu pomiędzy udręką a nieziemską rozkoszą.

– Tak jak ja. – Przewraca mnie na plecy i znów we mnie wchodzi z okrzykiem satysfakcji. Tempo i siła jego ruchów wzrastają. W ostatnich tygodniach kochamy się coraz gwałtowniej. Zupełnie jak gdyby Millerowi zaświeciła się w głowie lampka i uświadomił sobie, że biorąc mnie nieco bardziej agresywnie, nie pozbawia naszych zbliżeń elementu uwielbienia. Nadal się ze mną kocha. Mogę go dotykać i całować, a on odpowiada tym samym, przemawiając do mnie czule, jak gdyby chciał zapewnić siebie i mnie, że ma pełną kontrolę nad sytuacją. To nie jest konieczne. Ufnie oddaję mu swoje ciało, a teraz także moją miłość.

Łapie mnie za nadgarstki i przytrzymuje mi ręce nad głową. Opiera się na muskularnych przedramionach, oślepiając mnie kilometrami wyraźnie zarysowanych mięśni torsu. Zaciska zęby, ale dostrzegam na jego twarzy cień zwycięskiego uśmiechu. Jest szczęśliwy. Jest wyraźnie zachwycony tym, jak rozpaczliwie go pragnę. Ale on pragnie mnie równie desperacko. Unoszę biodra, wychodząc na spotkanie jego stanowczym pchnięciom, nasze ciała zderzają się, gdy wbija się we

mnie raz za razem.

– Zaciskasz się wokół mnie, słodka dziewczyno – dyszy, a niesforny kosmyk podskakuje mu na czole przy każdym zderzeniu naszych ciał. Każda końcówka nerwowa, jaką posiadam, zaczyna drgać pod naporem ciśnienia narastającego w moim wnętrzu. Rozpaczliwie usiłuję nad tym zapanować, byle tylko przedłużyć ten oszałamiający widok jego spływającej potem sylwetki i twarzy, na której maluje się rozkosz tak intensywna, że można by ją pomylić z bólem.

– Miller! – krzyczę w amoku. Głowa zaczyna mi się trząść, ale wciąż wpatruję mu się w oczy. – Proszę!

– O co? Chcesz dojść?

– Tak! – dyszę, a potem wciągam gwałtownie powietrze, bo wyrzuca biodra naprzód, przesuwając mnie w górę łóżka. – Nie! – Sama nie wiem, czego chcę. Potrzebuję spełnienia, ale chcę też pozostać w tym stanie całkowitej utraty samokontroli.

Miller stęka, zwiesza podbródek na pierś i wypuszcza moje nadgarstki, więc natychmiast łapię go za ramiona. Wpijam w nie krótkie paznokcie. Mocno.

– Kurwa! – ryczy Miller, zwiększając tempo. Jeszcze nigdy nie brał mnie tak mocno, ale pośród tej wszechogarniającej rozkoszy nie ma miejsca na przejmowanie się drobiazgami. Nie robi mi krzywdy, choć podejrzewam, że ja sprawiam mu ból. Od razu zaczynają mnie boleć palce.

Przeklinam pod nosem, przyjmując każde pchnięcie, dopóki Miller nagle nie znieruchomieje. Czuję, jak nabrzmiewa we mnie, a potem wycofuje się powoli i z jękiem wchodzi we mnie ostatni raz. Oboje osuwamy się w otchłań niewymownie cudownych doznań.

Intensywność orgazmu obezwładnia mnie, Millera również, sądząc po tym, że opada na mnie całym ciężarem, zupełnie nie przejmując się tym, że mnie przygniata. Oboje dyszymy, oboje wciąż pulsujemy, kompletnie wyczerpani. To było gwałtowny, dziki seks, który chyba przeszedł w rżnięcie, a gdy czuję, że zaczyna mnie głaskać, a jego usta wędrują w górę mojego policzka, szukając moich ust, wiem już, że do niego też to dotarło.

– Powiedz, że nie zrobiłem ci krzywdy. – Przez chwilę wielbi moje usta, całując je delikatnie i skubiąc wargi za każdym razem, gdy się odsuwa. Jego ręce są wszędzie, dotykają, głaszczą, muskają.

Zamykam oczy z zadowolonym westchnieniem i chłonę jego leniwe pieszczoty. Uśmiecham się i zbieram w sobie resztki sił, żeby go przytulić i dodać mu otuchy.

– Nie zrobiłeś mi krzywdy.

Jest ciężki, gdy tak na mnie leży, ale wcale nie chcę, żeby się podniósł. Jesteśmy złączeni… wszędzie. Biorę głęboki oddech.

– Kocham cię, Millerze Hart.

Unosi się powoli i spogląda na mnie roziskrzonym wzrokiem, a jego piękne usta

rozciągają się w uśmiechu.

– Przyjmuję twoją miłość.

Na próżno usiłuję zmrużyć groźnie oczy, ale w końcu też się uśmiecham. Nie sposób mu się oprzeć, gdy rozdaje uśmiechy tak chętnie i często jak w ostatnich dniach.

– Spryciarz z ciebie.

– A ty, Olivio Taylor, jesteś boskim błogosławieństwem.

– Albo twoją własnością.

– To to samo – szepcze. – W każdym razie w moim świecie. – Składa na obu moich powiekach słodkie pocałunki, a potem unosi biodra, wysuwa się ze mnie i przysiada na piętach. Zadowolenie tętni mi we krwi, a umysł ogarnia spokój, gdy sadza mnie sobie na kolanach i oplata się moimi nogami w pasie. Wokół nas leży skłębiona pościel, ale on wcale się tym nie przejmuje.

– Pościel jest w strasznym nieładzie – zauważam z zaczepnym uśmieszkiem, gdy układa mi włosy na ramionach, po czym zsuwa dłonie wzdłuż moich ramion i ściska dłonie.

– Przymus bycia razem z tobą w łóżku bierze górę nad przymusem utrzymania porządku.

Uśmiecham się od ucha od ucha.

– Panie Hart, czyżby przyznał się pan właśnie do obsesyjnego zamiłowania do porządku?

Przekrzywia głowę, a ja poruszam dłońmi, aż w końcu je wypuszcza, po czym niespiesznie odgarniam mu niesforny kosmyk z wilgotnego czoła.

– Może coś w tym jest – odpowiada spokojnym tonem, w którym nie ma śladu wesołości.

Moja dłoń zastyga w jego włosach, przyglądam mu się uważnie, szukając tego uroczego dołeczka. Nigdzie go nie widać, więc spoglądam na niego pytająco, próbując ocenić, czy wreszcie przyznał, że cierpi na ciężki przypadek nerwicy natręctw.

– Może – powtarza z pokerową twarzą.

Ze zduszonym okrzykiem dźgam go w ramię, a z jego ust wydobywa się słodki chichot. Widok rozbawionego Millera i odgłosy, jakie wtedy wydaje, nigdy nie przestaną mnie zachwycać. To bez wątpienia najpiękniejsza rzecz na świecie – nie tylko moim, ale całym świecie. Bez dwóch zdań.

– Powiedziałabym, że z całą pewnością – mówię, przerywając ten wybuch wesołości.

Kręci głową ze zdumieniem.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak trudno mi zaakceptować fakt, że tu jesteś?

Uśmiech na mojej twarzy ustępuje dezorientacji.

– W Nowym Jorku? – Pojechałabym do Mongolii Zewnętrznej, gdyby tylko tego

zażądał. Wszędzie. Miller śmieje się beztrosko i odwraca wzrok, więc łapię go za brodę i odwracam jego idealną twarz w swoją stronę. – Doprecyzuj. – Unoszę władczo brwi, zaciskając wargi, choć mam przemożną ochotę dołączyć do jego wesołości.

– Po prostu tutaj – mówi, wzruszając lekko potężnymi ramionami. – To znaczy ze mną.

– W łóżku?

– W moim życiu, Olivio. Przemieniasz mój mrok w oślepiającą jasność. – Przysuwa twarz do mojej, nasze usta prawie się stykają. – Zastępujesz moje koszmary pięknymi snami. – Wpatrując mi się w oczy, milknie i czeka, aż dotrą do mnie te słowa płynące z głębi jego serca. Jak wiele innych rzeczy, które teraz mówi, w pełni go rozumiem.

– Mógłbyś po prostu powiedzieć, jak bardzo mnie kochasz. To by wystarczyło. – Wydymam usta, rozpaczliwie usiłując zachować spokój. To trudne, gdy właśnie podbił moje serce tak oszałamiającym wyznaniem. Mam ochotę przewrócić go na plecy i zademonstrować mu siłę swych uczuć zapierającym dech w piersi pocałunkiem, ale malutka część mnie chciałaby, żeby wyłapał moją wcale nie tak subtelną aluzję. Nigdy nie użył słowa miłość. Woli słowo „fascynacja”, a ja dokładnie wiem, co ma na myśli. Ale nie mogę zaprzeczyć, że pragnęłabym usłyszeć te dwa proste słowa.

Miller przewraca mnie na plecy i drapiąc zarostem, całuje każdy dostępny centymetr mojej skrzywionej twarzy.

– Jestem tobą głęboko zafascynowany, Olivio Taylor. – Ujmuje moją twarz w dłonie. – Nigdy się nie dowiesz jak bardzo.

Poddaję mu się i pozwalam, żeby całkowicie mną zawładnął.

– Choć miałbym ochotę spędzić z tobą w pościeli cały dzień, mamy w planach randkę. – Skubie zębami mój nos, a potem pomaga mi wstać z łóżka i poprawia mi włosy. – Weź prysznic.

– Tak jest! – Salutuję i nie przejmując się wcale tym, że przewrócił oczami, ruszam pod prysznic, kręcąc pupą.

Rozdział 2

Stoję na chodniku przed naszym hotelem, wpatrując się w niebo. To część mojego codziennego rytuału. Każdego ranka zostawiam Millera w apartamencie, zjeżdżam na dół i staję przy krawężniku z odchyloną w tył głową, patrząc z podziwem w niebo. Ludzie omijają mnie, taksówki i lśniące SUV-y przemykają ulicą, a moje uszy wypełnia nowojorski gwar. Stoję jak urzeczona wieżami ze szkła i metalu, które bronią miasta. To po prostu… niewiarygodne.

Niewiele rzeczy jest w stanie wyrwać mnie z tego zachwytu, ale jego dotyk jest jedną z nich. I jego oddech przy moim uchu.

– Bum – szepcze, odwracając mnie przodem do siebie. – Nie wyrosły tu przez noc.

Znów zerkam w górę.

– Po prostu nie rozumiem, jakim cudem się nie przewracają. – Miller łapie mnie za brodę i ściąga ją w dół. W jego miękkim spojrzeniu widać rozbawienie.

– Może powinnaś spróbować zaspokoić tę fascynację?

– Co masz na myśli?

Kładzie mi dłoń na karku i zaczyna prowadzić mnie w stronę Szóstej Alei.

– Może powinnaś się zająć inżynierią budowlaną.

Wyzwalam się z uścisku i wsuwam dłoń w jego dłoń. A on pozwala mi na to – porusza palcami, poprawiając chwyt.

– Historia danego budynku interesuje mnie bardziej niż sposób, w jaki został zbudowany. – Podnoszę na niego wzrok, a potem z uśmiechem przesuwam nim po jego wysokiej sylwetce. Ma na sobie dżinsy. Cudowne, luźne dżinsy i zwykłą białą koszulkę. Chodzenie w garniturach podczas pobytu tutaj byłoby idiotycznie niestosowne i nie bałam się powiedzieć mu o tym. On też się nie upierał i cały pierwszy dzień spędziliśmy na zakupach w Saks. W Nowym Jorku nie potrzebuje garnituru, nie ma tu nikogo, przed kim musiałby udawać wyniosłego dżentelmena. Mimo to Miller Hart nie potrafi szwendać się bez celu. Ani wmieszać się w tłum.

– Więc pamiętasz dzisiejsze wyzwanie? – pyta, gdy zatrzymujemy się na czerwonym świetle. Unosi brwi, a ja odpowiadam uśmiechem.

– Tak, jestem przygotowana. – Wczoraj spędziłam wiele godzin w bibliotece publicznej, podczas gdy Miller załatwiał jakieś sprawy przez telefon. Nie chciałam stamtąd wychodzić. Próbowałam wyszukać w Internecie Gracie Taylor, ale niczego nie znalazłam, zupełnie tak, jak gdyby nigdy nie istniała. Po kilku próbach dałam za wygraną i pogrążyłam się w dziesiątkach książek, choć nie wszystkie dotyczyły

historii architektury. Przejrzałam jedną na temat zachowań obsesyjno-kompulsywnych i dowiedziałam się kilku nowych rzeczy, między innymi o powiązaniu nerwicy natręctw z wybuchami złości. Miller z pewnością jest wybuchowy.

– I który budynek wybrałaś?

– Brill Building.

Marszczy brwi.

– Brill Building?

– Tak.

– Nie Empire State Building ani Rockefeller Center?

Uśmiecham się.

– Wszyscy znają ich historię. – Myślałam również, że wszyscy znają historię większości londyńskich budynków, ale byłam w błędzie. Miller nie słyszał nic o Hotel Cafe Royal ani o jego historii. Być może przesadziłam z moją fascynacją Londynem. Wiem wszystko i nie jestem pewna, czy to dlatego, że jestem żałosna, mam obsesję, czy jestem po prostu cholernie dobrym przewodnikiem.

– Naprawdę?

Jego powątpiewanie mnie rozczula.

– Brill Building nie jest aż tak słynny, ale słyszałam o nim i sądzę, że z przyjemnością posłuchasz, czego się nauczyłam. – Zmienia się światło i ruszamy na drugą stronę ulicy. – Zapisał się ciekawie w historii muzyki.

– Naprawdę?

– Tak. – Spoglądam na niego, a on uśmiecha się czule. Może i wydaje się zaniepokojony moją bezcelową znajomością historii architektury, ale wiem, że cieszy go mój entuzjazm. – Pamiętasz o swoim wyzwaniu? – Zatrzymuję go, zanim zacznie przechodzić przez następną ulicę.

Mój uroczy, pedantyczny mężczyzna wydyma wargi i przygląda mi się uważnie. Wyszczerzam zęby w uśmiechu. Pamięta.

– To było coś związanego z jedzeniem.

– Hot dogi.

– Zgadza się – potwierdza z niepokojem. – Chcesz, żebym zjadł hot doga.

– Właśnie – przytakuję, w duchu skręcając się ze śmiechu. Każdego dnia pobytu w Nowym Jorku stawialiśmy sobie nawzajem wyzwania, którym to drugie miało sprostać. Wyzwania wymyślane dla mnie przez Millera były dość ciekawe, od przygotowania wykładu na temat miejscowego budynku, do kąpieli, podczas której nie wolno mi było go dotykać, choć on dotykał mnie. To były istne tortury i poniosłam sromotną porażkę. Miller niespecjalnie się tym przejął, ale straciłam punkt. Wyzwania wymyślone przeze mnie były nieco dziecinne, ale idealnie do niego pasowały – na przykład siedzenie na trawie w Central Parku, zjedzenie posiłku w restauracji bez nieustannego poprawiania kieliszka, a teraz zjedzenie hot doga.

Wszystkie moje wyzwania są bardzo łatwe… podobno. Niektórym sprostał, innym nie, na przykład nie był w stanie nie przestawiać kieliszka. Wynik? Osiem punktów dla Olivii, siedem dla Millera.

– Jak sobie chcesz – prycha, próbując przeciągnąć mnie na drugą stronę ulicy, ale stoję nieruchomo i czekam, aż z powrotem skupi na mnie uwagę. Przygląda mi się uważnie, intensywnie nad czymś myśląc. – Zamierzasz zmusić mnie do zjedzenie hot doga z jednej z tych obskurnych ulicznych budek, prawda?

Kiwam głową, widząc, że zauważył jedną z tych „obskurnych ulicznych budek" kilka kroków dalej.

– O, tu jest jedna.

– Cóż za zbieg okoliczności – mruczy Miller, niechętnie ruszając za mną w stronę wózka z hot dogami.

– Już się robi, słodziutka. Cebula? Keczup? Musztarda?

Miller robi krok naprzód.

– Nie, dzię…

– Proszę wszystko! – przerywam i odpycham go do tyłu, ignorując jego poirytowane sapnięcie. – I proszę nie żałować.

Chichocząc, sprzedawca wkłada parówkę w bułkę, posypuje ją cebulką, po czym wyciska na wierzch dużo keczupu i musztardy.

– Wedle życzenia – mówi, wręczając mi gotowego hot doga. Z uśmiechem podsuwam go Millerowi.

– Smacznego.

– Wątpię – burczy, przyglądając się z powątpiewaniem swojemu śniadaniu.

Uśmiecham się przepraszająco do sprzedawcy i odbieram swojego hot doga, wręczając mu banknot dziesięciodolarowy.

– Reszty nie trzeba – mówię, szybko biorę Millera pod ramię i odciągam go od budki. – To było niegrzeczne.

– Co takiego? – Podnosi wzrok, szczerze zdumiony, a ja przewracam oczami, zdegustowana jego ignorancją.

Zatapiam zęby w końcu bułki i gestem zachęcam go, żeby poszedł w moje ślady. Ale on wpatruje się w hot doga, jak gdyby to była najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział. Obraca go nawet kilka razy w dłoni, przyglądając mu się pod różnym kątem, jak gdyby to mogło sprawić, że zrobi się bardziej apetyczny. Bez słowa jem hot doga, czekając, aż zabierze się za swojego. Zjadłam już połowę, gdy Miller odważa się skubnąć końcówkę.

A potem ze zgrozą – prawie równie wielką jak przerażenie Millera – patrzę, jak wielki kawałek cebuli, obficie usmarowany keczupem i musztardą, zsuwa się i rozpryskuje na jego śnieżnobiałej koszulce. Miller wpatruje się w swój tors, zaciskając zęby, hot doga ciska na ziemię. Cała spinam się w sobie, przygryzając dolną wargę, żeby się nie odezwać. Aż się gotuje ze złości. Wyrywa mi serwetkę i

pociera gorączkowo materiał, rozmazując plamę, która robi się jeszcze większa. Kulę się w sobie. Miller bierze głęboki oddech. A potem zamyka oczy i otwiera je powoli, skupiając na mnie wzrok.

– Pięknie… cholera.

Wydymam policzki, boleśnie przygryzając wargi i z całej siły hamując śmiech, ale na próżno. Wrzucam resztę hot doga do pobliskiego kubła na śmieci i tracę panowanie nad sobą.

– Przepraszam! – udaje mi się wydusić. – Tylko… tylko wyglądasz, jak gdyby to był koniec świata.

Miotając oczami błyskawice, łapie mnie za kark i rusza przed siebie, a ja usiłuję opanować wesołość. Nie lubi być obiektem kpin, czy jesteśmy w Londynie, Nowym Jorku czy Timbuktu.

– Może być – oznajmia.

Podnoszę wzrok i widzę po drugiej stronie sklep Diesla. Szybko przeprowadza mnie przez ulicę, choć zielone światło zapali się już za trzy sekundy. Ma misję usunięcia tej okropnej plamy z koszulki i nawet groźba zostania przejechanym nie jest stanie go powstrzymać. Jestem absolutnie pewna, że nie jest to sklep, do którego wybrałby się z własnej woli, ale opłakany stan, w jakim się obecnie znajduje, nie pozwala mu szukać bardziej eleganckiego miejsca na zakupy.

Wchodzimy i natychmiast otacza nas głośna, dudniąca muzyka. Miller ściąga zaplamioną koszulkę, prezentując muskularny tors wszystkim w zasięgu wzroku. Z idealnie dopasowanych dżinsów wyłania się wyraźna litera V przechodząca w idiotycznie napięty sześciopak… a potem umięśnioną klatkę. Nie wiem, czy płakać z rozkoszy, czy nakrzyczeć na niego za obnoszenie się z tym oszałamiającym widokiem.

Niezliczone ekspedientki na wyprzódki biegną w naszą stronę.

– W czym mogę pomóc? – Konkurs wygrywa drobna Azjatka, która najpierw uśmiecha się z satysfakcją do koleżanek, a potem pożera Millera wzrokiem.

Na twarzy Millera, ku mojemu zadowoleniu, pojawia się znajoma maska.

– Poproszę koszulkę. Pierwszą lepszą. – Macha lekceważąco ręką.

– Oczywiście! – Kobieta oddala się, po drodze ściągając z wieszaków różne ubrania, i woła, żebyśmy szli za nią, co robimy, gdy tylko dłoń Millera znajdzie się na moim karku. Dochodzimy do końca sklepu, gdzie ekspedientka czeka już z naręczem koszulek. – Zostawię je w przymierzalni, gdyby potrzebowali państwo pomocy, proszę wołać.

Wybucham śmiechem, na co Miller rzuca mi zaskoczone spojrzenie, a Panna Flirciara wydyma usta.

– Jestem pewna, że należałoby ci zmierzyć biceps. – Opuszczam rękę i przesuwam dłonią po jego udzie, unosząc brwi. – I może wewnętrzną długość nogi.

– Tupeciara – stwierdza po prostu Miller, a potem odwraca się do asystentki

swoim nagim torsem i przegląda trzymaną przez nią stertę ubrań. – Ta może być. – Wybiera śliczną koszulkę w niebiesko-białą kratę z podwiniętymi rękawami i kieszonkami na piersi. Niedbale odrywa metki, wkłada ją i odchodzi, a Panna Flirciara odprowadza nas zdumionym wzrokiem do kasy. Miller kładzie metki i banknot studolarowy na ladzie, po czym wychodzi ze sklepu, zapinając guziki.

Patrzę, jak znika za drzwiami. Panna Flirciara stoi oniemiała, ale wciąż się ślini.

– Eee… dziękuję – uśmiecham się i ruszam za moim niewychowanym dżentelmenem na niepełny etat.

– Zachowałeś się okropnie! – wołam, stając obok niego, gdy zapina ostatni guzik.

– Kupiłem koszulę. – Opuszcza ramiona wzdłuż boków, najwyraźniej zbity z tropu moją połajanką. Martwi mnie to, że nawet nie zdaje sobie sprawy ze swoich dziwacznych zachowań.

– Chodzi o sposób, w jaki to zrobiłeś – odparowuję, spoglądając w niebo, jak gdybym spodziewała się stamtąd pomocy.

– Chodzi ci o to, że powiedziałem ekspedientce, co chcę kupić, ona to znalazła, ja przymierzyłem, a potem za to zapłaciłem?

Spuszczam ze znużeniem głowę.

– Nie bądź taki mądry.

– Po prostu stwierdzam fakty.

Nawet gdybym miała siłę, żeby się z nim spierać, nie wygrałabym. Stare nawyki trudno wykorzenić.

– Lepiej się czujesz? – pytam.

– Może być. – Wygładza i obciąga kraciastą koszulkę.

– Może być – wzdycham. – Dokąd teraz?

Jego dłoń odnajduje swoje ulubione miejsce na moim karku i obraca mnie lekkim ruchem nadgarstka.

– Grill Building. Czas na twoje wyzwanie.

– Nazywa się Brill Building – poprawiam go ze śmiechem. – I jest tam. – Obracam się szybko, umykając spod jego dłoni, i biorę go za rękę. – Wiedziałeś, że wielu znanych muzyków napisało swoje przeboje właśnie w Brill Building? Kilka z najsłynniejszych utworów w historii amerykańskiej muzyki.

– Fascynujące – potwierdza Miller, spoglądając na mnie z czułością.

Uśmiecham się i dotykam jego zarośniętej szczęki.

– Nie tak fascynujące jak ty.

Po kilku godzinach włóczenia się po Manhatttanie i zrobieniu Millerowi wykładu na temat Brill Building, a także St Thomas Church, ruszamy spacerem w stronę Central Parku. Nie spiesząc się, wędrujemy w milczeniu środkiem obsadzonej drzewami alei z ławkami po obu stronach. Ogarnia nas spokój, chaos betonowej dżungli zostawiliśmy za sobą. Gdy już przeszliśmy przez ulicę przecinającą park na

pół, minęliśmy wszystkich biegaczy i zeszliśmy gigantycznymi betonowymi schodami do fontanny, Miller obejmuje mnie dłońmi w pasie i stawia na murku okalającym olbrzymi wodotrysk.

– O tak – mówi, wygładzając mi spódnicę. – Podaj mi rękę.

Z uśmiechem spełniam jego prośbę, rozbawiona jego oficjalnym tonem, i pozwalam mu prowadzić się wokół fontanny. Idzie po ziemi z uniesioną ręką, a ja góruję nad nim. Stawiam drobne kroczki i patrzę, jak wsuwa wolną dłoń do kieszeni dżinsów.

– Jak długo musimy tu zostać? – pytam cicho i znów spoglądam przed siebie, głównie po to, żeby nie spaść z murka, ale trochę dlatego, żeby nie widzieć rozdarcia na jego twarzy.

– Nie jestem pewny, Olivio.

– Tęsknię za babcią.

– Wiem. – Ściska moją dłoń, żeby dodać mi otuchy. Nic z tego. Wiem, że William wziął na siebie obowiązek zadbania o nią podczas mojej nieobecności, co mnie martwi, bo wciąż nie wiem, jak wytłumaczył babci, co łączyło go z moją matką i co łączy go ze mną.

Podnoszę wzrok i zauważam małą dziewczynkę, która podskakuje po murku w moją stronę i zachowanie równowagi wychodzi jej chyba znacznie lepiej niż mnie. Murek jest za wąski, żeby pomieścić nas obie, więc chcę zeskoczyć, ale zamiast tego wydaję z siebie okrzyk, bo zostaję poderwana w górę, żeby zrobić jej przejście, a potem postawiona z powrotem na murku. Trzymam mu ręce na ramionach, kiedy w milczeniu poprawia mi spódnicę.

– Idealnie – mówi pod nosem, bierze mnie za rękę i rusza dalej. – Ufasz mi, Olivio?

Jego pytanie zbija mnie z pantałyku nie dlatego, że wątpię w swoją odpowiedź, ale dlatego, że nie pytał mnie o to od wyjazdu z Londynu, a ja nie miałam nic przeciwko temu. Niemoralni dranie, śledzący mnie nieznajomy, Cassie rzucająca się na Millera jak wariatka, ostrzeżenie Sophie, kajdanki, seks za pieniądze…

Zaskoczyłam samą siebie łatwością, z jaką pogrzebałam te wszystkie wspomnienia, gdy tylko zanurzyłam się w chaosie Nowego Jorku – chaosie, który działa na mnie kojąco w odróżnieniu od spraw, którymi mogłabym się zadręczać. Wiem, że Miller był nieco zdziwiony brakiem nacisków z mojej strony, ale jest coś, czego nie potrafię tak łatwo zapomnieć. Coś, czego nie ośmielam się wyznać na głos, ani Millerowi, ani samej sobie. Chciałam tylko usłyszeć, że babcia ma opiekę. Czuję, że właśnie nadeszła chwila, w której Miller przestanie akceptować moje milczenie.

– Tak – odpowiadam stanowczo, ale on nie patrzy na mnie. Ze wzrokiem wbitym przed siebie, trzymając mnie delikatnie za rękę, obchodzi dookoła fontannę.

– A ja ufam, że podzielisz się ze mną swoimi troskami. – Przystaje, odwraca mnie w swoją stronę, łapie mnie za obie dłonie i spogląda mi w oczy.

Zaciskam wargi, kochając go jeszcze bardziej za to, jak dobrze mnie zna, choć wcale nie podoba mi się to, że najprawdopodobniej nigdy nie będę w stanie nic przed nim ukryć. I cierpię, bo najwyraźniej czuje się winny, że wciągnął mnie w swój świat.

– Powiedz mi, Olivio. – Ton jego głosu jest miękki, zachęcający. Słychać w nim rozpacz.

Wbijam wzrok w jego stopy, które przysuwają się bliżej.

– To niemądre – mówię, kręcąc lekko głową. – Wyobraźnia spłatała mi figla pod wpływem szoku i adrenaliny.

Obejmuje mnie w talii i sadza na brzegu murka okalającego fontannę. Potem klęka i ujmuje moją twarz w dłonie.

– Powiedz mi – szepcze.

Ta chęć pocieszenia mnie dodaje mi odwagi, żeby wyrzucić z siebie to, co dręczyło mnie od chwili przyjazdu.

– Na Heathrow… wydaje mi się, że coś widziałam, ale wiem, że to nieprawda, wiem, że to głupie i niemożliwe, i kompletnie absurdalne, miałam omamy wzrokowe, byłam zestresowana, zmęczona i wzburzona. – Biorę głęboki oddech, ignorując jego zdumione spojrzenie. – To nie mogła być ona. Wiem to. Przecież nie żyje od…

– Olivio! – Miller przerywa mój potok wymowy, błękitne oczy ma wielkie jak spodki, a z jego idealnej twarzy bije niepokój. – O czym ty, u licha, mówisz?

– Moja matka – szepczę. – Wydaje mi się, że ją widziałam.

– Jej ducha?

Nie jestem pewna, czy wierzę w duchy. Choć może teraz już tak. Zamiast odpowiedzi wzruszam ramionami.

– Na Heathrow? – naciska.

Kiwam głową.

– Kiedy byłaś u kresu sił, rozchwiana emocjonalnie i właśnie porwał cię były żigolak o wybuchowym usposobieniu?

Patrzę na niego, mrużąc oczy.

– Tak – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Rozumiem – mówi i odwraca na chwilę wzrok, a potem znów spogląda na mnie. – To dlatego byłaś taka cicha i nieufna?

– Wiem, że gadam jak głupia.

– Nie głupia – oponuje spokojnie. – Pogrążona w żalu.

Marszczę brwi, ale ciągnie dalej, zanim zaprotestuję.

– Olivio, mamy za sobą ciężkie przejścia. W ostatnich tygodniach oboje musieliśmy się zmagać z przeszłością. To zrozumiałe, że czujesz się zagubiona i zdezorientowana. – Wysuwa głowę do przodu i całuje mnie w usta. – Proszę, otwórz się przede mną. Nie pozwól, żeby przygniotły cię troski, gdy jestem przy tobie, żeby

ci ulżyć. – Odsuwa się, muska kciukami moje policzki, a ja rozpływam się pod szczerym spojrzeniem jego niezwykłych oczu. – Nie mogę patrzeć, jak się smucisz.

Nagle robi mi się strasznie głupio, a że nie zostało już nic więcej do powiedzenia, obejmuję go i przyciągam do siebie. Ma rację. Nic dziwnego, że po tym wszystkim, co przeszliśmy, mąci mi się w głowie.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Miller odwzajemnia mój silny uścisk i zaciąga się zapachem moich włosów. Czuję, że zaczyna nawijać pukiel na palec.

– Prowadziłabyś w Londynie beztroskie życie – odpowiada cicho.

To ponure stwierdzenie każe mi się odsunąć.

– Puste życie – prostuję. – Obiecaj, że nigdy mnie nie opuścisz.

– Obiecuję. – Odpowiada bez wahania, ale w tej chwili mi to nie wystarcza. Nie wiem, co jeszcze mógłby powiedzieć, żeby mnie przekonać. Trochę tak jak wtedy, gdy wyciągnęłam z niego, że przyjmuje moją miłość, wyczuwam w nim chwiejność i nie podoba mi się to. Wciąż żyję w strachu, że znów mnie zostawi, nawet jeśli zrobił to wbrew sobie.

– Chcę kontraktu – wypalam. – Umowy prawnej stwierdzającej, że nie możesz mnie nigdy opuścić. – Od razu uświadamiam sobie swoją głupotę i kulę się w sobie, mając ochotę kopnąć się w zadek. – To źle zabrzmiało.

– Ja myślę! – Miller zanosi się kaszlem i z wrażenia prawie siada na ziemi. Może i nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało, ale jego wyraźne obrzydzenie jest jak policzek. Nie brałam pod uwagę małżeństwa, niczego, co wykraczałoby poza dzień dzisiejszy. Zbyt wiele spraw wyklucza marzenia o szczęśliwej przyszłości, ale teraz naprawdę zaczynam się zastanawiać. Sprawia to wyraźna odraza, jaką budzi w nim ta myśl. Chcę kiedyś wyjść za mąż. Chcę mieć dzieci, psa i przytulny rodzinny dom. Chcę, żeby wszędzie panował radosny rozgardiasz i właśnie uświadomiłam sobie, że chcę tego wszystkiego z Millerem.

Zderzenie z rzeczywistością jest bolesne. Najwyraźniej małżeństwo budzi w nim obrzydzenie. Nie cierpi bałaganu, co przekreśla obrazek chaotycznego domu rodzinnego. A co z dziećmi? Nie zamierzam pytać i chyba nie ma takiej potrzeby, bo pamiętam tamto zdjęcie zagubionego, umorusanego chłopczyka.

– Powinniśmy już iść – oznajmiam, wstając, zanim znów powiem coś głupiego i będę musiała znosić kolejną niechcianą reakcję. – Jestem zmęczona.

– Zgoda – mówi z wyraźną ulgą Miller, co jeszcze bardziej mnie dobija. I niweczy nadzieję na wspólną przyszłość… kiedy już będziemy mogli się skoncentrować na budowaniu naszego szczęścia.

Rozdział 3

Od powrotu z Central Parku atmosfera jest napięta. Gdy wróciliśmy do apartamentu, Miller zostawił mnie samą i zniknął w gabinecie, który ma wyjście na balkon. Miał jakieś sprawy do załatwienia. Kilka razy zdarzało mu się poświęcić godzinę na rozmowy telefoniczne, ale minęły już cztery i wciąż nie odezwał się, nie pokazał ani nie dał żadnego znaku życia.

Leżę wyciągnięta na leżaku na balkonie, słońce grzeje mnie w twarz, a w duchu błagam Millera, żeby wyszedł z gabinetu. Od przyjazdu do Nowego Jorku jeszcze nigdy nie obywaliśmy się tak długo bez fizycznego kontaktu i tęsknię za jego dotykiem. Pragnęłam uciec przed napiętą atmosferą po powrocie ze spaceru, odetchnęłam z ulgą, gdy Miller wymruczał, że musi coś załatwić, ale teraz czuję się bardziej zagubiona niż kiedykolwiek. Zdążyłam już pogadać przez telefon z babcią i Gregorym i przeczytałam połowę historycznej książki, którą podarował mi wczoraj Miller, choć nie zapamiętałam w ogóle treści.

A teraz leżę tu – już prawie pięć godzin – bawiąc się pierścionkiem i analizując naszą rozmowę w Central Parku. Wzdycham, zdejmuję pierścionek, wkładam go z powrotem, okręcam kilka razy na palcu, a potem zastygam, bo słyszę jakiś szmer za drzwiami gabinetu. Widzę, że klamka się porusza, więc porywam książkę i wtykam w nią nos, żeby wyglądać na pochłoniętą lekturą.

Drzwi skrzypią, więc podnoszę wzrok znad przypadkowej strony, na której otworzyła się książka, i widzę stojącego w progu Millera, który mi się przygląda. Stopy ma bose, górny guzik dżinsów rozpięty i nie ma na sobie koszuli. Ciemne włosy ma rozwichrzone, jak gdyby czochrał je dłonią. I gdy tylko spojrzę mu w oczy, wiem, że tak właśnie było. Wyziera z nich rozpacz. Potem próbuje się uśmiechnąć, a ja czuję potężne ukłucie winy. Odkładam książkę na stolik, siadam, podciągam kolana pod brodę i obejmuję nogi ramionami. Atmosfera jest wciąż gęsta, ale bliskość Millera sprawia, że odzyskuję spokój. Czuję pod skórą znajome iskierki, które niosą pokrzepienie.

Przez chwilę stoi zamyślony z rękami w kieszeniach, opierając się o framugę drzwi. Potem wzdycha, bez słowa podchodzi i siada okrakiem za moimi plecami, przesuwa mnie do przodu, żeby się wygodnie usadowić, a potem obejmuje mnie i przyciąga do piersi. Zamykam oczy i chłonę go całą sobą – jego dotyk, bicie jego serca, jego oddech w moich włosach.

– Przepraszam – szepcze, przyciskając mi usta do karku. – Nie chciałem cię zasmucić.

Zaczynam masować materiał jego dżinsów okrężnymi ruchami.

– Nie ma za co.

– Nieprawda. Gdybym mógł mieć jedno życzenie – zaczyna, przysuwając mi wargi do ucha – chciałbym być twoim ideałem. Niczyim innym, tylko twoim.

Otwieram oczy i odwracam się twarzą do niego.

– Twoje życzenie musiało się spełnić.

Śmieje się lekko i dotyka dłonią mojego policzka.

– Musisz być najpiękniejszą osobą, jaką Bóg kiedykolwiek stworzył. To. – Omiata wzrokiem moją twarz. – I to. – Kładzie mi dłoń na klatce piersiowej. Całuje czule moje usta, potem nos, policzki i w końcu czoło. – Na biurku leży coś dla ciebie.

Odsuwam się instynktownie.

– Co to jest?

– Idź zobaczyć. – Zachęca mnie, żebym wstała, a potem opada na oparcie leżaka, wskazując drzwi gabinetu. – Migusiem.

Wodzę wzrokiem od drzwi do Millera, tam i z powrotem, a gdy unosi wyczekująco brew, wreszcie wstaję. Ruszam ostrożnie przez balkon, coraz bardziej zaciekawiona, czując na plecach spojrzenie jego niebieskich oczu. Kiedy dochodzę do drzwi, zerkam przez ramię. Na jego idealnej twarzy błąka się cień uśmiechu.

– Idź – mówi bezgłośnie, bierze ze stolika moją książkę i zaczyna ją kartkować. Podchodzę z zaciśniętymi ustami do majestatycznego biurka, siadam w zielonym skórzanym fotelu i wypuszczam powietrze z płuc. Serce zaczyna mi się tłuc w piersi na widok koperty ułożonej idealnie na samym jego środku, równolegle do krawędzi biurka. Zaczynam obracać pierścionek na palcu, zaniepokojona. Kiedy na nią patrzę, widzę tylko inną kopertę – tę na biurku Millera w Ice, tę z listem pożegnalnym. Nie jestem pewna, czy chcę przeczytać ten list, ale Miller go tu położył, Miller go napisał, i te dwie rzeczy budzą ogromną ciekawość Olivii Taylor.

Podnoszę kopertę i odpieczętowuję ją. Lak jest wciąż wilgotny. Wyjmuję kartkę i powoli ją rozprostowuję. Potem biorę głęboki oddech i zaczynam czytać.

Moja słodka dziewczyno,

Nigdy nie przestanę cię wielbić. Za każdym razem gdy cię dotykam, lub dotykam twej duszy, na zawsze pozostawiam ślad w twoim pięknym umyśle – na zawsze i jeszcze dłużej. Mówiłem ci już to wszystko. Nie ma takich słów, które mogłyby usprawiedliwić to, co do ciebie czuję. Godzinami studiowałem słownik języka angielskiego, szukając ich, lecz na próżno. Kiedy próbuję wyrazić to, co czuję, żadne słowa nie wydają się odpowiednie. A jednak wiem, jak głębokie uczucie do mnie żywisz. Sprawiasz, że moją rzeczywistość trudno jest pojąć.

Nie potrzebuję stanąć przed księdzem w Domu Bożym, żeby potwierdzić to, co do ciebie czuję. Zresztą Bóg nie przewidział nas, kiedy tworzył miłość.

Nic nie może się z nią równać.

Jeśli chcesz potraktować ten list jako oficjalną obietnicę, że nigdy cię nie opuszczę, każę go oprawić i powiesić nad naszym łóżkiem. Jeśli chcesz, żebym wypowiedział te słowa na głos, zrobię to na kolanach przed tobą. Jesteś moją duszą, Olivio Taylor. Jesteś moim światłem. Jesteś powodem, dla którego oddycham. Nigdy w to nie wątp.

Bądź moja na zawsze, zaklinam cię. Bo ja przysięgam, że jestem twój.

Nigdy nie przestawaj mnie kochać.

Na zawsze twój

Miller Hart

Czytam list jeszcze raz, ale teraz po policzkach cieknią mi łzy. Jego słowa wstrząsnęły mną do głębi, pozwalając mi w pełni pojąć ogrom miłości, jaką do mnie czuje. Więc czytam list jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, a moja miłość do niego rośnie z każdą chwilą, aż zmieniam się w emocjonalny wrak i szlocham, czerwona i zapuchnięta, zalewając eleganckie biurko łzami, których nie jestem w stanie powstrzymać. Miller Hart wysławia się perfekcyjnie. Wiem, co do mnie czuje. Teraz jest mi głupio i mam wyrzuty sumienia, że zwątpiłam… że tak się tym przejęłam, nawet jeśli zadręczałam się w duchu. Ale on zauważył, jak się męczę. I nie zlekceważył tego.

– Olivio?

Podrywam głowę i widzę, że stoi w drzwiach z zaniepokojoną miną.

– Zasmuciłem cię?

Każdy obolały mięsień w moim ciele rozluźnia się, emocjonalnie wykończona osuwam się na fotel.

– Nie… ja… tylko… – Unoszę list i macham nim w powietrzu, ocierając oczy. – Nie mogę… – Język mi się plącze, ale w końcu udaje mi się wykrztusić: – Tak mi przykro.

Wstaję z fotela i podchodzę do niego na trzęsących się nogach. Jestem na siebie zła, że zmusiłam go do tłumaczeń, wiedząc przecież, co do mnie czuje. Gdy dzieli nas zaledwie metr, Miller rozpościera zapraszająco ramiona, a ja rzucam mu się w objęcia. Unosi mnie nad ziemię i wtyka nos w swoje ulubione miejsce.

– Nie płacz – uspokaja mnie, ściskając mocniej. – Proszę, nie płacz.

Jestem tak roztrzęsiona, że nie potrafię wydusić ani słowa, więc odwzajemniam tylko jego gwałtowny uścisk, rozkoszując się każdym kanciastym fragmentem jego ciała. Stoimy ciasno spleceni całą wieczność, ja usiłuję wziąć się w garść, a Miller cierpliwie czeka. W końcu próbuje oderwać mnie od siebie, a ja mu na to pozwalam. Potem pada na kolana i przyciąga mnie do siebie. Obdarza mnie tym swoim pięknym, łagodnym uśmiechem, odgarnia mi włosy z twarzy i ociera kciukiem łzy, które nie przestają płynąć. Chce coś powiedzieć, ale zamiast tego zaciska usta i widzę, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Więc ja się odzywam.

– Nigdy nie wątpiłam w twoją miłość do mnie, nieważne, jak to ubierzesz w słowa.

– Cieszę się.

– Nie chciałam cię zdołować.

Uśmiecha się szerzej, w jego oczach pojawiają się iskierki.

– Martwiłem się.

– Czemu?

– Bo… – Spuszcza wzrok i wzdycha. – Wszystkie moje klientki są mężatkami, Olivio. Pobłogosławiona obrączka i papierek podpisany przez duchownego nic dla mnie nie znaczą.

To wyznanie nie jest dla mnie zaskoczeniem. Pamiętam Williama mówiącego jasno i wyraźnie, że Miller Hart jest na bakier z zasadami moralnymi. Sypianie z zamężną kobietą za pieniądze pewnie nigdy nie było dla niego powodem do wstydu, dopóki nie poznał mnie. Dotykam koniuszkami palców jego ciemnej szczęki i przyciągam jego twarz do swojej.

– Kocham cię – zapewniam, a on się uśmiecha, ale jest w tym uśmiechu i smutek, i radość. Światło i mrok. – I wiem, jak bardzo jesteś mną zafascynowany.

– Nawet nie wiesz jak bardzo.

– Pozwolisz, że się nie zgodzę – szepczę, wkładając list między nasze ciała.

Spogląda na niego i milknie na chwilę, a potem powoli podnosi na mnie wzrok.

– Nigdy nie przestanę cię wielbić.

– Wiem.

– Za każdym razem, gdy cię dotykam lub dotykam twej duszy, na zawsze pozostawiam ślad w twoim pięknym umyśle.

Uśmiecham się.

– Wiem.

Bierze list i odkłada go na bok, a potem łapie mnie za ręce i spogląda mi w oczy.

– Sprawiasz, że moją rzeczywistość trudno jest pojąć.

Nagle uświadamiam sobie, że powtarza na głos słowa listu, i nabieram tchu, żeby go powstrzymać, powiedzieć mu, że to nie jest konieczne, ale przykłada mi opuszek palca do ust, uciszając mnie.

– Jesteś moją duszą, Olivio Taylor. Jesteś moim światłem. Jesteś powodem, dla którego oddycham. Nigdy w to nie wątp. – Zaciska zęby i choć jest to skrócona wersja jego listu, wysłuchanie jej na głos robi na mnie jeszcze większe wrażenie. – Bądź moja na zawsze, zaklinam cię. – Sięga do kieszeni i wyjmuje z niej małe pudełeczko. – Bo ja przysięgam, że jestem twój.

Choć jego spojrzenie dodaje mi otuchy, przenoszę wzrok na maleńkie puzderko. Zżera mnie ciekawość. Kiedy bierze moją dłoń i stawia na niej tajemnicze skórzane pudełeczko, odrywam od niego wzrok i spoglądam na Millera.

– To dla mnie?

Kiwa powoli głową i siada na piętach, tak jak ja.

– Co to jest?

Uśmiecha się, demonstrując dołeczek w policzku.

– Uwielbiam twoją ciekawość.

– Mam otworzyć? – Dotykam palcami ust i zaczynam skubać koniuszek kciuka, w głowie mam gonitwę myśli, uczuć, emocji.

– Możliwe, że jestem jedynym mężczyzną, który jest w stanie zaspokoić tę twoją nienasyconą ciekawość.

Śmieję się lekko, spoglądając to na pudełeczko, to na zamyślonego Millera.

– To ty podsycasz tę ciekawość, więc moje zdrowie psychiczne zależy wyłącznie od tego, czy ją zaspokoisz.

Z równym rozbawieniem wskazuję głową pudełeczko.

– Otwórz.

Palce mi drżą, a całym ciałem targają emocje, gdy unoszę wieczko. Zerkam na Millera, który wpatruje się wyłącznie we mnie. Jest spięty. Zdenerwowany. Przez co ja też robię się nerwowa. Powoli unoszę wieko. I oddech więźnie mi w gardle. Pierścionek.

– To brylanty – szepcze. – Twoje szczęśliwe kamienie.

Przełykam z trudem ślinę, przesuwając wzrokiem po grubej obrączce, na której środku błyszczy owalny brylant otoczony mniejszymi brylancikami w kształcie łezek. Cała obrączka jest wysadzana mniejszymi kamieniami, które skrzą się pięknie. Białe złoto jest ażurowe, przez co każdy osadzony w nim kamień wydaje się oddzielony od głównych brylantów. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego.

– To antyk? – pytam, przenosząc wzrok z jednego uosobienia piękna na drugie. Miller wciąż sprawia wrażenie zdenerwowanego.

– Art nouveau, rok 1898, ściśle rzecz biorąc.

Uśmiecham się i kręcę głową ze zdumieniem. Mogłam się spodziewać, że będzie taki dokładny.

– Ale to pierścionek. – Wreszcie zbieram się na odwagę, żeby to powiedzieć. Po dzisiejszym dniu, rozmowie w Central Parku, całym tym napięciu i liście Millera ten pierścionek kompletnie zbił mnie z tropu.

Pudełeczko nagle znika z mojej dłoni i zostaje odłożone na bok. Miller odchyla się do tyłu, bierze mnie za ręce i przyciąga do siebie, tak że przesuwam się na kolanach między jego uda. Znów siadam na piętach i czekam z zapartym tchem na to, co powie. Jego słowa z pewnością poruszą mnie do głębi, zupełnie jak spojrzenie jego błękitnych oczu, którym właśnie mnie mierzy. Znów bierze pudełeczko i trzyma je między nami. Pierścionek skrzy się oślepiająco.

– Ten tutaj – wskazuje środkowy brylant – symbolizuje nas.

Zasłaniam twarz dłońmi, żeby nie zobaczył łez, które znów napływają mi do oczu, ale nie pozwala mi się długo ukrywać. Bierze mnie za ręce i układa je na moich

kolanach, kiwając ze zrozumieniem przystojną głową.

– Ten – wskazuje jedną z błyszczących łezek wokół głównego brylantu – symbolizuje mnie. – Jego palec wędruje do podobnego kamienia po przeciwnej stronie. – A ten ciebie.

– Miller, ja…

– Ciii. – Kładzie mi koniuszek palca na wargach i unosi ostrzegawczo ciemne brwi. Kiedy ma już pewność, że pozwolę mu dokończyć, znów skupia uwagę na pierścionku, a ja nie mam innego wyjścia, jak tylko zaczekać, aż skończy objaśniać mi jego symbolikę. Jego palec wskazujący dotyka brylantu w kształcie łezki, który reprezentuje mnie. – Ten klejnot jest piękny. – Opuszką palca muska brylant z drugiej strony. – Dzięki niemu twój wydaje się jaśniejszy. Dopełnia go. Ale ten – przesuwa palec na główny klejnot i przenosi wzrok na moją zapłakaną twarz – jest najjaśniejszy, skrzy się najmocniej ze wszystkich. – Mruga leniwie, jak tylko on potrafi, i wyjmuje antyk z granatowej poduszeczki, podczas gdy ja usiłuję wziąć się w garść.

Ten doskonale niedoskonały mężczyzna jest piękniejszy, niż kiedykolwiek przyjmie do wiadomości, ale cieszę się, że czynię go lepszym człowiekiem – nie dlatego, że próbuję go zmienić, ale dlatego, że sam chce być lepszy. Dla mnie. Unosi pierścionek i przesuwa palcem po dziesiątkach drobnych kamyków wystających z misternego zwieńczenia.

– A te wszystkie skrzące się odłamki to iskry, jakie czujemy pod skórą.

Spodziewałam się, że jego słowa poruszą mnie do głębi. Nie spodziewałam się jednak, że kompletnie mnie obezwładnią.

– Jest doskonały. – Unoszę rękę i głaszczę jego chropawy policzek, czując pod skórą pełgające iskierki, o których wspomniał.

– Jeszcze nie – szepcze, odrywając moją dłoń od policzka. Patrzę, jak powoli wsuwa pierścionek na palec serdeczny mojej lewej ręki. – Teraz jest doskonały. – Wyciska długi pocałunek na pierścionku, a potem wtula policzek w moją dłoń i zamyka oczy.

Nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa… no prawie. Właśnie wsunął mi ten pierścionek na palec serdeczny. Mojej lewej dłoni. Nie chcę zepsuć tej idealnej chwili, ale po głowie tłucze mi się pytanie:

– Prosisz mnie o rękę?

Prawie mdleję, gdy uśmiecha się promiennie, demonstrując dołeczek w policzku, a niesforny kosmyk opada mu na czoło. Podnosi mnie z kolan, sadza na pupie i opasuje się moimi nogami, tak że siedzimy spleceni ze sobą.

– Nie, Olivio Taylor. Proszę, żebyś była moja przez całą wieczność.

Przenika mnie rozdzierające wzruszenie. Jego twarz, jego szczerość… jego obezwładniająca miłość do mnie. W kolejnej bezcelowej próbie ukrycia łez chowam twarz na jego piersi i łkam cicho, a on wzdycha i masuje mi plecy kolistymi,

kojącymi ruchami. Nie wiem, dlaczego płaczę, skoro jestem taka szczęśliwa.

– To pierścionek wieczności – oznajmia i obejmuje moją głowę dłońmi, domagając się, żebym na niego spojrzała, zanim zacznie mówić dalej. – Nie ma znaczenia, na którym palcu go nosisz, poza tym wydaje mi się, że drugi palec serdeczny zajął już inny oszałamiający klejnot. Nie śmiałbym proponować, żebyś zdjęła pierścionek babci.

Uśmiecham się przez łzy, wiedząc, że nie jest to jedyny powód, dla którego umieścił pierścionek na mojej lewej dłoni. W ten sposób daje mi namiastkę tego, czego jego zdaniem kiedyś zapragnę.

– Kocham cię do szpiku kości, Millerze Harcie.

– A ja jestem tobą głęboko zafascynowany, Olivio Taylor. – Przyciska usta do moich i dla ukoronowania tego idealnego momentu obdarza mnie idealnym, pełnym uwielbienia pocałunkiem. – Mam prośbę – mówi, wykonując językiem koliste ruchy.

– Nigdy nie przestanę – zapewniam, pozwalając, żeby podniósł mnie z ziemi.

– Dziękuję. – Przyciąga mnie do siebie, przyciska do klatki piersiowej i rusza w stronę drugich drzwi prowadzących do salonu. Dywan przed kominkiem jest kremowy, miękki i puszysty i właśnie tam kieruje się Miller. Przerywa pocałunek i kładzie mnie na plecach.

– Zaczekaj – rozkazuje łagodnie i wychodzi z salonu. Jestem kłębkiem pożądania, całe moje ciało płonie. Spoglądam na pierścionek, przypominając sobie, jaki jest wspaniały, ale przede wszystkim co symbolizuje. Moje usta układają się w zadowolony uśmiech, ale zaraz poważnieję, bo gdy podnoszę wzrok, widzę nagiego Millera.

Bez słowa idzie w moją stronę, w jego oczach czai się obietnica. Zaraz będzie mnie wielbił i coś mi mówi, że ta sesja miłosna usunie w cień wszystkie nasze poprzednie zbliżenia. Z każdego pora w jego nagiej skórze bije żądza. Chce poprzeć swoje słowa, swój podarunek i pocałunek fizycznym zjednoczeniem. Każde zakończenie nerwowe, każda kropla krwi i mięsień w moim ciele stają w ogniu.

Opada na kolana i kładzie obok mnie prezerwatywę, jego członek jest już sztywny i wyraźnie pulsuje.

– Chcę, żeby był nagi – mówi niskim, chrapliwym głosem, podsycając moje pożądanie. Opiera się na łokciu, układając się bokiem do mnie. Moja skóra rozgrzewa się do czerwoności, gdy wsuwa mi dłoń pod spódnicę i dotyka wnętrza uda.

Próbuję zaczerpnąć powietrza, ale zamiast tego wstrzymuję oddech. Gładkość jego dłoni zataczających koła tak blisko mojego wejścia jest najgorszą możliwą torturą, a jeszcze nawet nie wzięliśmy się na dobre do rzeczy.

– Gotowa na bycie wielbioną, Olivio Taylor? – Muska palcem moje figi, a ja wyginam plecy w łuk, wypuszczając gwałtownie powietrze.

– Proszę, przestań – mówię, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. – Proszę, nie

dręcz mnie.

– Powiedz, że chcesz, żebym cię wielbił. – Powoli ściąga spódnicę w dół nóg, razem z figami.

– Proszę, Miller.

– Powiedz to.

– Wielb mnie – szepczę, unosząc lekko plecy, gdy wsuwa pod nie rękę, żeby rozpiąć stanik.

– Jak sobie życzysz – zgadza się spokojnie, co jest wręcz nieprzyzwoite, bo mam pewność, że on też sobie tego życzy. – Podnieś się.

W milczeniu unoszę się posłusznie do pozycji siedzącej, a on znów klęka i ściąga mi koszulkę przez głowę, a potem zdejmuje stanik. Odrzuca go niedbale na bok, kładzie mi dłoń na łopatkach i przysuwa się do mnie, tak że znów opadam na plecy. Zawisa nade mną, wpijając się we mnie wzrokiem.

– Za każdym razem, gdy spoglądam ci w oczy, dzieje się coś niesamowitego.

– Opowiedz mi o tym.

– Nie potrafię. Nie jestem w stanie tego opisać.

– Tak jak swojej fascynacji?

Uśmiecha się. Jest w tym uśmiechu nieśmiałość, przez co wydaje się chłopięcy i uroczy, co rzadko mu się zdarza. Ale to nie jest zasłona dymna. To nie jest maska. Jest szczery. Tylko wobec mnie.

– Tak samo – potwierdza, pochylając się, żeby mnie pocałować. Kładę mu dłonie na ramionach i gładzę mięśnie, oboje mruczymy ze szczęścia, poruszając językami tak wolno, że prawie niezauważalnie. Przekrzywiam głowę, żeby być jeszcze bliżej, narastająca żądza zaczyna wymykać mi się spod kontroli.

– Rozkoszuj się tym – mówi mi w usta. – Mamy całą wieczność.

Jego słowa studzą nieco mój zapał i niechętnie spełniam jego żądanie. Wiem, że Miller jest równie podniecony jak ja, jednak jego potrzeba zachowania kontroli, udowodnienia, że jest w stanie się opanować, przesłania tę desperację. Skubie moją dolną wargę, a potem przesuwa po niej miękkim, rozluźnionym językiem, znów unosząc się na kolanach, a ja wiję się pod jego skupionym spojrzeniem, które tak wiele obiecuje. Patrzę jak urzeczona na jego twardy członek, gdy rozsuwa mi kolana i podciąga je do góry, otwierając mnie. Wpatrzony w moją pulsującą szparkę, wsuwa się między moje kolana i wkłada prezerwatywę. Wolne tempo, w jakim otwiera paczuszkę, wyjmuje kondom i wkłada go, przyprawia mnie o istne katusze. Ale żądanie, aby się pospieszył, nie ma sensu, więc czekam cierpliwie, choć wymaga to ode mnie całej siły woli.

– Miller. – Z ust wyrywa mi się jego imię, wyciągam ramiona w niemej prośbie. Ale on kręci głową, łapie mnie pod kolana i przysuwa się, tak że czubek jego członka muska moje wejście. Krzyczę, zaciskając powieki, rozpościeram szeroko ręce i zaciskam w pięściach włosie dywanu.

– Chcę cię widzieć całą – oznajmia, napierając, rozszerzając mnie z sykiem. – Otwórz oczy, Olivio.

Głowa zaczyna mi się trząść i napinam każdy mięsień, gdy wchodzi we mnie coraz głębiej.

– Olivio, proszę, otwórz oczy.

Ciemność pod moimi powiekami bombardują wizje wielbiącego mnie Millera. Zupełnie jak pokaz erotycznych slajdów, zwielokrotniający moją rozkosz.

– Cholera, Livy!

Zszokowana, otwieram oczy. Miller, obserwując mnie z fascynacją, wchodzi we mnie do końca. Podtrzymuje mi kolana, unosząc dolną część mojego ciała, którą do niego przywarłam. Szczękę z cieniem zarostu ma zaciśniętą, oczy lśniące, o dzikim spojrzeniu, falujące włosy w nieładzie, na czole niesforny kosmyk, usta pełne.

Jasny gwint! Czuję, jak we mnie pulsuje, i zaciskam wokół niego wszystkie wewnętrzne mięśnie.

– Ziemia do Olivii. – Jego ton jest namiętny, ocieka wręcz pożądaniem. Zaraz potem napiera na mnie całym ciałem. Mój umysł szwankuje, wyświetlające się w nim obrazy idą w rozsypkę, więc skupiam wzrok na jego twarzy.

– Patrz na mnie – rozkazuje, wycofując się powoli. Leniwe tarcie sprawia, że trudno mi spełnić jego żądanie. Ale udaje mi się to, nawet gdy boleśnie wolno wchodzi we mnie z powrotem. Każdy mój mięsień usiłuje dopasować się do tego metodycznego tempa. Przy każdym pchnięciu wypuszczam powietrze z płuc, a z ust wyrywa mi się ciche kwilenie. Ostre linie jego klatki piersiowej falują, napinają się, na gładkiej skórze pojawia się lśniąca warstewka potu. Udaje mi się wyrównać oddech, kiedy tak mnie dręczy, miarowe ruchy jego bioder dają mi niewyobrażalną rozkosz. A potem zaczyna ocierać się o mnie przy każdym pchnięciu, jego klatka piersiowa unosi się i opada gwałtownie. Wplatam palce we włosy i szarpię je rozpaczliwie, bo Miller znajduje się poza moim zasięgiem.

– Cholera jasna, Olivio. Twój widok, gdy tak walczysz ze sobą, dostarcza mi chorej satysfakcji. – Zaciska powieki, całe jego ciało wibruje.

Sutki zaczynają mnie świerzbić, a mięśnie brzucha boleć. Znów tkwię w zawieszeniu. Mam ochotę krzyknąć, żeby pozwolił mi dojść, ale chcę też odwlec nieuniknione, sprawić, żeby ta słodka udręka i robiąca z mózgu sieczkę rozkosz trwały wiecznie.

– Miller – szepczę, wijąc się i wyginając plecy w łuk.

– Głośniej – żąda, nacierając na mnie z nieco mniejszą precyzją. – Cholera, powiedz to głośniej, Olivio!

– Miller! – wykrzykuję jego imię, bo ostatnie pchnięcie popycha mnie na sam skraj orgazmu.

Miller wydaje z siebie niski, zduszony jęk, odzyskuje panowanie nad sobą i powraca do kontrolowanego, miarowego tempa.

– Za każdym razem, gdy cię biorę, mam nadzieję, że uda mi się zaspokoić to pożądanie. Ale to niemożliwe. Gdy tylko skończymy, pragnę cię jeszcze bardziej.

Wypuszcza moje nogi i opada na przedramiona, więżąc mnie pod swoim szczupłym ciałem. Rozkładam uda jeszcze szerzej, żeby miał więcej miejsca. Jego twarz zbliża się do mojej, nasze zdyszane oddechy mieszają się ze sobą. Patrząc mi w oczy, kołysze biodrami, przybliżając mnie do szczytu euforii. Wsuwam mu palce we włosy i szarpię niesforne loki, zaciskając mięśnie wokół jego członka.

– O tak, kurwa! Jeszcze raz. – Oczy ma zamglone, a jego wulgarność dodaje mi śmiałości. Gdy czubek jego twardej męskości wsuwa się najgłębiej, jak to możliwe, znów zaciskam mięśnie. – O kuuurwa.

Największej przyjemności dostarcza mi patrzenie, jak opuszcza brodę, a jego ciało dygoce z satysfakcji. Świadomość, że w takich chwilach jest zupełnie bezbronny, daje mi poczucie władzy. Otworzył się przede mną. Odsłonił. Jest słaby i silny jednocześnie. Podrywam biodra do góry, obserwując z zachwytem, jak rozpada się nade mną. Przy każdym roztrzęsionym pchnięciu zaciskam się wokół niego, najmocniej jak potrafię. Rysy jego idealnej twarzy zaczynają się wykrzywiać, dostrzegam dzikość w jego przenikliwych niebieskich oczach.

– Dobijasz mnie, Olivio Taylor. Dobijasz mnie. – Zsuwa się ze mnie i sadza mnie sobie na kolanach. – Zakończ to. – Ton jego głosu jest ostry, wygłodniały i pełen desperacji. – Zakończ to, do cholery.

Wzdrygam się lekko przy tej niespodziewanej zmianie pozycji, dzięki której wbija się we mnie jeszcze głębiej. Silne dłonie odnajdują moje uda i wpijają się w nie palcami. Nadziana na niego, wstrzymuję oddech, usiłując dopasować się do jego rozmiarów.

– Do dzieła, słodka dziewczyno. – Wyrzuca biodra w górę, a ja krzyczę, uderzając go dłońmi w pierś. – Teraz!

Jego okrzyk podrywa mnie do działania, zaczynam wykonywać biodrami okrężne ruchy, ignorując ukłucia bólu i próbując skupić się na spazmach rozkoszy między nimi. Miller stęka i pomaga mi kołysać biodrami, naciskając na moje uda. Czuję się jak w swoim żywiole, gdy tak wpatrujemy się w siebie, balansując na krawędzi eksplozji.

– Zaraz dojdę, Olivio.

– Tak! – wołam, unoszę się na kolanach i opadam z impetem w dół. Miller przeklina siarczyście i szybko ustawia mnie na czworakach. Łapie mnie za biodra i wbija się we mnie z okrzykiem satysfakcji.

– O Boże! Miller!

– Czujesz mnie, Livy? Poczuj wszystko, co chcę ci dać. – Jeszcze kilka potężnych pchnięć i przekraczam granicę, by runąć w ciemność. Moje ciało zwala się na dywan, targane spazmami orgazmu. Odlatując, czuję, że już we mnie nie tkwi, ale zaraz opada mi na plecy, przysuwa krocze i wciska członek w szparę między

pośladkami, mamrocząc i kąsając mnie w szyję, po czym znów wsuwa się w moje rozedrgane wnętrze. Rozkosz uderza mi do głowy tak mocno, że nie przejmuję się wcale tym, że doszłam przed nim. Czuję tępe pulsowanie jego członka, gdy wsuwa się we mnie raz po raz. A potem i on dochodzi, klnąc półgłosem.

Dysząc, otwieram oczy i wpatruję się w kremowy dywan pod sobą, usiłując zebrać myśli.

– Nie zrobiłeś mi krzywdy – szepczę zachrypniętym głosem. Wiem, że to będzie jego pierwsze pytanie, gdy odzyska oddech. Jego zwierzęca natura, ta, którą przede mną ukrył, staje się uzależniająca.

Z westchnieniem satysfakcji wyciągam ramiona nad głowę, a Miller wysuwa się ze mnie. Całuje mnie w oba barki, a potem wędruje w dół kręgosłupa, liżąc i podskubując. Zamykam oczy, a on kontynuuje tę leniwą wędrówkę aż do mojej pupy. Zatapia w niej zęby, i to całkiem mocno, ale jestem zbyt wyczerpana, żeby krzyknąć z bólu czy się odsunąć. Gdy ma już dość, wpełza na mnie, przesuwa dłońmi wzdłuż moich ramion i odnajduje moje dłonie. Splata ze mną palce, wtula twarz w moją szyję i wzdycha z zadowoleniem równym mojemu.

– Zamknij oczy – mamrocze.

Wtedy, zupełnie niespodziewanie, ciszę przerywa muzyka. Łagodna muzyka o głębokich słowach.

– Poznaję to – szepczę, słysząc w myślach Millera nucącego kojącą melodię.

Wcale nie w myślach.

Otwieram oczy i wiercę się tak długo, aż pozwoli mi się obrócić. Przestaje nucić i uśmiecha się do mnie, a oczy mu się skrzą.

– Ta piosenka – zaczynam.

– Nucę ci ją od czasu do czasu – szepcze z pewną nieśmiałością. – Gabrielle Aplin.

– *The Power of Love* – kończę za niego, a on nachyla się, popycha mnie na plecy i kładzie się na mnie, równomiernie rozkładając ciężar ciała.

– Hmmm – mruczy.

Wciąż cała drżę, wibruję, pulsuję.

Nawet cała wieczność nam nie wystarczy.

Rozdział 4

Śniłam rozkoszne sny. Przeżywałam w nich raz jeszcze drugą połowę wczorajszego dnia. Poruszam zaspanymi powiekami, mój budzący się umysł odnotowuje, że Miller jest blisko. Bardzo blisko. Leżę wtulona w jego bok, tonąc w jego objęciach.

Ostrożnie i cicho unoszę lewą rękę, odnajduję pierścionek i wzdycham, rozkoszując się uporem, z jakim mój umysł przypomina mi każde wypowiedziane słowo i rozegraną scenę.

Rozkoszne sny zdarzają się nie tylko wtedy, gdy się śpi.

Korzystając z głębokiej drzemki Millera, przez dłuższą chwilę wędruję dłonią po jego torsie. Jest martwy dla świata… a przynajmniej jego większa część. Przyglądam się z fascynacją, jak jego członek zaczyna nabrzmiewać, gdy moja dłoń zsuwa się ku ostro zarysowanej literze V w dole jego brzucha, aż staje się twardy i pulsuje, błagając o zainteresowanie.

Chcę, żeby obudził się, jęcząc z rozkoszy, więc zsuwam się ostrożnie w dół i moszczę między jego udami. Rozwiera je, tak że nie muszę ich rozsuwać, i ustawiam się naprzeciw jego porannej erekcji. Oblizuję wargi, gotowa doprowadzić go do szaleństwa. Delikatnie chwytam członek za nasadę i zerkam na jego twarz, ale nie widzę żadnych oznak życia, tylko rozchylone usta i nieruchome powieki. Skupiam uwagę na twardej pałce w mojej dłoni i zdając się na instynkt, powoli obwodzę czubek językiem, zbierając kropelkę nasienia, które już się na nim zebrało. Żar jego ciała, gładkość jego napiętej skóry, twardość jego mięśni, to wszystko działa na mnie jak narkotyk. Wkrótce unoszę się na kolanach i biorę go całego do ust, a potem z jękiem zadowolenia przesuwam się w górę. Całą uwagę skupiam na starannych liźnięciach i całusach, rozkoszując się cudownym uczuciem trzymania go w ustach. W pewnym momencie Miller zaczyna jęczeć, ale dociera to do mnie dopiero wtedy, gdy czuję jego dłonie we włosach. Uśmiecham się, przesuwając ustami w górę i w dół. Zaczyna powoli unosić biodra, wychodząc na spotkanie moim pieszczotom, jego dłonie nadają moim ruchom idealny rytm.

Zaspany, mamrocze coś niezrozumiale słabym, łamiącym się głosem. Zaczynam przesuwać dłonią w górę i w dół, w rytmie ruchów ustami, potęgując jego przyjemność. Porusza nogami, powoli kręcąc głową na boki. Każdy dotykający mnie mięsień tężeje, a członek obrzmiewa mi w ustach, zapowiadając rychły finał, więc zwiększam jeszcze tempo. Głowa podskakuje mi w górę i w dół, uderzenia w tylną ścianę gardła wzmagają moją rozkosz.

– Przestań – szepcze, nie przestając przyciągać mojej głowy. – Proszę, przestań.

Zaraz dojdzie i ta świadomość nie pozwala mi ustać w wysiłkach.

– Nie! – Podciąga kolano, uderzając mnie z impetem w szczękę. Krzyczę z bólu. Jego nabrzmiały członek wypada mi z ust, gdy podrywam się do góry. Przyciskam dłoń do twarzy, żeby uśmierzyć pulsujący ból. – Zostaw mnie! – Podnosi się i gramoli do tyłu, aż uderzy plecami o sofę, z jedną nogą podciągniętą, a drugą wyprostowaną przed sobą. Niebieskie oczy ma wytrzeszczone ze strachu, ciało spocone, a jego klatka piersiowa unosi się i opada gwałtownie.

Odsuwam się instynktownie, szok i ostrożność nie pozwalają mi na jakikolwiek gest pocieszenia. Nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Patrzę tylko, jak wodzi dookoła wzrokiem, z ręką na piersi, jak gdyby próbował uspokoić oszalałe serce. Ból przeszywający mi szczękę jest niewiarygodny, ale z suchych oczu nie lecą łzy. Odcięłam się od swoich uczuć. Miller wygląda jak wystraszone zwierzątko, osaczone i bezradne, a kiedy spuszcza wzrok na swoje krocze, podążam za jego spojrzeniem.

Wciąż jest twardy jak skała. Jego członek zaczyna drgać, Miller stęka, głowa opada mu na ramiona. A potem dochodzi, łkając żałośnie. Biały płyn wylewa mu się na brzuch i uda, wytrysk wydaje się nie mieć końca.

– Nie – mamrocze sam do siebie, gorączkowo przeczesując włosy palcami i zaciskając powieki. – Nie! – ryczy, waląc dłońmi o podłogę, aż cofam się, zszokowana.

Nie wiem, co robić. Wciąż siedzę w pewnej odległości od niego, wciąż przyciskam dłoń do szczęki, a w głowie mam gonitwę myśli. Wracają wspomnienia. Tylko raz pozwolił mi, żebym wzięła go do ust. Na krótko, i nie doszedł wtedy. Jęczał z rozkoszy, naprowadził mnie, ale szybko się wycofał. Poza tym jednym razem zawsze gdy próbowałam się zapuszczać w tamte rejony, powstrzymywał mnie. Raz w swoim biurze pozwolił mi się pieścić ręką i pamiętam, jak zaznaczył, że mogę używać wyłącznie ręki. Pamiętam też, jak mówił, że nie zadowala się własnoręcznie. Dlaczego?

Wyrywa chusteczkę higieniczną z pudełka na pobliskim stoliku i zaczyna się gorączkowo wycierać.

– Miller? – mówię cicho. Mój głos wdziera się w dźwięk jego przyspieszonego oddechu i odgłosy szamotaniny. Nie mogę się zbliżyć, dopóki nie zauważy mojej obecności. – Miller, spójrz na mnie.

Spuszcza ramiona, ale unika wzrokiem mojej twarzy.

– Miller, proszę, spójrz na mnie. – Przysuwam się ostrożnie, rozpaczliwie pragnąc go pocieszyć, bo najwyraźniej bardzo tego potrzebuje. – Proszę. – Czekam niecierpliwie, ale wiem, że muszę obchodzić się z nim jak z jajkiem. – Błagam cię.

Udręczone niebieskie oczy mrugają powoli i w końcu się otwierają, ich spojrzenie dociera do najgłębszych zakamarków mojego serca. Głowa zaczyna mu się trząść.

– Tak mi przykro – mówi zdławionym głosem, obejmując dłonią gardło, jak gdyby

miał kłopoty z oddychaniem. – Zrobiłem ci krzywdę.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, choć mam wrażenie, że moja szczęka wymaga nastawienia. Puszczam ją, przysuwam się i powoli wpełzam mu na kolana. – Nic mi nie jest – powtarzam, wtulając twarz w jego wilgotną szyję. Czuję ulgę, gdy nie protestuje. – Wszystko w porządku?

Robi szybki wydech, jak gdyby chciał się zaśmiać.

– Nie wiem, co się stało.

Marszczę brwi, uświadamiając sobie, że będzie próbował się wymigać od moich pytań.

– Możesz mi powiedzieć – naciskam.

Odchyla się do tyłu i wwierca we mnie wzrokiem, który sprawia, że czuję się mała i bezużyteczna. Kamienny wyraz jego twarzy pogarsza jeszcze sytuację.

– Co mam ci powiedzieć?

Wzruszam lekko ramionami.

– Skąd taka gwałtowna reakcja? – Czuję się nieswojo pod tym intensywnym spojrzeniem. Nie wiem czemu, bo świdruje mnie nim od samego początku naszej znajomości.

– Przepraszam. – Jego spojrzenie łagodnieje, a gdy pada na moją szczękę, pojawia się w nim troska. – Zaskoczyłaś mnie, Olivio. To wszystko. – Przesuwa gładką dłonią po moim policzku, a potem zatacza nią kółko.

Okłamuje mnie. Ale nie mogę go zmusić, żeby podzielił się ze mną czymś, co będzie dla niego zbyt bolesne. Już się tego nauczyłam. Mroczna przeszłość Millera Harta musi pozostać w mroku, z dala od naszego blasku.

– W porządku – mówię, choć wcale tak nie myślę. Jestem roztrzęsiona, podobnie jak Miller. Mam ochotę kazać mu się wytłumaczyć, ale powstrzymuje mnie instynkt. Ten sam instynkt, który prowadził mnie od dnia, w którym poznałam tego skomplikowanego mężczyznę. Wciąż to sobie powtarzam, ale zastanawiam się, co by było, gdybym stłumiła wszystkie swoje naturalne reakcje na Millera Harta oraz sytuacje, w jakich mnie postawił. Byłabym wciąż martwa. Pozbawiona życia. Egzystowałabym w samotności, udając, że jestem szczęśliwa. Moje życie zostało wywrócone do góry nogami, przesycone dramatyzmem, jak gdyby trzeba było nadrobić jego brak w poprzednich latach, lecz mimo to nie ustanę w próbach pomocy ukochanemu. Jestem przy nim.

Odkryłam wiele mrocznych sekretów Millera Harta, a w głębi serca wiem, że jest ich więcej. Wciąż pojawiają się nowe pytania. Ale odpowiedzi na nie nawet na jotę nie zmienią tego, co do niego czuję. To bolesne dla niego, a przez to i dla mnie. Nie chcę przysparzać mu cierpienia, a do tego sprowadzałoby się zmuszanie go do wyznań. Moja ciekawość może zaczekać. Ignoruję ten zakamarek mojego umysłu, który podsuwa mi myśl, że może wcale nie chcę wiedzieć.

– Kocham cię do szpiku kości – szepczę, próbując rozluźnić atmosferę. – Kocham

cię do szpiku twoich popieprzonych kości.

Jego poważną twarz rozpromienia szeroki uśmiech, w niebieskich oczach pojawiają się iskierki, a w policzku dołeczek.

– A moje popieprzone kości są tobą głęboko zafascynowane. – Dotyka mojej szczęki. – Boli?

– Niespecjalnie. Ostatnio często dostaję po głowie.

Miller się wzdryga, a ja zdaję sobie sprawę, że próba poprawienia mu nastroju się nie powiodła.

– Nie mów tak.

Mam już przeprosić, gdy w oddali rozlega się głośny pisk komórki Millera.

Zdejmuje mnie ostrożnie z kolan i sadza obok siebie, całuje mnie w czoło, wstaje, po czym podchodzi do stolika i bierze telefon do ręki.

– Miller Hart – mówi chłodnym, zdystansowanym tonem i rusza nago w stronę gabinetu. Od chwili przyjazdu zawsze, gdy rozmawiał przez telefon, zamykał za sobą drzwi, ale tym razem zostawia je otwarte. Uznaję to za sygnał dla mnie, podnoszę się z podłogi i idę za nim. Staję w progu, patrząc na nagiego Millera, który rozsiadł się na swoim fotelu i masuje skronie kolistymi ruchami palców. Sprawia wrażenie poirytowanego i zestresowanego, ale kiedy podnosi głowę i odnajduje moje spojrzenie, wszystkie negatywne emocje opadają, a jego błękitne oczy skrzą się wesoło. Unoszę rękę i zaczynam się odwracać do wyjścia.

– Chwileczkę – mówi Miller do słuchawki, odsuwa ją od ucha i przyciska do nagiego torsu. – Wszystko w porządku?

– Jasne. Zostawię cię samego.

Z namysłem stuka telefonem w pierś, wodząc wzrokiem po moim nagim ciele.

– Nie chcę, żebyś mnie zostawiła. – Odnajduje moje spojrzenie, a ja wyłapuję dwuznaczność jego słów. Przekrzywia głowę, a ja podchodzę do niego ostrożnie, zaskoczona jego prośbą, choć nie kiełkującym we mnie pożądaniem. Patrzy na mnie z cieniem uśmiechu na twarzy, bierze mnie za rękę i całuje mój nowy pierścionek.

– Siadaj. – Przyciąga mnie do siebie, tak że ląduję na jego nagich kolanach, każdy mięsień w moim ciele napina się, gdy jego na wpół twardy członek wbija mi się między pośladki. Opieram się o niego plecami, a głowę wtulam w zagłębienie jego szyi.

– Kontynuuj – zwraca się do rozmówcy.

Uśmiecham się pod nosem, zachwycona tym, że Miller potrafi być taki czuły i uroczy w stosunku do mnie, a zaraz potem obcesowy i odpychający wobec osoby, z którą rozmawia. Muskularne ramię oplata mnie mocno w talii.

– To Livvy – syczy. – Gdybym rozmawiał z cholerną królową, a Olivia by mnie potrzebowała, nawet królowa musiałaby zaczekać.

Na mojej twarzy odmalowuje się dezorientacja pomieszana z odrobiną satysfakcji. Podnoszę na niego wzrok, chcę zapytać, kto to, ale coś mnie powstrzymuje. To

przytłumiony dźwięk znajomego, jedwabistego głosu dobiegający ze słuchawki.

William.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy – fuka Miller, dając mi buziaka, a potem z powrotem układa moją głowę w zagłębieniu swojej szyi i przyciąga mnie jeszcze bliżej. W milczeniu zaczyna się bawić kosmykiem moich włosów, który skręca tak mocno, że zaczyna mnie boleć głowa, więc szturcham go lekko w żebra, żeby dać wyraz swemu niezadowoleniu. Słyszę miękki głos Williama, choć nie rozróżniam poszczególnych słów, a Miller rozwija lok, po czym zaczyna skręcać go z powrotem.

– Udało ci się coś ustalić w tej sprawie? – pyta.

Domyślam się, o czym rozmawiają, ale gdy tak tu siedzę mu kolanach, słuchając jego spokojnego, zdystansowanego tonu, moja ciekawość rośnie. Nie powinnam była wchodzić do gabinetu, a teraz zachodzę w głowę, co takiego udało się ustalić Williamowi.

– Chwileczkę – mówi cicho Miller i zauważam kątem oka, że opiera rękę z telefonem o podłokietnik. Wypuszcza moje włosy, zapewne zostawiając w nich całą masę kołtunów, ujmuje dłonią mój policzek i obraca mnie twarzą do siebie. Zaglądając mi głęboko w oczy, wciska jakiś przycisk na klawiaturze telefonu i na oślep odkłada go na biurko, nawet na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku. Nawet po to, żeby sprawdzić, gdzie znalazła się komórka, czy poprawić jej ułożenie.

– Williamie, przywitaj się z Olivią.

Wiercę się niespokojnie na kolanach Millera, milion różnych emocji burzy spokój, jaki czułam w jego objęciach.

– Witaj, Olivio. – Głos Williama brzmi pokrzepiająco. Ale ja nie mam ochoty słuchać, co ma mi do powiedzenia. Ostrzegał mnie przed Millerem od chwili, w której dowiedział się o naszym związku.

– Witaj, Williamie. – Szybko odwracam się do Millera i napinam mięśnie, gotowa wstać. – Nie będę ci przeszkadzać w pracy. – Ale nigdzie nie idę. Miller powoli kręci głową i ściska mnie mocniej.

– Jak się masz? – Na to pytanie odpowiedziałabym bez trudu… pół godziny temu.

– Dobrze – odpowiadam cienko, besztając się w duchu za swoje skrępowanie, ale przede wszystkim za to, że się z nim zdradziłam. – Idę naszykować śniadanie. – Znów próbuję wstać… i znów siadam.

– Olivia zostanie ze mną – oznajmia Miller. – Kontynuuj.

– Tam, gdzie skończyliśmy? – pyta William zszokowanym tonem, co sprawia, że moje skrępowanie przeradza się w panikę.

– Tak – potwierdza cicho Miller, kładzie mi dłoń na zesztywniałym karku i ugniata go stanowczymi, zdecydowanymi ruchami. Marnuje czas.

Po drugiej stronie zapada cisza, potem słychać jakieś szelesty, pewnie William kręci się niespokojnie na swoim wielkim biurowym fotelu, zanim się odezwie:

– Nie jestem pewien…

– Olivia zostaje – przerywa mu Miller, a ja przygotowuję się na kontratak Williama… ale ten nie nadchodzi.

– Hart, codziennie podaję w wątpliwość twoje zasady. – William się śmieje. To mroczny, sardoniczny śmiech. – Ale nigdy nie wątpiłem, że jesteś zdrowy na umyśle, jak bardzo szalone byłyby niektóre twoje wyczyny. Zawsze wiedziałem, że zachowujesz przytomność umysłu.

Mam ochotę się wtrącić i wyprowadzić Williama z błędu. Kiedy Miller traci panowanie nad sobą, przestaje myśleć trzeźwo. Zmienia się w szalonego, nierozsądnego… kompletnie stukniętego świra. Tak czy nie? Powoli odwracam głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu natychmiast pali mi skórę. Jego twarz, choć nie wyraża żadnych uczuć, jest anielska. Zachodzę w głowę, czy William może mieć rację. Nie mogę się z nim zgodzić. Może nie widział ataków wściekłości, jakie zdarzają się Millerowi, odkąd mnie poznał.

– Zawsze wiem, co robię i po co – odpowiada powoli Miller. Wie, co myślę. – Może zdarza mi się stracić głowę na ułamek sekundy, ale tylko na ułamek sekundy – szepcze tak cicho, że William z pewnością go nie dosłyszał. I tak po prostu odpowiada na następne pytanie, nad którym się zastanawiałam. – Moje działania zawsze mają uzasadnienie.

Tę część William dosłyszał. Wiem, bo słyszę jego śmiech.

– W czyim świecie, Hart?

– Moim. – Znów mówi do słuchawki, obejmując mnie mocniej. – A teraz także twoim, Anderson.

Jego słowa są dla mnie niejasne. Nie rozumiem ich, ale dreszcz przebiegający mi po plecach i długa, niesamowita cisza, jaka po nich zapada, każe mi mieć się na baczności. Po co tu przyszłam? Dlaczego nie poszłam prosto do kuchni, żeby coś zjeść? Obudziłam się głodna, ale teraz zupełnie straciłam apetyt. Mam wrażenie, że mój żołądek to próżnia wypełniająca się gwałtownie niepokojem.

– Twój świat nigdy nie będzie moim. – W głosie Williama słychać gniew. – Nigdy.

Muszę stąd wyjść. To może być jedna z tych sytuacji, gdy ich światy wchodzą ze sobą w kolizję, a ja nie chcę być w pobliżu, kiedy do tego dojdzie. Dzielący ich Atlantyk uniemożliwia bezpośrednią konfrontację, ale sam ton głosu Williama, jego słowa i rozedrgane ciało Millera pode mną nie wróżą dobrze.

– Chciałabym wyjść – mówię, na próżno usiłując oderwać dłoń Millera od swojego brzucha.

– Zostań, Olivio. – Moje próby uwolnienia się spełzają na niczym, a nierozsądny upór Millera, który domaga się, żebym była świadkiem tego przykrego przedstawienia, zmusza mnie do pokazania pazurków.

– Puść. Mnie – cedzę przez zaciśnięte zęby, mierząc wściekłym wzrokiem jego beznamiętną twarz. Jestem w szoku, gdy natychmiast mnie wypuszcza. Zrywam się z jego kolan i nie wiedząc, czy umknąć pospiesznie, czy raczej wyjść z godnością,

zaczynam poprawiać nieistniejące ubranie, rozważając swój dylemat.

– Przepraszam – mówi Miller, łapiąc mnie za rękę i ściskając ją delikatnie. – Proszę, chciałbym, żebyś została.

Zapada krótka, krępująca cisza, którą przerywa w końcu szczery śmiech Williama, co przypomina mi, że nie jesteśmy w pokoju sami.

– Tak, już skończyliśmy – potwierdza Miller. – Ja też cię przepraszam.

– Nie rozumiem, po co mam zostać – wyznaję. Już i tak mam trudności z przetrawieniem tego wszystkiego.

– William próbował dowiedzieć się kilku rzeczy, to wszystko. Proszę, zostań i posłuchaj, co ma do powiedzenia.

Cieszę się, że chce podzielić się ze mną tym brzemieniem, ale jestem też przestraszona. Kiwam nieznacznie głową, siadam mu z powrotem na kolanach i pozwalam, żeby ułożył mnie w wygodnej dla siebie pozycji, czyli bokiem, z policzkiem na jego piersi i nogami zwisającymi przez podłokietnik.

– Okej. Co z Sophią?

Krew krzepnie mi w żyłach na samą wzmiankę o niej.

– Upiera się, że nic nie pisnęła Charliemu.

Charliemu? Kim jest Charlie?

– Wierzę jej – stwierdza Miller. Przyznaje to niechętnie, co jest dla mnie zaskakujące, tym bardziej że William się z nim zgadza. – Wyczułeś coś, co wskazywałoby, że to ona śledziła Olivię?

– Nie mam pewności, ale wszyscy wiemy, co ta kobieta do ciebie czuje, Hart.

Ja z całą pewnością wiem, co Sophia czuje do Millera, a to dlatego, że była na tyle miła, żeby sama mi o tym powiedzieć. Jest byłą klientką, która się w nim zakochała. Miller obawiał się, że próbowała mnie porwać. Czy kocha go aż tak bardzo? Na tyle, żeby się mnie pozbyć?

– Wyczuć coś w przypadku Sophii Reinhoff? – prycha William. – Jedyne, co czuję w jej obecności, to chłód. Byłeś nieostrożny. Postąpiłeś niemądrze, zabierając Livy do Ice. A zabranie jej do swojego apartamentu było już skrajną głupotą. Idę o zakład, że Sophia rozkoszuje się świadomością, że może cię zdemaskować, Hart.

Kulę się, czując na sobie wzrok Millera. Wiem, co się zaraz stanie.

– Olivia i ja nie obnosiliśmy się z naszym związkiem. Zabierałem Livy do klubu tylko wtedy, gdy był zamknięty.

– A gdy pojawiła się tam bez twojej wiedzy, czy kazałeś ją wyprowadzić? Czy trzymałeś się na dystans, żeby zmniejszyć ryzyko powiązania was ze sobą? – W poważnym tonie Williama słychać sarkazm. Mam ochotę schować się pod ziemią. – No więc? – dopytuje się, choć doskonale wie, jak brzmi odpowiedź.

– Nie – cedzi Miller przez zaciśnięte zęby. – Zdaję sobie sprawę z własnej głupoty.

– A więc mamy klub pełen ludzi, którzy widzieli, jak wyniosły, zawsze opanowany Miller Hart wpadł w szał z powodu pięknej młodej kobiety. Rozumiesz,

do czego zmierzam?

Przewracam oczami, zirytowana, że William deprecjonuje Millera na każdym kroku. Przygniata mnie poczucie winy. Nieświadomość konsekwencji mojego zachowania przyśpieszyła bieg wydarzeń, nie zostawiając Millerowi wyjścia.

– Odnotowałem, Anderson – wzdycha Miller. Znów łapie mnie za włosy i zaczyna nawijać kosmyk na palec. Zapada cisza. Krępująca cisza, która sprawia, że mam jeszcze większą ochotę uciec z gabinetu i zostawić tych dwóch mężczyzn, żeby sami mogli dokonać podsumowania naszej fatalnej sytuacji.

William odzywa się dopiero po dłuższej chwili i nie podoba mi się to, co mówi.

– Musiałeś przewidzieć konsekwencje swojej rezygnacji, Hart. Wiesz, że nie do ciebie należy decyzja.

Kulę się i wtulam w bok Millera, jak gdybym mogła się w nim ukryć przed naszymi problemami. Niewiele myśli poświęcałam niewidzialnym kajdanom pętającym Millera i niemoralnym draniom, którzy mają do nich klucz. Duch Gracie Taylor zawładnął moim umysłem i w pewnym sensie było to dla mnie prostsze. Teraz nastąpiło brutalne zderzenie z rzeczywistością, a dźwięk głosu Williama, udręka Millera i nagłe poczucie porażki sprawiają, że zaczynam się denerwować nie na żarty. Nie jestem pewna, co czeka nas po powrocie do Londynu, ale wiem, że czeka mnie próba – czeka nas próba – trudniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Dotyk miękkich ust na skroni przypomina mi, gdzie jestem.

– Wtedy nieszczególnie mnie to obchodziło – przyznaje Miller.

– A teraz? – pytanie Williama i ton, jakim je zadał, zdradzają, że istnieje tylko jedna poprawna odpowiedź.

– Teraz obchodzi mnie wyłącznie bezpieczeństwo Olivii.

– Prawidłowa odpowiedź – odpowiada ostro William, a gdy spoglądam na Millera, ten siedzi zadumany, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

Nie podoba mi się jego zrezygnowanie. Widziałam tę minę wiele razy i niezmiernie mnie ona martwi. Czuję się ślepa, bezużyteczna, a że nie znajduję słów pocieszenia, kładę mu dłoń na karku, przyciągam go do siebie i wtulam twarz w zarost na jego szyi.

– Kocham cię. – Wypowiedziane szeptem wyznanie przychodzi mi całkiem naturalnie, jak gdyby instynkt podpowiadał mi, że ciągłe zapewnianie go o mojej miłości to wszystko, co mogę zrobić. Niechętnie przyznaję w duchu, że tak właśnie jest.

– Nie mogę uwierzyć, że byłeś aż tak głupi, żeby się wycofać – ciągnie William.

Miller tężeje pode mną.

– Głupi? – syczy, przyciągając mnie do siebie. Wtulona w jego nagie ciało, prawie czuję buzujące w nim emocje. – Sugerujesz, że będąc z Olivią, powinienem nadal pieprzyć inne kobiety? – Jego wulgarność sprawia, że krzywię się z odrazą, przed oczyma stają mi pasy i… Stop!

– Nie. – William nie daje za wygraną. – Sugeruję, że nie powinieneś był sięgać po coś, czego nie możesz mieć. Problemy się skończą, jeśli zrobisz to, co należy.

To, co należy. Czyli zostawi mnie. Wróci do Londynu i będzie Ulubieńcem.

Nie jestem w stanie pohamować złości, w jaką wprawiły mnie słowa Williama, zwłaszcza że znów zachowuje się jak kompletny dupek.

– Może mnie mieć. – W przypływie zuchwałości uwalniam się z uścisku Millera, siadam i przysuwam się jak najbliżej telefonu, żeby słyszał mnie głośno i wyraźnie. – Nawet nie waż się o tym wspominać, Williamie! Nie zmuszaj mnie, żebym wbiła nóż w jątrzącą się ranę!

– Olivio! – Miller szarpnięciem przyciąga mnie do piersi, ale wzburzenie dodaje mi sił. Odpycham go i przysuwam się z powrotem do komórki. Słyszę wyraźnie poirytowane odgłosy, jakie z siebie wydaje, ale nie powstrzyma mnie to.

– Wiem, że nie grozisz mi użyciem przemocy, Olivio – mówi William, a w jego głosie słychać leciutkie rozbawienie.

– Gracie Taylor. – Wypowiadam jej imię przez zaciśnięte zęby i wcale nie cieszy mnie głośne westchnienie urazy, które dobiega z drugiego końca linii. – To ją widziałam? – pytam. Miller natychmiast przyciąga mnie do siebie, a ja usiłuję się wyswobodzić z jego uścisku. – To była ona?! – krzyczę, w szale trafiając go łokciem w żebra.

– Kurwa! – ryczy Miller, wypuszczając mnie z uścisku. Rzucam się w stronę komórki, usiłując zaczerpnąć tchu, żeby domagać się odpowiedzi, ale Miller wyskakuje do przodu i przerywa połączenie, zanim mi się to uda.

– Co ty wyrabiasz?! – wrzeszczę, odpychając jego ręce, gdy próbuje mnie objąć.

Miller wygrywa. Przyciąga mnie do siebie i unieruchamia.

– Uspokój się!

Targa mną wściekłość, zaślepia mnie desperacja.

– Nie! – Czując przypływ sił, gwałtownym szarpnięciem wyginam plecy w łuk w próbie uwolnienia się z uścisku coraz bardziej zaniepokojonego Millera.

– Uspokój. Się. Olivio – syczy mi ostrzegawczo do ucha, gdy już zdołał przycisnąć mnie do nagiej piersi. Żar naszych ciał zdradza kipiącą w nas wściekłość. – Nie każ mi się powtarzać.

Dyszę ciężko, rozczochrane włosy opadają mi na zaczerwienioną twarz.

– Puść mnie. – Mimo wyczerpania staram się mówić wyraźnie.

Oddychając głęboko, przyciska usta do moich włosów i wypuszcza mnie z objęć. Nie tracąc ani chwili, zeskakuję mu z kolan i uciekam od tej zimnej rzeczywistości – zatrzaskuję za sobą drzwi gabinetu i nie zwalniam, dopóki nie znajdę się w łazience obok sypialni, której drzwi też za sobą zatrzaskuję. Potem podchodzę do owalnej wanny i odkręcam kurki. Targająca mną złość nie pozwala mi się uspokoić. Muszę się uspokoić, ale uniemożliwiają mi to nienawiść do Williama i udręka wywołana wspomnieniem matki. Zaczynam targać się za włosy, złość ustępuje frustracji. Dla

odwrócenia uwagi wyciskam trochę pasty na szczoteczkę i zaczynam szorować zęby. To niemądra próba zlikwidowania kwaśnego posmaku, jaki zostawiło na moim języku jej imię.

Gdy poświęciłam już myciu zębów znacznie więcej czasu, niż to konieczne, wypluwam pastę i płuczę usta, a potem spoglądam w lustro. Moje blade policzki są zaróżowione, częściowo z powodu opadającej ze mnie złości, a częściowo przez pożądanie, które ostatnio nie opuszcza mnie ani na chwilę. Ale w moich ciemnoniebieskich oczach czai się niepokój. Po dramatycznych wydarzeniach, które zmusiły nas do ucieczki z Londynu, łatwo było schować głowę w piasek. Teraz zaczyna do mnie docierać bolesna rzeczywistość. „Odetnij się od świata i zostań tu ze mną na zawsze", szepczę, zaglądając sobie w oczy. Świat zastyga wokół mnie, gdy opieram się dłońmi o umywalkę i spuszczam głowę. Mój rozstrojony nerwowo umysł ogarnia poczucie beznadziei. Nie jest mile widziana, ale mój wycieńczony umysł i ciało nie są w stanie wykrzesać z siebie ani krztyny zdecydowania. Znowu wszystko wydaje się niemożliwe.

Z ciężkim westchnieniem podnoszę głowę znad umywalki i widzę, że woda prawie wylewa się z wanny, ale nie podbiegam do niej. Mam za mało energii, więc odwracam się i powoli wlekę na drugą stronę łazienki, żeby zakręcić kurki. Potem wchodzę do wanny i kładę się w wodzie, opanowując pokusę, żeby zamknąć oczy i zanurzyć twarz. Leżę nieruchomo, spoglądając pustym wzrokiem na przestronne pomieszczenie i usiłując o niczym nie myśleć. Udaje mi się to tylko do pewnego stopnia. Koncentruję się na przyjemnym tonie głosu Millera, każdym czułym słowie, jakie kiedykolwiek do mnie wypowiedział, każdej jego pieszczocie. Każdej. Od samego początku aż do teraz. Mam nadzieję, że będzie ich jeszcze więcej.

Ciche pukanie do drzwi łazienki ściąga moje spojrzenie, mrugam kilka razy, żeby nawilżyć suche oczy.

– Olivio? – Głos Millera jest niski i zatroskany. Nie czekając na odpowiedź, popycha delikatnie drzwi i trzymając za klamkę, opiera się o framugę. Włożył czarne bokserki, a na żebrach ma czerwony placek, który ma przeze mnie. Gdy spogląda na mnie przejrzystymi błękitnymi oczami, przygniata mnie poczucie winy. Próbuje się uśmiechnąć, ale w końcu wbija wzrok w podłogę. – Przepraszam.

Jego przeprosiny wprawiają mnie w zakłopotanie.

– Za co?

– Za wszystko – odpowiada bez wahania. – Za to, że pozwoliłem ci się we mnie zakochać. Za to… – Podnosi na mnie wzrok i powoli nabiera powietrza w płuca. – Za to, że byłem tobą zbyt zafascynowany, żeby zostawić cię w spokoju.

Uśmiecham się smutno, biorę do ręki szampon i wyciągam go w jego stronę.

– Zrobisz mi ten zaszczyt i umyjesz mi włosy? – Musi zatracić się w wielbieniu mnie, by ustabilizować nasz rozchwiany świat.

– Z największą przyjemnością – odpowiada, szybko pokonując dzielącą nas

odległość. Klęka obok wanny, bierze ode mnie butelkę i wyciska trochę szamponu na dłoń. Siadam i odwracam się do niego plecami, żeby ułatwić mu zadanie, a potem zamykam oczy i czuję na skórze głowy jego silne palce. Jego niespieszne ruchy i troskliwość pozwalają moim znużonym kościom zaznać odrobiny spokoju. Przez chwilę oboje milczymy. Masuje mi głowę, prosi, żebym spłukała włosy, a potem wciera w nie odżywkę. – Kocham twoje włosy – szepcze, powoli przeczesując je palcami i nucąc cicho.

– Wypadałoby je podciąć – oznajmiam i uśmiecham się pod nosem, gdy jego palce nieruchomieją raptownie.

– Tylko podciąć. – Zbiera mokre, śliskie pasma w kucyk i skręca go tak długo, aż owija go sobie wokół pięści. – I chcę przy tym być. – Odsuwa się nieco i przyciąga moją twarz do swojej.

– Chcesz pilnować fryzjerki? – pytam, speszona, sadowiąc się wygodniej. Jestem mu niezmiernie wdzięczna za tę chwilę relaksu.

– Tak. Tak, chcę. – Wcale nie żartuje. Jestem tego pewna. Całuje mnie lekko, raz po raz, a w końcu wpycha mi język do ust i omiata z czułością ich wnętrze. Rozluźniam się, zamykam oczy, a mój świat odzyskuje równowagę. – Tak cudownie smakujesz.

Przerywa pocałunek, ale wciąż trzyma twarz przy mojej, gdy rozpuszcza mi włosy, które opadają na plecy i od połowy unoszą się na wodzie. Są zdecydowanie za długie, sięgają aż do krzyża, ale wygląda na to, że krótsze już nie będą.

– Spłuczmy odżywkę z tych twoich niesfornych loków. – Przez chwilę gładzi mój policzek kciukiem, a potem przesuwa dłonie na kark na znak, żebym się zanurzyła. Zsuwam się po brzegu wanny i zamknąwszy oczy, znikam pod wodą.

Bez trudu wstrzymuję oddech, robiłam to już tyle razy, odkąd poznałam Millera: kiedy pozbawił mnie tchu jednym ze swoich pełnych uwielbienia pocałunków albo doprowadził do oszałamiającego orgazmu. Nic nie widzę ani nie słyszę, więc jestem zdana wyłącznie na jego dotyk. Masuje mi włosy stanowczymi ruchami, wypłukującymi z nich odżywkę, a ja czuję, jak opuszcza mnie cała wcześniejsza bezradność. Ale zaraz potem jego dłoń zsuwa się po boku mojej twarzy na szyję. Potem z szyi na klatkę piersiową. A z klatki piersiowej na obrzmiały wzgórek. Czuję mrowienie w koniuszkach sutków. Miller obwodzi wzgórek kolistym ruchem, a potem przesuwa dłoń na wnętrze uda. Tężeję pod wodą, starając się nie ruszać, żeby oszczędzać powietrze. Ciemność i cisza wyostrzają moje pozostałe zmysły, przede wszystkim dotyk. Jego palec omija moje drżące wargi i wsuwa się głęboko do środka. Gwałtownym ruchem wyciągam ręce z wody, przytrzymuję się brzegów wanny i podciągam do góry, żeby nie umknął mi żaden cudowny szczegół wielbiącego mnie Millera, a konkretnie jego idealna twarz przepełniona satysfakcją.

Chciwie wciągam powietrze w płuca, a Miller rozpoczyna leniwy masaż.

– Mmmm. – Opieram głowę o brzeg wanny i pozwalam jej opaść na bok,

przyglądając się, jak zaspokaja mnie swoimi zwinnymi palcami.

– Przyjemnie? – Głos ma szorstki, oczy pociemniałe.

Kiwam głową i przygryzam wargę, zaciskając każdy wewnętrzny mięsień, aby uchwycić leciutkie pulsowanie w dole brzucha. Ale tracę koncentrację, gdy przyciska kciuk do mojej łechtaczki i zaczyna zataczać nim precyzyjne kółka, dręcząc mój wrażliwy guziczek.

– Bardzo przyjemnie – szepczę, zaczynając dyszeć, a moja rozkosz wzmaga się jeszcze, gdy Miller rozchyla wargi i zmienia pozycję obok wanny, żeby mieć do mnie lepszy dostęp. Patrząc mi w oczy, wysuwa powoli palec, a potem znów go we mnie zanurza, biją od niego satysfakcja i poczucie zwycięstwa. Zaczynam dygotać. – Miller, proszę – błagam go, rozpaczliwie kręcąc głową z boku na bok. – Proszę, pozwól mi dojść.

Moja prośba zostaje wysłuchana. Równie rozpaczliwie jak ja pragnie zatrzeć wspomnienia z gabinetu. Nachyla się nad wanną i kontynuując głębokie pchnięcia, przywiera do mnie ustami i całuje, doprowadzając mnie na sam szczyt. Przygryzam jego dolną wargę i poddaję się orgazmowi. Zapewne sprawiam mu ból, ale to go nie powstrzymuje, za bardzo zależy mu na załagodzeniu nieporozumienia między nami. Targają mną rozkoszne spazmy, raz za razem, raz po raz. Moje ciało gwałtownie dygocze, rozbryzgując wodę, aż w końcu opadam z sił i cała wiotczeję. Teraz jestem wyczerpana z zupełnie innego powodu i jest to znacznie przyjemniejszy rodzaj wyczerpania.

– Dziękuję – dyszę, unosząc z trudem powieki.

– Nigdy mi nie dziękuj, Olivio Taylor.

Oddycham ciężko i z wysiłkiem, moje ciało dochodzi do siebie po satysfakcjonującym wybuchu.

– Przepraszam, że cię zraniłam.

Miller się uśmiecha. To tylko lekki uśmiech, ale ten piękny widok nigdy mi się nie znudzi. I z każdym dniem potrzebuję go coraz bardziej. Bierze oddech, wysuwa ze mnie palce i przeciąga nimi po moim ciele, docierając aż do policzka. Wiem, co zaraz powie.

– Nie możesz mnie zranić fizycznie, Olivio.

Kiwam głową i pozwalam, żeby pomógł mi wyjść z wanny i owinął mnie w ręcznik. Bierze jeszcze jeden z pobliskiej półki i zaczyna wycierać mi włosy, wyciskając z nich nadmiar wody.

– Wysuszmy te niesforne fale. – Kładzie mi dłoń na karku i prowadzi do łóżka. Gestem daje mi znak, żebym usiadła, co robię bez słowa skargi, wiedząc, że jego dłonie zaraz znajdą się w moich włosach. Wyjmuje suszarkę z szuflady, wtyka do kontaktu, a potem siada za mną, tak że obejmuje mnie nogami i otula swoim ciałem. Szum suszarki uniemożliwia rozmowę, z czego jestem zadowolona. Rozluźniam się, zamykam oczy i rozkoszuję się jego dotykiem, gdy masuje mi głowę, jednocześnie

susząc włosy. Uśmiecham się, wyobrażając sobie wyraz spełnienia na jego twarzy.

Szum cichnie zdecydowanie za szybko, Miller zanurza twarz w moich czystych włosach i obejmuje mnie ciasno w talii.

– Byłaś zbyt ostra, Olivio – odzywa się cicho, prawie ostrożnie. Nie podoba mi się, że w ogóle porusza ten temat, nawet jeśli ma do tego prawo, ale podoba mi się to, że robi to delikatnie.

– Przeprosiłam.

– Nie przeprosiłaś Williama.

Sztywnieję w jego objęciach.

– Odkąd to jesteś fanem Williama Andersona?

Trąca mnie nogą w udo. To ostrzeżenie, żebym schowała pazurki.

– Próbuje nam pomóc. Potrzebuję informacji i nie zdobędę ich sam, dopóki jestem w Nowym Jorku.

– Jakich informacji?

– O to się nie martw.

Zaciskam zęby i zamykam oczy, bo zaraz stracę cierpliwość.

– Martwię się o ciebie – mówię po prostu, wyswobadzając się z jego objęć i ignorując jego głośne westchnienie. On też zaraz straci cierpliwość. Nie obchodzi mnie to. Biorę z nocnego stolika szczotkę do włosów, a Miller opada na plecy, przeklinając pod nosem. Krzywiąc się z irytacji, wychodzę do salonu i siadam z impetem na kanapie. Zaczynam szczotkować włosy, szarpiąc splątane pasma, jak gdybym w ramach zemsty specjalnie próbowała uszkodzić jedną z ulubionych rzeczy Millera.

Znów ogarnia mnie zniechęcenie. Szczotkuję włosy, czerpiąc chorą satysfakcję z cierpienia, jakie mi to sprawia. Ostre ukłucia bólu przykuwają moją uwagę, uniemożliwiając myślenie. Udaje mi się nawet zignorować lekkie mrowienie skóry, które staje się silniejsze z każdą sekundą. Miller jest blisko, ale nie rozglądam się, zdecydowana wyrwać sobie włosy z głowy.

– Hej! – Przytrzymuje mi rękę i wyłuskuje szczotkę z zaciśniętych palców. – Wiesz, że cenię sobie swoją własność – grzmi, siadając za mną i przekłada mi włosy przez ramię. Jego słowa, choć aroganckie, otrzeźwiają mnie nieco. – To część mojej własności. Nie rób im krzywdy. – Miękkie włosie szczotki dotyka skóry głowy i w rytmie *God only Knows* Beach Boysów powoli sunie w dół, aż po same koniuszki włosów.

Miller nie traci panowania nad sobą, co podkreśla wybór tak radosnego i energetycznego utworu. Jak gdyby chciał mi powiedzieć, że jeśli chcę się dąsać, to bez niego. Jakaś nierozsądna część mnie miała nadzieję, że się wścieknie, żebym miała pretekst do awantury.

– Dlaczego się rozłączyłeś?

– Bo rozmowa wymknęła się spod kontroli, Olivio. Doprowadzasz mnie do

szaleństwa. A ja ciebie. – W jego głosie słychać rozpacz. Poczucie winy. Niechętnie kiwam głową, przyznając mu w duchu rację. Rzeczywiście, sprawy wymknęły się spod kontroli. A on naprawdę doprowadza mnie do szału.

– Wspomniałeś o jakimś Charliem. Kto to jest?

Robi głęboki wdech, zanim odpowie. Wstrzymuję oddech.

– Niemoralny drań.

Tylko tyle. Nic więcej nie mówi, a moje następne pytanie, choć znam już na nie odpowiedź, samo wymyka mi się z ust razem z zatrzymanym powietrzem.

– Odpowiadasz przed nim?

Zapada krępująca cisza, a ja przygotowuję się na odpowiedź, która zaraz padnie.

– Tak.

Głowa zaczyna mnie boleć od nawału tych wszystkich pytań, które zbyt łatwo od siebie odsunęłam. Miller odpowiada przed facetem o imieniu Charlie. Mogę sobie wyobrazić, co to za typ, skoro Miller się go obawia.

– Zrobi ci krzywdę?

– Zarabiam dla niego kupę forsy, Olivio. Nie myśl, że się go boję. Nie boję się go.

– Więc dlaczego uciekliśmy?

– Bo potrzebowałem chwili oddechu, czasu na zastanowienie, jak wybrnąć z całej tej sytuacji. Już ci mówiłem, nie mogę tak po prostu zrezygnować. Poprosiłem cię, żebyś mi zaufała, a ja coś wymyślę.

– I wymyśliłeś?

– Dzięki Williamowi zyskałem trochę czasu.

– W jaki sposób?

– Powiedział Charliemu, że mu się naraziłem. Że mnie szuka.

Marszczę brwi.

– William powiedział Charliemu, że go wkurzyłeś?

– Musiał jakoś wytłumaczyć swoją obecność w moim apartamencie. William i Charlie nie przepadają za sobą, podobnie jak William i ja. Chyba zdążyłaś się już zorientować. – To ironia, więc kwituję jego ostatnie zdanie prychnięciem. – Charlie nie może się dowiedzieć, że coś mnie łączy z Williamem. William miałby kłopoty. Nie lubię go, ale nie chciałbym go narazić na gniew Charliego, nawet jeśli sam potrafi o siebie zadbać.

Mój biedny umysł zaraz się przegrzeje.

– Co to dla nas oznacza? – pytam ledwo słyszalnym głosem, tak bardzo boję się usłyszeć odpowiedź.

– Anderson uważa, że najlepiej będzie, jeśli wrócę do Londynu. Nie zgadzam się z nim.

Czuję ogromną ulgę. Nie wrócę do Londynu, jeśli będę musiała się ukrywać, jeśli on będzie musiał spotykać się z tymi kobietami, dopóki nie znajdzie wyjścia z sytuacji.

Ściska mnie dla dodania mi otuchy, jak gdyby wiedział, o czym myślę.

– Nigdzie się nie wybieram, dopóki nie będę miał pewności, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo?

– Wiesz, kto mnie śledził?

Krótka cisza, jaka zapada po tym pytaniu, nie uspokaja moich rosnących obaw. Miller po prostu na mnie patrzy, gdy powoli dociera do mnie powaga naszej sytuacji.

– Czy to był Charlie?

Kiwa powoli głową, a mnie grunt usuwa się spod nóg.

– Wie, że odszedłeś z mojego powodu.

Chyba musiał wyczuć ogarniającą mnie panikę, bo upuszcza szczotkę, obraca mnie i sadza sobie na kolanach. Obejmuje mnie, ale dziś nie poprawi mi to nastroju.

– Ciii – uspokaja mnie bezskutecznie. – Zaufaj mi, znajdę wyjście.

– Czy mam jakiś wybór? – pytam. To nie jest test wielokrotnego wyboru. Jest tylko jedna prawidłowa odpowiedź.

Nie mam wyboru.

Rozdział 5

Aby mnie udobruchać, Miller resztę dnia, jeździł po Nowym Jorku wycieczkowym autobusem bez dachu. Uśmiechał się z czułością, gdy ignorowałam przewodnika i sama opowiadałam mu o mijanych atrakcjach. Słuchał z zainteresowaniem, a nawet zadawał pytania, na które chętnie odpowiadałam. Był zrelaksowany, gdy wysiedliśmy, żeby się przejść, i nie protestował, gdy zaciągnęłam go do typowych nowojorskich delikatesów. Szybkie tempo, w jakim wszystko się tu odbywa, było na początku trochę onieśmielające, ale zdążyłam się już przyzwyczaić. Szybko zamówiłam i jeszcze szybciej zapłaciłam. Potem jedliśmy, idąc, co też było dla Millera nowością. Czuł się nieswojo, ale nie narzekał. Byłam zachwycona, ale starałam się to ukryć, jak gdyby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Poranna scysja w połączeniu z wielogodzinnym zwiedzaniem sprawiły, że gdy wróciliśmy do hotelu, nie byłam w stanie utrzymać się na nogach. Wizja wspinaczki na dwunaste piętro prawie mnie dobiła, ale zamiast skonfrontować się ze swoim lękiem i skorzystać z windy, Miller bierze mnie na ręce i rusza po schodach. Jak zwykle cieszy mnie jego bliskość, ale ledwie starcza mi sił, żeby się go trzymać. Nie straciłam jednak węchu ani czucia, nawet jeśli moje ciężkie powieki same się zamykają. Jego twardy tors i charakterystyczny zapach przenoszą mnie do cudownej krainy, która śmiało mogłaby rywalizować z najpiękniejszymi snami.

– Chciałbym zanurzyć się teraz w tobie – szepcze Miller, kładąc mnie na łóżku, a niski, seksowny tembr jego głosu każe mi otworzyć oczy.

– Okej – zgadzam się szybko, choć sennie. Ściąga mi z nóg zielone conversy i ustawia je równo obok łóżka. Wiem, że ustawił je równo, bo mija chwila, zanim znów zacznie mnie rozbierać. Jest w nastroju pedantycznym, ale chce mnie także wielbić. Rozpina mi dżinsowe szorty i zsuwa je z nóg.

– Jesteś zbyt zmęczona, słodka dziewczyno. – Składa szorty i odkłada je obok butów. Nie znajduję w sobie dość sił, żeby zaprotestować, co przekonuje mnie, że ma stuprocentową rację. Do niczego się nie nadaję.

Unosi mnie na chwilę, żeby odsunąć narzutę, a potem kładzie mnie na materacu.

– Ręce do góry. – Na jego twarzy błąka się zawadiacki uśmiech, ale zaraz znika, zasłonięty przez materiał koszulki. Unoszę ramiona tylko dlatego, że ciągnie za T-shirt, a gdy tylko uwolni mnie ze stanika i fig, z westchnieniem opadam na plecy, przewracam się na brzuch i wtulam w pościel. Przyciska mi usta do ramienia przez bardzo długą chwilę.

– Zabierz mnie w swoje idealne sny, Olivio Taylor.

Nie jestem już w stanie przytaknąć ani wyrazić zgody w żaden inny sposób. Sen bierze mnie w swoje posiadanie i ostatnią rzeczą, jaką słyszę, jest znajome nucenie Millera.

Moje sny były słodkie i gościł w nich zrelaksowany Miller w całej swojej doskonałości. Mrugam powiekami, ale dezorientuje mnie ciemność. Czuję się tak, jak gdybym spała całe lata. Tryskam energią i jestem gotowa rozpocząć nowy dzień… gdyby tylko było już rano. Materac za moimi plecami ugina się i czuję, że Miller przysuwa się w moją stronę. Mam ochotę powiedzieć „dzień dobry", ale chyba jest jeszcze za wcześnie. Więc przysuwam się bliżej, przywieram do Millera i wtulam twarz w szorstki zarost na jego szyi. Zaciągam się jego zapachem i wciskam mu kolano między uda.

Miller zaspokaja moją potrzebę bliskości i nie protestuje, gdy wiercę się i kręcę, aż w końcu udaje mi się ułożyć wygodnie. Uśmiecham się, gdy w ciszy zaczyna nucić *The Power of Love*.

– Nuciłeś mi to podczas jednego z naszych pierwszych spotkań. – Przyciskam wargi do zagłębienia pod jabłkiem Adama i ssę lekko, a potem przesuwam językiem w górę, aż do brody.

– Faktycznie – przyznaje, pozwalając mi skubać swoją dolną wargę. – Pogrążyłaś mój idealny świat w totalnym chaosie.

Nie mogę wyrazić swojego zdania na ten temat, bo odsuwa się i układa mnie na boku, po czym sam zajmuje identyczną pozycję. Jest ciemno, ale teraz, gdy moje oczy przywykły już do mroku, widzę jego twarz. I nie podoba mi się to, co widzę. Zadumę. Zatroskanie.

– O co chodzi? – Odsuwam się, mój puls przyspiesza.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – pytam niecierpliwie. Obracam się, znajduję włącznik nocnej lampki i pokój zalewa przytłumione światło. Mrugam, bo razi mnie w oczy, a potem odnajduję wzrokiem Millera. Siedzi, a na jego twarzy gości niepokój.

– Powiedz mi – naciskam.

– Obiecaj, że mnie wysłuchasz. – Łapie mnie za ręce i ściska. – Obiecaj, że wysłuchasz mnie do końca, zanim wpadniesz w…

– Miller! Po prostu mi powiedz! – Ogarnia mnie chłód, a wraz z nim lęk i panika.

Jego twarz wykrzywia ból.

– Chodzi o twoją babcię.

Tracę oddech.

– O mój Boże. Co się stało? Nic jej nie jest? – Próbuję uwolnić się z objęć Millera, żeby odszukać telefon, ale przytrzymuje mnie w zdecydowany sposób.

– Obiecałaś, że mnie wysłuchasz.

– To było, zanim dowiedziałam się, że chodzi o babcię! – krzyczę, odchodząc od

zmysłów. Myślałam, że chodzi mu o kolejną przeszkodę, jakiś fragment przeszłości Millera albo… sama już nie wiem co, ale na pewno nie to. – Powiedz mi, co się stało!

– Miała zawał.

Mój świat rozpada się na milion kawałków.

– Nie! Kiedy? Gdzie? Skąd…

– Olivio, do cholery, pozwól mi coś powiedzieć! – Mówi łagodnie, popierając to spokojne ostrzeżenie uniesieniem brwi.

Jak mogę być spokojna? Dawkuje mi informacje tak powoli. Zniecierpliwiona i zaniepokojona, otwieram usta, żeby posłać mu soczystą wiązankę, ale unosi dłoń, uciszając mnie, i w końcu godzę się z faktem, że dowiem się więcej, jeśli zamknę buzię na kłódkę i zacznę słuchać.

– Jest w dobrym stanie – zaczyna, rysując kółka na wierzchach moich dłoni, ale nic nie jest w stanie uśmierzyć mojego niepokoju. Babcia jest chora, a mnie tam nie ma, żeby się nią zająć. Zawsze mogła na mnie liczyć. Poczucie winy sprawia, że zaczynają mnie piec oczy. – Jest w szpitalu i ma tam dobrą opiekę.

– Kiedy to się stało? – udaje mi się wydusić poprzez łzy.

– Wczoraj rano.

– Wczoraj?! – wołam, zszokowana.

– George ją znalazł. Nie chciał do ciebie dzwonić i cię martwić, a nie miał namiarów na mnie. Czekał, aż do domu zajrzy William. Anderson obiecał, że da mi znać.

Zalewa mnie fala współczucia dla staruszka George’a. Jestem pewna, że czuł się zagubiony i bezradny.

– Kiedy zadzwonił?

– Wczoraj w nocy. Już spałaś.

– Nie obudziłeś mnie? – Odtrącam jego ręce i odsuwam się, byle dalej od niego i jego dotyku.

– Musiałaś się wyspać, Olivio. – Próbuje złapać mnie za ręce, ale odtrącam je uparcie i wstaję z łóżka.

– Mogłam już być w połowie drogi do domu! – Maszeruję do garderoby, wściekła i zdumiona, że nie uznał zawału babci za wystarczający powód, żeby mnie zbudzić. Wyciągam z szafki sportową torbę i zaczynam upychać w niej swoje rzeczy. Będę musiała zostawić masę ubrań, które tu kupiłam. Planowaliśmy kupić dwie walizki, ale jeszcze nie zdążyliśmy się do tego zabrać. Teraz nie mam czasu na przejmowanie się tym, że zostawiam tu ciuchy warte setki dolarów.

Przerywam gorączkowe pakowanie, gdy Miller wyjmuje mi torbę z rąk i rzuca ją na podłogę. Nie jestem w stanie tłumić dłużej emocji.

– Ty dupku! – wrzeszczę mu w twarz, po czym walę go pięścią w bark. Nie rusza się ani nie robi mi wyrzutów. Jest spokojny i opanowany. – Ty dupku, ty dupku, ty

dupku! – Znów go uderzam, a brak reakcji z jego strony tylko potęguje moją frustrację. – Powinieneś był mnie obudzić! – Teraz okładam go już obiema pięściami, zasypując jego pierś gradem ciosów. Moje emocje i moje ciało wymknęły się spod kontroli. Mam ochotę wyładować się na kimś, a w pobliżu jest tylko Miller. – Dlaczego? – Padam mu w objęcia, wyczerpana i rozżalona. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Podtrzymuje moje osłabłe ciało, jedną dłonią trzymając mnie za tył głowy, a drugą masuje mi dół pleców kolistymi, kojącymi ruchami. Ucisza mnie, całuje raz po raz w czubek głowy, aż przestaję szlochać i tylko pochlipuję mu w ramię. Ujmuje moją wykrzywioną twarz w dłonie.

– Przepraszam, jeśli czujesz się zdradzona przeze mnie… – Urywa i przygląda mi się uważnie, pewnie dlatego, że wie, iż nie spodoba mi się to, co zaraz powie. – Nie możemy wrócić do Londynu, Olivio. To niebezpieczne.

– Nawet się nie waż, Miller! – Szukam w sobie hartu ducha, czegoś, co przekonałoby go, że ta kwestia nie podlega dyskusji. – Zadzwoń do Williama i powiedz mu, że wracamy do domu.

Widzę jego udrękę. Jest wypisana na jego napiętej twarzy. Nie znajduję w sobie sił, żeby go przekonać.

– Po prostu zabierz mnie do domu! – błagam, ocierając kapiące łzy. – Proszę, zabierz mnie do babci.

Na jego zbolałej twarzy maluje się rezygnacja, gdy kiwa nieznacznie głową. Niechętnie. Nie jest przygotowany na powrót. Nie zostawiłam mu wyboru.

Rozdział 6

Dłoń Millera na moim karku dodawała mi otuchy od chwili wylotu z Nowego Jorku. Na JFK, na Heathrow, korzystał z każdej okazji, żeby mnie dotykać. Potrzebowałam tego i przyjmowałam z wdzięcznością. Nie zwracałam uwagi na to, co się dzieje dookoła, nie ożywiłam się nawet wtedy, gdy sprawdzano nam paszporty. Pomiędzy delikatnymi ruchami rękami ugniatającej mi kark byłam w stanie myśleć wyłącznie o babci.

Mieliśmy czas, żeby kupić walizki. Za dużo czasu. Powiedziałam Millerowi, żeby kupił je sam, ale zupełnie się tym nie przejął. Miał rację. Gdyby zostawił mnie samą, snułabym się tylko po apartamencie, odchodząc od zmysłów. Poszliśmy więc na zakupy razem, a Miller starał się odwrócić moją uwagę na wszelkie możliwe sposoby, co przyjęłam z wdzięcznością. Zasięgał mojej opinii w kwestii koloru, rozmiaru i rodzaju walizek, jakie powinniśmy kupić, choć nie traktował poważnie moich odpowiedzi. Powiedziałam mu, że podoba mi się kolekcja z czerwonego materiału, a potem musiałam wysłuchać powodów, dla których powinniśmy kupić grafitowe skórzane walizki Samsonite.

Na Heathrow odbieramy nasze nowe walizki – Miller z niezadowoleniem odnotowuje kilka zadrapań na skórze – i wychodzimy z hali przylotów na chłodne wieczorne powietrze. Pierwsza zauważam szofera Williama, szybko podchodzę do samochodu, kiwam mu uprzejmie głową i wskakuję na tylne siedzenie. Szofer pomaga Millerowi załadować walizki do bagażnika. Potem Miller siada obok mnie i kładzie mi rękę na kolanie.

– Jedź do mnie, Ted.

Nachylam się do przodu.

– Ted, czy mógłbyś mnie zawieźć prosto do szpitala? – Choć jest to pytanie, zadaję je tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Miller wwierca się wzrokiem w mój profil, ale nie mam ochoty na konfrontację.

– Olivio, właśnie odbyłaś sześciogodzinny lot samolotem. Różnica cza…

– Jadę zobaczyć się z babcią – cedzę przez zaciśnięte zęby, wiedząc, że to nie moje zmęczenie jest powodem protestów Millera. – Sama znajdę drogę, jeśli ty wolisz wrócić do domu. – Łowię w lusterku spojrzenie Teda, który zerka to na mnie, to na drogę. Oczy mu się śmieją. Z sympatią.

Miller demonstruje swoje rozdrażnienie przeciągłym, przesadnym westchnieniem.

– Ted, jedź, proszę, do szpitala.

– Proszę pana. – Ted kiwa głową. Od początku wiedział, że na tym stanie.

Wyjeżdżamy z lotniska, szofer Williama włącza się do wzmożonego ruchu na M25, a ja siedzę jak na szpilkach. To godziny szczytu, więc parę razy utykamy w korku i za każdym razem muszę walczyć z pokusą, żeby wyskoczyć z samochodu i pokonać resztę drogi biegiem.

Gdy Ted podjeżdża pod szpital, jest już ciemno, a ja zaraz wyjdę z siebie. Wyskakuję z samochodu, zanim ten się zatrzyma, ignorując krzyczącego za mną Millera. Bez tchu dopadam rejestracji.

– Josephine Taylor – rzucam do rejestratorki.

Kobieta obrzuca mnie lekko zaniepokojonym spojrzeniem.

– Pani jest przyjaciółką czy krewną?

– Wnuczką. – Przestępuję niecierpliwie z nogi na nogę, podczas gdy rejestratorka stuka w klawiaturę, zerkając na ekran spod zmarszczonych brwi.

– Coś nie tak?

– Wygląda na to, że nie mamy jej w systemie. Proszę się nie martwić, spróbujemy inaczej. Data urodzenia pacjentki?

– Tak, już… – urywam w pół zdania, bo ktoś kładzie mi dłoń na karku i odciąga mnie od rejestracji.

– Dostaniesz się do babci znacznie szybciej, jeśli mnie posłuchasz, Olivio. Znam szczegóły. Wiem, na którym leży oddziale, znam numer pokoju i drogę do niego. – Jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

W milczeniu pozwalam się prowadzić niekończącym się białym tunelem, mój lęk rośnie z każdym krokiem. Echo naszych kroków odbija się bez końca w tej pustej przestrzeni, co robi niesamowite wrażenie. Miller też nic nie mówi, a ja jestem na siebie zła, że nie potrafię albo nie chcę uspokoić jego obaw. Nie poczuję się lepiej, dopóki nie zobaczę babci całej i zdrowej, robiącej mi kąśliwe uwagi.

– Tędy. – Lekkim ruchem nadgarstka kieruje mnie w lewo, gdzie otwierają się przed nami automatyczne drzwi, za którymi wisi napis: WITAMY W CEDAR WARD. – Pokój numer trzy. – Miller zdejmuje dłoń z mojego karku, przez co od razu czuję się niepewnie i słabo, i wskazuje drugie drzwi po lewej. Zwalniam kroku, serce łomocze mi w piersi. Ciepło bijące z oddziału uderza mnie jak obuchem w głowę, w nozdrzach czuję zapach środków antyseptycznych. Miller szturcha mnie lekko, więc biorę głęboki oddech, przekręcam klamkę i wchodzę do pokoju.

Pokój jest pusty. Łóżko jest idealnie zasłane, cały sprzęt medyczny stoi schowany w kącie. Żadnych śladów życia. Kręci mi się w głowie.

– Gdzie ona jest?

Miller mija mnie bez słowa i staje jak wryty, rozglądając się po pokoju. Wpatruję się tępo w puste łóżko, świat rozmazuje mi się w oczach, w uszach mam szum, przez który przebija się tylko głos Millera, który upiera się, że to właściwy pokój.

– Czy mogę w czymś pomóc? – pyta młoda pielęgniarka.

Miller robi krok naprzód.

– Kobieta, która tu była, gdzie ona jest?

– Josephine Taylor? – pyta pielęgniarka. Wzrok ma spuszczony i chyba nie zniosę tego, co zaraz powie. Mam gulę w gardle. Łapię Millera za ramię i wpijam się w nie paznokciami. Miller uwalnia się z moich zakrzywionych palców i ściska moją dłoń, po czym unosi ją do ust.

– Pani jest jej wnuczką, Olivią?

Kiwam głową, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa, ale zanim zdąży odpowiedzieć, z holu dobiega mnie znajomy śmiech.

– To ona! – wołam, wyrywając się Millerowi, i wybiegam z pokoju, prawie zwalając pielęgniarkę z nóg. Biegnę w kierunku znajomego dźwięku, przy każdym uderzeniu stopą o ziemię przechodzi mnie prąd. Dobiegam do rozwidlenia korytarzy i zatrzymuję się gwałtownie, bo śmiech milknie. Spoglądam w lewo i widzę cztery łóżka, na wszystkich śpią starsi ludzie.

Znów go słyszę. Śmiech. Śmiech babci. Obracam głowę w prawo i widzę cztery kolejne łóżka, wszystkie zajęte.

Jest tam, siedzi w fotelu ustawionym obok szpitalnego łóżka, i ogląda telewizję. Włosy ma perfekcyjnie ułożone i jest ubrana w swoją nocną koszulę z falbankami. Ruszam w jej stronę, chłonąc ten cudowny widok, i przystaję u stóp łóżka. Babcia odrywa szafirowe oczy od telewizora i spogląda na mnie. Czuję się tak, jak gdyby wstrząs elektryczny przywrócił mnie do życia.

– Moja kochana dziewczynka. – Wyciąga do mnie rękę, a mi z oczu tryskają łzy.

– O Boże, babciu! – Próbuję przytrzymać się zasłonki przy jej łóżku i prawie się wywracam.

– Olivio! – Miller ratuje mnie przed upadkiem i szybko stawia na nogi. Jestem w całkowitej rozsypce, nie potrafię się uporać z tyloma emocjami naraz. Miller omiata mnie wzrokiem, a potem spogląda nad moim ramieniem. – Cholera jasna – szepcze i wyraźnie się rozluźnia.

On też tak pomyślał. Pomyślał, że umarła.

– Dość tego! – gdera babcia. – Wpadacie tu, robicie zamieszanie i przeklinacie, na czym świat stoi! Wyrzucą mnie przez was!

Wytrzeszczam oczy, a krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach.

– Tak jakbyś ty nie spowodowała wystarczającego zamieszania? – pytam.

Babcia uśmiecha się szelmowsko.

– Zaręczam wam, że zachowywałam się jak prawdziwa dama.

Zza naszych pleców słychać prychnięcie, oboje z Millerem odwracamy się i zauważamy znajomą pielęgniarkę.

– Jak prawdziwa dama – powtarza powoli, unosząc brwi tak wysoko, że dochodzą prawie do linii włosów.

– Rozruszałam trochę to miejsce – odparowuje babcia, na co oboje odwracamy się z powrotem w jej stronę. Wskazuje trzy pozostałe łóżka, na których śpią starzy,

schorowani ludzie. – Mam w sobie więcej życia niż ta trójka razem wzięta! Nie przyszłam tu, żeby umrzeć, zapewniam was.

Uśmiecham się i zerkam na Millera, który spogląda na mnie z rozbawieniem roziskrzonymi oczami.

– Prawdziwy szczerozłoty skarb. – Oślepia mnie szerokim, śnieżnobiałym uśmiechem, który sprawia, że znów muszę się przytrzymać nieszczęsnej zasłonki.

– Wiem. – Uśmiecham się szeroko i rzucam babci w ramiona. – Myślałam, że nie żyjesz – mówię, rozkoszując się znajomym zapachem jej proszku do prania, którym pachnie koszula nocna.

– Śmierć wydaje się o wiele bardziej pociągająca niż ten bajzel – zrzędzi babcia, za co daję jej lekkiego kuksańca. – Uważaj na moje rurki.

Ze zduszonym okrzykiem odskakuję do tyłu, besztając się w duchu za nieuwagę. Może i nie straciła rezonu, ale znalazła się tu nie bez powodu. Patrzę, jak poprawia kroplówkę na ręce, burcząc pod nosem.

– Pora odwiedzin skończyła się o dwudziestej – wtrąca się pielęgniarka, obchodząc łóżko, żeby pomóc babci. – Mogą państwo wrócić jutro.

Serce zamiera mi w piersi.

– Ale my właśnie…

Milknę, bo Miller kładzie mi rękę na ramieniu i spogląda na pielęgniarkę.

– Pozwoli pani? – Gestem daje jej znak, żeby odeszła od łóżka, a ja obserwuję z rozbawieniem, jak pielęgniarka uśmiecha się wstydliwie i wychodzi zza zasłonki. Unoszę brwi, ale Miller tylko wzrusza swoimi doskonałymi ramionami i idzie za nią. Wygląda na zmęczonego, ale wciąż jest na czym zawiesić oko. Dzięki niemu zyskałam trochę czasu, więc nie dbam wcale o to, że pielęgniarka będzie się w niego wpatrywać maślanym wzrokiem, gdy będzie ją wypytywał o stan babci.

Czuję, że ktoś mi się przygląda, więc odrywam wzrok od znikających pleców Millera i spoglądam na moją zadziorną babcię. Znów ma chochliki w oczach.

– W dżinsach jego tyłek wygląda jeszcze lepiej.

Przewracam oczami i siadam na łóżku naprzeciw niej.

– Myślałam, że lubisz, kiedy młodzieniec ma krągłą pupę.

– Wygląda naprawdę apetycznie. – Babcia uśmiecha się, łapie mnie za rękę i ściska. Ten uścisk dodaje mi otuchy, co jest wariactwem, bo to nie ja jestem chora, ale sprawia też, że zaczynam się zastanawiać, co babcia wie. – Jak się masz, kochanie?

– W porządku. – Nie wiem, co jeszcze powiedzieć ani co powinnam powiedzieć. Wiem, że zżera ją ciekawość, ale czy naprawdę musi wiedzieć już teraz? Muszę porozmawiać z Williamem.

– Hmmm… – Przygląda mi się podejrzliwie, a ja wiercę się na łóżku, unikając jej wzroku. Muszę zmienić temat.

– Nie chciałaś mieć osobnego pokoju?

– Nie zaczynaj! – Wypuszcza moją dłoń, odchyla się na oparcie fotela, bierze pilota i celuje nim w telewizor. Ekran robi się czarny. – Sama w tamtym pokoju dostawałam szału!

Spoglądam z bladym uśmiechem na pozostałe łóżka, domyślam się, że babcia nieźle zalazła tym biedakom za skórę. Pielęgniarka najwyraźniej też odcierpiała swoje.

– Jak się czujesz? – pytam, przenosząc wzrok na jej siedzącą postać. Znów bawi się rurkami. – Zostaw je!

Z prychnięciem uderza dłońmi o podłokietniki fotela.

– Nudzę się! – skrzeczy. – Jedzenie jest paskudne i każą mi siusiać do nocnika.

Chichoczę, wiedząc, że jej poczucie godności zostało wystawione na ciężką próbę i wyraźnie jej to nie w smak.

– Rób, co ci każą – ostrzegam. – Trafiłaś tu nie bez powodu.

– Lekkie trzepotanie serca, to wszystko.

– Mówisz tak, jak gdybyś była na randce! – wołam ze śmiechem.

– Opowiedz mi o Nowym Jorku.

Śmiech zamiera mi na ustach, znów wiercę się niespokojnie na łóżku, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Poprosiłam, żebyś opowiedziała mi o Nowym Jorku, Olivio – mówi miękko babcia, a gdy odważam się na nią spojrzeć, jej twarz ma równie łagodny wyraz. – A nie jak tam trafiłaś.

Zaciskam usta tak mocno, że aż bieleją; byle tylko powściągnąć targające mną emocje i nie wybuchnąć szlochem. Kocham tę kobietę najmocniej jak się da.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam. – Głos mi się rwie, a gdy wyciąga ramiona, pozwalam jej się objąć.

– Moja kochana, okropnie za tobą tęskniłam. – Babcia wzdycha, przyciskając mnie do swojego miękkiego ciała. – Chociaż byłam zajęta gotowaniem dla trzech oszałamiających mężczyzn.

Marszczę brwi.

– Trzech?

– Tak. – Babcia wypuszcza mnie z objęć i odgarnia mi blond grzywę z twarzy. – Dla George’a, Gregory’ego i Williama.

– Ooo – wzdycham, a przed oczyma staje mi obraz wszystkich trzech mężczyzn zasiadających wokół stołu babci, pałaszujących jakiś solidny posiłek. Cóż za zażyłość. – Gotowałaś dla Williama?

– Tak. – Macha ręką, demonstrując całkowitą obojętność. – Opiekowałam się wszystkimi trzema.

Choć wiadomość, że babcia i William pozostają w tak zażyłych stosunkach, napawa mnie rosnącym niepokojem, uśmiecham się. Babcia, w swej naiwności, uważa, że to ona się nimi opiekowała, ale ja wiem, że było na odwrót. William

obiecał, że się nią zaopiekuje, ale nawet gdyby nie mogła na niego liczyć, wiem, że Gregory i George spisaliby się na medal. Jednak uśmiech znika mi z twarzy, gdy przypominam sobie, gdzie jesteśmy. W szpitalu. Ponieważ babcia miała zawał.

– Koniec odwiedzin. – Miękki głos Millera odwraca moją uwagę, widzę, że wesołość w jego spojrzeniu ustępuje zatroskaniu. Spogląda na mnie pytająco, ale ja kręcę tylko lekko głową i wstaję.

– Zostaliśmy wykopani – oznajmiam, pochylając się, żeby uściskać babcię.

Obejmuje mnie mocno, łagodząc nieco moje wyrzuty sumienia. Wie, że będę się obwiniać.

– Przemyćcie mnie ze sobą.

– Nie bądź niemądra. – Tkwię nieruchomo w objęciach babci, dopóki ona sama nie rozluźni uścisku. – Proszę, bądź grzeczna dla lekarzy.

– Właśnie – wtrąca się Miller, podchodząc i klękając obok mnie, żeby znaleźć się na poziomie babci. – Marzę o polędwicy wołowej à la Wellington i wiem, że nikt nie przyrządza jej tak jak ty, Josephine.

Babcia kompletnie się rozkleja, a mnie przepełnia szczęście. Staruszka ujmuje dłonią jego zarośnięty policzek i nachyla się, tak że prawie stykają się nosami. Miller się nie odsuwa. Przykrywa jej dłoń swoją, przyjmując z wdzięcznością ten czuły gest. Przyglądam się ze zdumieniem tej intymnej chwili na środku szpitalnego oddziału. Wszystko wokół nich traci znaczenie, gdy wpatrują się sobie w oczy, rozumiejąc się bez słów.

– Dziękuję, że zaopiekowałeś się moją dziewczynką – szepcze babcia tak cicho, że ledwo ją słyszę.

Znów zagryzam wargę, gdy Miller unosi jej dłoń do ust i całuje czule.

– Do ostatniego tchu, pani Taylor.

Rozdział 7

Sadowię się na tylnym siedzeniu samochodu Williama, czując się tak, jak gdyby ktoś zdjął ze mnie niewyobrażalny ciężar. Powinnam się uginać pod brzemieniem miliona innych trosk, ale w tej chwili jestem w stanie cieszyć się wyłącznie tym, że babcia ma się dobrze.

– Jedź do mnie, Ted – mówi Miller, wyciągając do mnie rękę. – Chodź do mnie.

Ignoruję jego wyciągnięte ramię.

– Chcę wrócić do domu.

Ted włącza się do ruchu i przyłapuję go na zerkaniu we wsteczne lusterko. Na jego przyjaznej, pobrużdżonej twarzy gości sympatyczny uśmiech. Mrużę podejrzliwie oczy, choć już na mnie nie patrzy, a potem znów spoglądam na Millera. Przygląda mi się z namysłem, z ręką wciąż wyciągniętą w moją stronę.

– Intuicja podpowiada mi, że kiedy mówisz „do domu", nie masz na myśli mojego apartamentu. – Opuszcza rękę na siedzenie.

– Twój apartament nie jest moim domem, Miller. – Moim domem jest tradycyjny szeregowy domek babci, pełen gratów i znajomego, kojącego zapachu. A teraz chcę mieć wokół siebie wszystko, co ma związek z babcią.

Miller bębni palcami po skórzanym siedzeniu, przyglądając mi się uważnie. Odsuwam się ostrożnie w głąb samochodu.

– Mam prośbę – mruczy, a potem wyciąga rękę i łapie mnie za prawą dłoń, którą bawię się właśnie moim nowym brylantowym pierścionkiem.

– Jaką? – pytam przeciągle. Coś mi mówi, że tym razem nie poprosi, żebym nigdy nie przestała go kochać. Zna moją odpowiedź na tę prośbę, a drgające mięśnie jego szczęki upewniają mnie, że denerwuje się moją reakcją.

Teraz on zaczyna się bawić pierścionkiem, obserwując w zadumie ruchy swoich palców, a ja czekam, aż wypowie swoją prośbę. Krępująca cisza trwa bardzo, bardzo długo, ale w końcu Miller bierze głęboki oddech, podnosi niespiesznie wzrok i zatapia we mnie spojrzenie swoich niebieskich oczu. Bezmiar uczuć, jaki z nich wyziera, zapiera mi dech w piersi… od razu orientuję się, że to, o co poprosi, ma dla niego ogromne znaczenie.

– Chcę, żeby mój dom był również twoim domem.

Opada mi szczęka, w głowie mam pustkę. Żadna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy. Tylko jedno słowo:

– Nie – wypalam, zanim rozważę sformułowanie mojej odmowy w nieco bardziej oględny sposób. Krzywię się, gdy na jego idealnej twarzy odmalowuje się wyraźne

rozczarowanie. – To znaczy… – Mój przeklęty mózg nie podsuwa mi żadnych słów, które mogłyby mnie zrehabilitować, i natychmiast ogarnia mnie poczucie winy.

– Nie możesz zostać sama.

– Muszę wrócić do domu. – Spuszczam wzrok, nie będąc w stanie znosić dłużej jego błagalnego spojrzenia. Nie próbuje mnie dłużej przekonywać, wzdycha tylko i ściska moją drobną dłoń.

– Do domu Livy, Ted – mówi cicho i milknie.

Gdy na niego spoglądam, wygląda przez okno. Jest pogrążony w zadumie.

– Dziękuję – szepczę, przysuwam się i wtulam w jego bok. Nie zachęca mnie w żaden sposób ani nie wykonuje żadnego gestu, gdy się już usadowię. Wzrok ma cały czas wbity w przesuwający się za oknem świat.

– Nigdy mi nie dziękuj – odpowiada cicho.

– Zamknij drzwi na zasuwkę – mówi Miller, trzymając moją twarz w dłoniach i omiatając ją zatroskanym wzrokiem. Stoimy w drzwiach. – Nikomu nie otwieraj. Wrócę, jak tylko spakuję trochę czystych ubrań.

Marszczę brwi.

– Powinnam spodziewać się gości?

Zatroskanie w mgnieniu oka ustępuje irytacji. Po wymianie zdań w samochodzie wiedziałam, że odniosłam zwycięstwo, ale szczerze mówiąc, nigdy nie przypuszczałam, że Miller będzie taki chętny, żeby się do mnie wprowadzić. Chcę tego, rzecz jasna, ale nie miałam zamiaru wystawiać jego cierpliwości na kolejną próbę. Już wystarczająco jej nadużyłam, upierając się, że chcę jechać prosto do domu. Nie zamierzałam pozwolić Millerowi zaciągnąć mnie na drugi koniec miasta, żeby mógł zajrzeć do swojego apartamentu i spakować trochę czystych ubrań. Miałby okazję, żeby mnie tam zamknąć. I nie wątpię, że by to zrobił. Ale nie jestem aż tak szalona, żeby wmawiać sobie, iż jego przeprowadzka ma cokolwiek wspólnego z moją troską o babcię.

– Schowaj pazurki, Olivio.

– Uwielbiasz je. – Uwalniam twarz z jego dłoni. – Idę pod prysznic. – Wspinam się na palce i całuję jego zarośniętą szczękę. – Pospiesz się.

– Dobrze – szepcze.

Odsuwam się i zauważam, jaki jest wyczerpany. Wygląda na wycieńczonego.

– Kocham cię – mówię, cofam się do korytarza i łapię za klamkę.

Na jego ustach pojawia się blady, wysilony uśmiech. Wtyka ręce w kieszenie dżinsów i zaczyna iść tyłem ogrodową ścieżką.

– Zamknij drzwi na zasuwkę – powtarza.

Kiwam głową, powoli zamykam drzwi i od razu zasuwam zamki i zakładam łańcuszek, bo wiem, że nie odejdzie, dopóki nie usłyszy, że zamknęłam dom na wszystkie spusty. A potem długo spoglądam w dół długiego korytarza, czekając na

znajome, pokrzepiające dźwięki babcinej krzątaniny. Babci oczywiście nie ma w domu, więc zamykam oczy i wyobrażam sobie, że tu jest. Stoję tak nieruchomo całą wieczność, aż w końcu udaje mi się przekonać znużone nogi, żeby zaniosły mnie po schodach na górę.

Ale staję jak wryta, gdy rozlega się pukanie do drzwi frontowych. Marszcząc brwi, podchodzę do nich i mam już otworzyć zamki, gdy coś mnie powstrzymuje. To głos Millera nakazujący mi, żebym nikomu nie otwierała. Nabieram powietrza, żeby zapytać „kto tam?", ale szybko rezygnuję. Instynkt?

Odsuwam się bezszelestnie od drzwi i podchodzę do wykuszowego okna. Wszystkie moje zmysły są postawione w stan gotowości. Jestem niespokojna, podenerwowana i podskakuję pod sam sufit, gdy znów rozlega się łomotanie do drzwi.

– Ożesz! – wypalam, zapewne zbyt głośno. Moje przeklęte serce wali mi w piersi jak młotem, gdy idę na paluszkach do okna i wyglądam przez szparę w zasłonach. – Kurwa! – wrzeszczę, odskakując do tyłu. Łapię się za serce, sapiąc jak miech kowalski, a moje oczy i głowa rozpoznają znajomą twarz. – Ted?! – wołam, krzywiąc się, zdezorientowana. Ted uśmiecha się do mnie tym swoim przyjaznym uśmiechem i lekkim skinieniem głowy wskazuje drzwi, a potem znika. Przewracam oczami i przełykam ślinę, bo serce podeszło mi do gardła. – Zejdę przez niego na zawał – gderam, idąc do drzwi frontowych. Jestem pewna, że stał na czatach od chwili odejścia Millera.

Odsuwam zasuwki i otwieram drzwi na oścież. Jakaś postać wpada do środka, ledwo zdążam uskoczyć na bok.

– Cholera! – wołam, przyciskając się do ściany w korytarzu. Moje biedne serce nie doszło jeszcze do siebie po szoku wywołanym widokiem twarzy Teda w oknie.

Miller mija mnie i rzuca swoją walizkę na ziemię pod schodami.

– Czy Ted mnie pilnował? – pytam, oczekując potwierdzenia. Już zawsze tak będzie? Będę miała własnego ochroniarza?

– Naprawdę myślałaś, że zostawię cię samą? – Miller znów mnie mija, a ja obracam głowę i odprowadzam wzrokiem jego plecy, gdy rusza ścieżką w stronę Teda, który właśnie zamyka bagażnik lexusa. – Dziękuję. – Miller oddaje szoferowi Williama kluczyki i podaje mu dłoń.

– Nie ma za co. – Ted uśmiecha się i potrząsa dłonią Millera, a potem spogląda na mnie. – Dobranoc, pani Taylor.

– Dobranoc – mamroczę, patrząc, jak Miller obraca się i wraca ogrodową ścieżką. Ted siada za kierownicą i sekundę później już go nie ma. A potem świat znika, gdy Miller zamyka drzwi i zasuwa zasuwki.

– Musimy wymienić zamki – burczy, odwraca się i zauważa moją oniemiałą twarz. – Nic ci nie jest?

Mrugam kilka razy, wodząc wzrokiem od niego do drzwi i z powrotem.

– Mamy dwie zasuwki, zamek yale, zamek wpuszczany i łańcuszek.

– A i tak udało mi się dostać do środka – mówi, przypominając mi, jak włamał się do domu, żeby dostać to, co lubi.

– Bo wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, że to Ted, a potem otworzyłam drzwi – odpowiadam.

Uśmiecha się z uznaniem, ale nie odpowiada.

– Muszę wziąć prysznic.

– Chciałbym do ciebie dołączyć – mówi niskim, zwierzęcym szeptem, ruszając w moją stronę. Opuszczam ramiona, zalewa mnie fala gorąca. Miller robi kolejny krok naprzód. – Chciałbym położyć dłonie na twoich mokrych ramionach i pieścić każdy zapierający dech w piersi centymetr twojego ciała, aż w twoim pięknym umyśle zostanie miejsce wyłącznie dla mnie.

Już mu się to udało, a jeszcze mnie nawet nie dotknął, ale i tak kiwam głową i czekam spokojnie, aż stanie przede mną i weźmie mnie w ramiona. Oplatam go rękami i nogami, chowam twarz w jego szyi, a on wspina się po schodach i idzie do łazienki, gdzie stawia mnie na ziemi. Z uśmiechem nachylam się, żeby włączyć wodę, a potem zaczynam się rozbierać.

– Niewiele tu miejsca – zauważam, jedno po drugim wrzucając ubrania do kosza z brudami, aż staję zupełnie naga.

Kiwa lekko głową, łapie dół koszulki i ściąga ją przez głowę. Gdy się porusza, mięśnie jego brzucha i klatki piersiowej falują, skupiając moją uwagę na jego torsie. Mrugam kilka razy zmęczonymi oczami i spuszczam wzrok na jego nogi, gdy zdejmuje dżinsy. Wzdycham z rozmarzeniem.

– Ziemia do Olivii. – Miękkość jego głosu sprawia, że spoglądam mu w oczy i z uśmiechem robię krok naprzód, żeby położyć mu dłoń na piersi. Po fizycznie i emocjonalnie wyczerpującym dniu potrzebuję go poczuć i dotknąć, co przyniesie mi pokrzepienie.

Powoli wodzę dłonią po jego torsie, śledząc kreślone przez nią wzory, a Miller przygląda się temu ze spuszczoną głową. Czuję, że obejmuje mnie lekko w talii, jak gdyby nie chciał zakłócić moich uważnych ruchów. Moja dłoń wędruje na jego barki, szyję, szczękę z cieniem zarostu, aż w końcu dociera do pełnych, hipnotyzujących warg. Rozchyla je powoli, a mój palec wślizguje się do środka. Przekrzywiam głowę z lekkim uśmieszkiem, gdy zaciska na nim zęby.

A potem nasze spojrzenia się spotykają i między nami zderzają się miliony niewypowiedzianych słów. Miłość. Uwielbienie. Namiętność. Pożądanie. Żądza. Pragnienie…

Uwalniam palec i oboje powoli zbliżamy się do siebie.

Wszystkie te uczucia potężnieją, gdy nasze usta zwierają się w pocałunku. Zamykam oczy, zsuwam dłonie na jego talię, a on łapie mnie za kark i przytrzymuje, aby wielbić moje usta. Odpływam w miejsce, gdzie istniejemy tylko my, miejsce,

które Miller stworzył dla mnie, żebym miała się gdzie ukryć. Bezpieczne. Spokojne. Idealne.

Jego uścisk jest silny, jak zwykle, a bijąca od niego moc obezwładnia, choć łagodzi ją nieco jego czułość. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że to Miller jest siłą sprawczą w naszym związku. Nie mogę zaprzeczyć, że włada moim ciałem i sercem. Wie, czego mi trzeba i kiedy, i okazuje to w każdej sytuacji, a nie tylko wtedy, gdy mnie wielbi. Tak jak wtedy, gdy musiałam pojechać prosto do szpitala. Tak jak wtedy, gdy musiałam wrócić do domu babci i zanurzyć się w jego atmosferze. Tak jak wtedy, gdy potrzebowałam, żeby zostawił swój idealny świat i był tutaj ze mną.

Całujemy się coraz wolniej, ale uścisk Millera nie słabnie. Skubie moją dolną wargę, potem mój nos i policzek, po czym odsuwa się, a ja staję przed tym samym dylematem co zwykle. Nie wiedząc, na czym skupić wzrok, wodzę nim między jego przenikliwie błękitnymi oczami a hipnotyzującymi ustami.

– Musimy cię wykąpać, moja cudowna dziewczyno.

Spędzamy błogie pół godziny pod strumieniem gorącej wody. Ograniczona przestrzeń gwarantuje bliskość, choć nie oczekiwałabym niczego innego, nawet gdybyśmy dysponowali hektarami powierzchni. Wsparta dłońmi o kafelki, spuszczam głowę i patrzę, jak woda z mydlinami spływa przez odpływ, rozkoszując się niebiańskimi doznaniami, jakich dostarczają mi gładkie, namydlone dłonie Millera, masujące każdy zmęczony mięsień w moim ciele. Myje mi włosy szamponem i wciera odżywkę w końcówki. Przez cały czas stoję nieruchomo, a on ustawia mnie tak, żeby ułatwić sobie zadanie. Po obsypaniu lekkimi pocałunkami każdego fragmentu mojej mokrej twarzy pomaga mi wyjść z wanny i osusza, po czym prowadzi do pokoju.

– Jesteś głodna? – pyta, przeczesując szczotką moje mokre włosy.

Kręcę głową, ignorując leciutkie zawahanie w jego ruchach, ale nie spiera się ze mną. Kładzie mnie do łóżka i sam układa się za mną, nasze nagie ciała przyciskają się do siebie, a jego usta wyciskają leniwe pocałunki na moich barkach. Sen odnajduje mnie z łatwością, towarzyszy mu niskie nucenie Millera i żar jego ciała przyciśniętego do każdego dostępnego centymetra moich pleców.

Rozdział 8

Jakieś zamieszanie wyrywa mnie ze snu, zbiegam po schodach na łeb na szyję. Wpadam do kuchni, zaspana i goła, ledwo co widząc na oczy. Mrugam kilka razy i dostrzegam Millera, który stoi z pudełkiem płatków kukurydzianych w ręce, nagi od pasa w górę.

– Co się stało? – pyta, mierząc zatroskanym spojrzeniem moją nagą postać.

Zderzenie z rzeczywistością działa na mój uśpiony mózg jak rażenie obuchem. Rzeczywistością, w której to nie babcia krząta się wesoło po kuchni, lecz Miller, który sprawia wrażenie skrępowanego. Czuję potężny przypływ poczucia winy z powodu tego rozczarowania.

– Zaskoczyłeś mnie. – To wszystko, co przychodzi mi do głowy. Nagle zdaję sobie sprawę z własnej nagości i zaczynam wycofywać się z kuchni. Wskazuję ręką przez ramię: – Tylko coś na siebie narzucę.

– Okej – zgadza się, odprowadzając mnie wzrokiem. Z ciężkim westchnieniem wspinam się po schodach i niemrawo wciągam majtki i koszulkę. Gdy schodzę z powrotem na dół, stół jest już nakryty do śniadania, a Miller siedzi przy nim z telefonem przy uchu i wydaje się jeszcze bardziej zagubiony. Daje mi znak, żebym usiadła, więc opadam powoli na krzesło, podczas gdy on kontynuuje rozmowę.

– Będę w porze lunchu – mówi krótko i na temat, po czym rozłącza się i odkłada komórkę. Spogląda na mnie przez stół i już po kilku sekundach przyglądania mu się, stwierdzam, że znów zmienia się w tego wyzutego z emocji człowieka, który wszystkich odstręcza. Wróciliśmy do Londynu. Brakuje mu tylko garnituru.

– Kto to był? – pytam, biorąc ze środka stołu parujący imbryk i nalewam sobie kubek herbaty.

– Tony – odpowiada równie zdawkowo jak podczas rozmowy, którą właśnie zakończył.

Trochę niezgrabnie odstawiam imbryk na bok, szybko dolewam mleka i mieszam, a potem patrzę ze zdumieniem, jak Miller nachyla się nad stołem, bierze imbryk i stawia go dokładnie na środku stołu. Po czym poprawia go lekko.

Wzdycham, upijam łyk herbaty i od razu wzdrygam się z obrzydzeniem. Przełykam z trudem i odstawiam kubek.

– Ile torebek herbaty zaparzyłeś?

Marszczy brwi i spogląda na imbryk.

– Dwie.

– Wcale tak nie smakuje. – Smakuje jak ciepłe mleko. Podnoszę pokrywkę

imbryczka i zaglądam do środka. – Nie ma ich w środku.

– Bo je wyjąłem.

– Po co?

– Żeby nie zatkały szyjki.

Uśmiecham się.

– Miller, w milionach angielskich imbryków parzy się herbatę z torebkami w środku. Szyjka nigdy się nie zatyka.

Przewraca oczami, odchyla się na oparcie krzesła i krzyżuje ramiona na piersi.

– Zrobiłem to intuicyjnie.

– Ty, Miller Hart? – przerywam mu, powstrzymując drwiący uśmieszek. – Niemożliwe.

Jego znużone spojrzenie tylko pogłębia moje rozbawienie. Widzę, że cieszy go moja wesołość, choć jej nie podziela.

– Wydaje mi się, że insynuujesz, że moje umiejętności parzenia herbaty pozostawiają wiele do życzenia.

– Intuicja cię nie zawodzi.

– Tak myślałem – mamrocze pod nosem, podnosząc komórkę z blatu i przyciska kilka klawiszy. – Chciałem, żebyś poczuła się jak w domu.

– Jestem w domu. – Wzdrygam się, gdy rzuca mi urażone spojrzenie. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. – Ja…

Miller przykłada telefon do ucha.

– Przygotuj samochód na dziewiątą – rozkazuje.

– Miller, nie chciałam…

– I dopilnuj, żeby był nieskazitelnie czysty – ciągnie, ostentacyjnie ignorując moją próbę usprawiedliwienia się.

– Wziąłeś to sobie…

– Bagażnik też.

Podnoszę kubek wyłącznie po to, żeby wyrżnąć nim o blat. Mocno.

– Nie bądź dziecinny.

Odsuwa się i rozłącza.

– Słucham?

Śmieję się lekko.

– Skończ już, Miller. Nie chciałam cię urazić.

Opiera się ramionami o stół i nachyla do przodu.

– Dlaczego nie zamieszkasz u mnie?

Spoglądam mu w te proszące oczy i wzdycham.

– Bo muszę być tutaj – odpowiadam, ale widzę, że nie rozumie, więc ciągnę dalej w nadziei, że wreszcie coś do niego dotrze. – Muszę wszystko przygotować na jej powrót. Muszę tu być, żeby się nią zająć.

– Więc może zamieszkać z nami – odpowiada natychmiast. Mówi poważnie, a ja

jestem w szoku. Jest gotowy narazić się na ryzyko, że jeszcze jedna osoba, oprócz mnie zakłóci porządek w jego idealnym domu? Przez babcię Miller dozna załamania nerwowego. Może i jest chora, ale nie mam żadnych złudzeń, że przejmie kontrolę nad domostwem Millera. Nastąpi anarchia. Miller tego nie przeżyje.

– Uwierz mi. – Śmieję się. – Nie mówisz serio.

– Ależ tak – odparowuje, a ja przestaję się uśmiechać. – Wiem, co sobie myślisz.

– Co takiego? – Chciałabym, żebym potwierdził moje domysły, bo byliśmy już w połowie drogi do przyznania się.

– Dobrze wiesz. – Rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. – Czułbym się pewniej, gdybyś zamieszkała u mnie. Byłoby bezpieczniej.

Staram się nie okazywać irytacji, choć moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Mogłam się tego spodziewać. Nie godzę się na ciągły dozór. Poznając Millera Harta i zakochując się w nim, zyskałam wolność, przebudziłam się i odzyskałam chęć do życia, ale zdaję też sobie sprawę, że ta nowo odzyskana wolność może pociągać za sobą pewne ograniczenia. Nie zamierzam na to pozwolić.

– Zostaję tutaj – oświadczam tonem oznaczającym zamknięcie tematu, a Miller opada z powrotem na krzesło.

– Jak sobie życzysz – szepcze, wznosząc oczy ku niebu. – Ten twój cholerny upór.

Uśmiecham się, zachwycona jego rozdrażnieniem, ale jeszcze bardziej łatwością, z jaką zaakceptował moją decyzję.

– Jakie masz plany na dziś?

Opuszcza głowę i zerka na mnie podejrzliwie.

– Nie będziesz chciała mi towarzyszyć, prawda?

Uśmiecham się szerzej.

– Prawda. Odwiedzę babcię.

– Możesz najpierw pojechać ze mną do Ice.

– Nie. – Kręcę powoli głową. Podejrzewam, że zastaniemy tam Cassie, a ja nie mam ochoty znosić jej wzgardliwych spojrzeń i narażać się na zmieszanie z błotem. Mam lepsze rzeczy do roboty, niż wdawać się w spory terytorialne, poza tym chcę się jak najszybciej znaleźć u babci.

Miller zaciska zęby i nachyla się do przodu.

– Wystawiasz moją cholerną cierpliwość na ciężką próbę, Olivio. Pojedziesz ze mną.

Doprawdy? Wiem, dlaczego próbuje wprowadzić swoje zasady, ale arogancja, z jaką to robi, sprawia, że nie udaje mi się opanować i wybucham. Łapię dłońmi za blat i nachylam się nad nim, tak że aż się cofa.

– Jeśli chcesz, żebym pozostała twoją własnością, przestań się zachowywać jak dupek! Nie jestem rzeczą, Miller. Docenianie swojej własności nie polega na pomiataniu nią. – Wstaję, odpychając krzesło do tyłu. – Idę pod prysznic. – Szybkim krokiem oddalam się od gotującego się z wściekłości Millera, oburzonego moją

bezczelnością. Nie potrafił powiedzieć sobie „stop”, a ja nie zamierzam tego znosić.

Bez pośpiechu biorę prysznic, ubieram się i schodzę na dół, gdzie ku mojemu zaskoczeniu okazuje się, że Miller już wyszedł. Nie jestem specjalnie zaskoczona, gdy zastaję kuchnię pachnącą sprejem antybakteryjnym i lśniącą czystością. Nie będę się jednak skarżyć, bo dzięki temu mogę od razu pojechać do szpitala. Chwytam torbę, otwieram zamaszystym ruchem drzwi frontowe i wypadam z domu, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu kluczy.

– Och! – piszczę, odbijając się od czyjejś piersi i zataczając do tyłu. Zderzam się z drzwiami w chwili, w której się domykają, obijając sobie łopatkę. – Cholera! – Instynktownie sięgam ręką za siebie i rozmasowuję plecy, które przeszywa ostry ból.

– Spieszy ci się? – Silne palce oplatają moje przedramię i przytrzymują w miejscu.

Przesuwam poirytowanym wzrokiem w górę sylwetki w garniturze, wiedząc, co zaraz zobaczę. I mam rację. To William. Były alfons mojej matki i mój samozwańczy anioł stróż.

– Owszem. Przepraszam. – Próbuję go wyminąć, ale zastępuje mi drogę. Gryzę się w język, robię wdech dla uspokojenia, prostuję plecy i unoszę podbródek. William wcale nie wygląda na speszonego. To niedobrze. Pokazywanie pazura przychodzi mi z coraz większym trudem. To wyczerpujące.

– Do samochodu, Olivio. – Ton jego głosu cholernie mnie irytuje, ale wiem, że odmowa na nic się zda.

– To on cię tu ściągnął, prawda? – Nie mogę w to uwierzyć! Podstępny drań!

– Nie ma chyba sensu zaprzeczać. – William potwierdza moje domysły i znów wskazuje swój samochód, przy którym stoi Ted, trzymając drzwi otwarte, jak zwykle z uśmiechem na pobrużdżonej przyjaznej twarzy.

Odwzajemniam jego uśmiech, a potem znów przybieram wściekły wyraz twarzy i spoglądam na Williama.

– Jeśli będziesz mi wiercił dziurę w brzuchu, dam nogę.

– Dasz nogę? Chcesz powiedzieć, że uciekniesz? – William się śmieje. – Wiercenie dziur w brzuchu, dawanie nogi. Co jeszcze?

– Kopniak w twój upierdliwy tyłek – mruczę pod nosem, mijając go stanowczym krokiem. – Nie wiem, czy ty i Miller zauważyliście, że jestem już dorosła!

– Pani Taylor. – Ted wita mnie skinieniem głowy i cała złość przechodzi mi, jak ręką odjął. Wślizguję się na tylne siedzenie.

– Cześć, Ted – szczebioczę, ignorując pełne niedowierzania spojrzenie, jakim William obrzuca szofera, co ten kwituje wzruszeniem ramion. Nie mogłabym się złościć na tego sympatycznego faceta, nawet gdybym chciała. Bije od niego spokój, który chyba mi się udziela. I pomyśleć tylko, że prowadzi jak szatan.

Sadowię się wygodnie i czekając, aż William wsiądzie ze swojej strony, wyglądam przez okno i bawię się pierścionkiem.

– I tak zamierzałem odwiedzić dziś rano Josephine – oznajmia.

Ignoruję go i wyjmuję z torebki telefon, żeby wysłać esemes Millerowi.

„Jestem na ciebie wściekła”.

Nie muszę nic dodawać. Miller wie, że William jest ostatnią osobą, z którą mam ochotę przebywać. Klikam „wyślij” i chcę już wrzucić telefon z powrotem do torby, ale William łapie mnie za rękę. Podnoszę wzrok i widzę, że się nachmurzył.

– Co to jest? – pyta, przesuwając palcem po moim brylantowym pierścionku.

Uruchamiam wszystkie mechanizmy obronne.

– To tylko pierścionek. – Zapowiada się niezła zabawa. Wyrywam dłoń, zła na siebie, że instynktownie zasłaniam ją drugą ręką przed jego ciekawskim spojrzeniem. Nie chcę go chować. Przed nikim.

– Na palcu serdecznym lewej dłoni?

– Owszem – ucinam, zdając sobie sprawę, że się z nim droczę. Pogrywam sobie z nim, choć mogłabym z łatwością rozwiać jego wątpliwości. Niczego mu nie wyjaśnię. Niech sobie myśli, co chce.

– Wychodzisz za niego za mąż? – dopytuje się William, coraz bardziej zniecierpliwiony brakiem szacunku z mojej strony. Jestem dzielną dziewczynką, ale i bardzo wkurzoną. Powtórna ucieczka z Londynu z każdą sekundą wydaje mi się coraz bardziej kusząca, ale tym razem porwę babcię ze szpitala i zabiorę ją ze sobą.

Zachowuję milczenie i spoglądam na telefon, gdy rozlega się sygnał nadejścia wiadomości.

„Czym cię tak rozwścieczyłem, słodka dziewczyno?”

Z prychnięciem wrzucam komórkę do torebki. Nie zamierzam zaszczycać jego ignorancji odpowiedzią, żeby nie wkurzyć się jeszcze bardziej. Chcę się tylko zobaczyć z babcią.

– Olivio Taylor – wzdycha William, ale przez jego rozdrażnienie przebija nutka rozbawienia. – Nigdy nie przestajesz rozczarowywać.

– A co to ma znaczyć? – Obracam się ku niemu, na jego przystojnej twarzy błąka się uśmiech. Doskonale wiem, co ma na myśli, i powiedział to, licząc na reakcję z mojej strony. I nie przeliczył się. Wciąż jestem zasępiona, ale już nie milczę. – Ted, możesz zjechać na pobocze?

William kręci głową i nawet nie zadaje sobie trudu, żeby wydać polecenie na głos. Nie musi. Ted najwyraźniej nie jest aż tak odważny jak ja… albo czuje większy respekt przed Williamem Andersonem. Spoglądam w lusterko i znów widzę ten uśmiech. Wydaje się na stałe gościć na jego twarzy.

– Dlaczego on jest zawsze taki zadowolony? – pytam z niekłamanym zainteresowaniem, spoglądając na Williama.

Przygląda mi się z namysłem, bębniąc palcami po drzwiach, o które opiera ramię.

– Przypuszczam, że kogoś mu przypominasz – mówi cicho, prawie ostrożnie, a ja aż się cofam, gdy dociera do mnie znaczenie jego słów. Ted znał moją matkę?

Zaciskam wargi, zastanawiając się. Powinnam zapytać? Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale równie szybko je zamykam. Czy chciałabym się z nią spotkać, gdyby okazało się, że jednak żyje? Odpowiedź przychodzi błyskawicznie, niepoprzedzona żadnym namysłem. Nie kwestionuję jej.

Nie. Nie chciałabym.

W szpitalu jest gorąco i duszno, ale spieszy mi się, żeby jak najszybciej znaleźć się u babci. William maszeruje obok mnie, jego długie nogi z łatwością dotrzymują mi kroku.

– Twój przyjaciel – odzywa się ni z tego, ni z owego, a ja zwalniam i zostaję w tyle. Mój umysł też zwalnia. Nie wiem dlaczego. Wiem przecież, o kim mówi. – Gregory – dodaje, jak gdyby miał wątpliwości, czy wiem, kogo ma na myśli. Doganiam go i idę dalej ze wzrokiem wbitym przed siebie.

– Co z nim?

– Sympatyczny facet.

Marszczę brwi. Gregory jest bardzo sympatycznym facetem, ale wyczuwam, że William nie chce mi się po prostu przypochlebić.

– Bardzo sympatyczny facet – potwierdzam.

– Ambitny, bystry…

– Chwileczkę! – Zatrzymuję się gwałtownie i spoglądam na Williama z niedowierzaniem. A potem wybucham śmiechem. Nie mogę się powstrzymać. Dosłownie pokładam się ze śmiechu. Poważnemu mężczyźnie w garniturze odbiera mowę, wielkimi oczami patrzy, jak zataczam się po szpitalnym korytarzu, chichocząc. – O Boże – chichram się, ocierając łzę z oka. William rozgląda się dookoła, wyraźnie zakłopotany. – Niezły strzał, Williamie. – Ruszam w dalszą drogę, a William idzie niepewnie za mną. Jest naprawdę zdesperowany. – Przykro mi, że muszę cię rozczarować – wołam przez ramię – ale Gregory jest gejem!

– Naprawdę? – pyta osłupiały, a ja odwracam się z uśmiechem, chcąc zobaczyć zaskoczenie na twarzy potężnego Williama Andersona. Niewiele rzeczy jest w stanie wytrącić go z równowagi. Ale tym razem mi się to udało i rozkoszuję się tą chwilą.

– Naprawdę, więc daruj sobie tę gadkę. – Powinnam być na niego zła za te ciągłe próby poróżnienia mnie z Millerem, jednak nie pozwala mi na to dobry humor. Ale Miller nie będzie zachwycony, jeśli dowie się, że William wciąż próbuje się wtrącać.

Zostawiam Williama, żeby doszedł do siebie, wpadam na oddział i idę prosto do sali, gdzie wiem, że znajdę babcię.

– Dzień dobry – szczebioczę, zastając ją w fotelu, ubraną w kwiecistą sukienkę, z idealnie ułożonymi włosami. Na kolanach trzyma tacę i skubie coś, co wygląda jak kanapka z jajkiem.

Niewzruszone spojrzenie granatowych oczu w jednej chwili odbiera mi śmiałość.

– Doprawdy? – burczy, odkładając tacę na stolik.

Przybita, siadam na brzeżku jej łóżka.

– Nigdzie nie będzie ci lepiej niż tutaj, babciu.

– Też coś! – obrusza się, odgarniając z twarzy idealne loki. – Może po śmierci, ale na razie czuję się doskonale!

Mam ochotę przewrócić oczami, ale nie chcę, żeby poczuła, że ją lekceważę.

– Nie trzymaliby cię tutaj, gdyby uważali, że czujesz się doskonale.

– Czy ja tak wyglądam? – Wyciąga rękę i wskazuje pomarszczonym palcem starowinkę w łóżku naprzeciwko. Zachowuję powagę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie, w ogóle nie przypomina tej biednej kobieciny drzemiącej z otwartymi ustami po drugiej stronie sali. Ona naprawdę wygląda na nieżywą. – Enid! – krzyczy babcia tak głośno, że aż podskakuję. – Enid, złotko, to moja wnuczka. Pamiętasz, opowiadałam ci o niej?

– Babciu, ona śpi! – syczę i w tej samej chwili zza rogu wychodzi William. Uśmiecha się pod nosem, z pewnością słyszał awanturującą się Josephine.

– Wcale nie śpi – upiera się babcia. – Enid!

Kręcę głową i spoglądam błagalnie na Williama, ale on wzrusza tylko ramionami, nie przestając się uśmiechać. Oboje zerkamy w bok, gdy od strony łóżka Enid rozlega się kaszel i charczenie. Staruszka unosi ciężkie powieki i rozgląda się dookoła oszołomionym wzrokiem.

– Juhu! Tutaj! – Babcia wymachuje ręką jak szalona. – Włóż okulary, złotko. Masz je na brzuchu.

Enid maca przez chwilę kołdrę, po czym wkłada okulary. Na jej ziemistej twarzy pojawia się bezzębny uśmiech.

– Słodziutka – chrypi, a potem głowa opada jej z powrotem na poduszkę, oczy zamykają się, a usta otwierają.

Chcę wstać, zaniepokojona jej stanem.

– Nic jej nie jest?

William chichocze i siada obok mnie na łóżku babci.

– To przez lekarstwa, które zażywa. Nic jej nie jest.

– Nie – oponuje babcia. – To mnie nic nie jest. Ona odejdzie już niedługo z tego padołu. Kiedy mnie stąd wypuszczą?

– Jutro, może w piątek, jeśli lekarz specjalista wyrazi zgodę – mówi William, wywołując u niej uśmiech pełen nadziei. – Jeśli wyrazi zgodę – podkreśla ze znaczącym spojrzeniem.

– Zgodzi się na pewno – stwierdza babcia z przesadną pewnością siebie, składając dłonie na podołku. Potem zapada cisza, a jej granatowe oczy wędrują między mną a Williamem. Na jej okrągłej twarzy maluje się zaciekawienie. – A wy jak się macie?

– Bardzo dobrze.

– Świetnie – rzucam równocześnie z Williamem i oboje zerkamy na siebie kątem oka.

– Gdzie Miller? – dopytuje się dalej babcia.

Nic nie mówię, licząc na to, że znów odpowie William, ale on milczy. Między nami panuje wyczuwalne napięcie i babcia musiała to wyłapać. Nie chcę, żeby zaprzątała sobie głowę czymkolwiek poza swoim powrotem do zdrowia.

– Jest w pracy. – Zaczynam się bawić dzbankiem z wodą na jej szafce, byle tylko znaleźć jakieś pretekst do zmiany tematu. – Przynieść ci świeżej wody?

– Pielęgniarka zrobiła to przed waszym przyjściem – odpowiada szybko babcia, więc przenoszę wzrok na plastikowy kubek obok dzbanka.

– Może czysty kubek? – pytam z nadzieją w głosie.

– Już zrobione.

Zrezygnowana, spoglądam w jej zaciekawioną twarz.

– Potrzebujesz czystych ubrań albo bielizny? Przyborów toaletowych?

– William się tym zajął wczoraj rano.

– Naprawdę? – Rzucam Williamowi zaskoczone spojrzenie, które zostaje kompletnie zignorowane. – To miło z jego strony.

Postawny mężczyzna wstaje z łóżka i pochyla się, żeby pocałować babcię w policzek, a ona uśmiecha się z sympatią, unosi rękę i poklepuje Williama po ramieniu.

– Masz jeszcze kredyt?

– O tak! – Babcia bierze do ręki pilota i wskazuje nim telewizor. Ekran ożywa, a babcia sadowi się wygodniej w fotelu. – Cudowny wynalazek! Wiedzieliście, że wystarczy nacisnąć guzik, żeby obejrzeć odcinek *Eastenders* z ubiegłego miesiąca?

– Niewiarygodne – zgadza się William, posyłając mi uśmiech.

Siedzę oniemiała, patrząc, jak babcia i były alfons jej córki rozmawiają sobie jak rodzina. William Anderson, władca półświatka, wcale nie trzęsie się ze strachu. A babcia najwyraźniej nie zamierza zżymać się na mężczyznę, który odsunął od siebie jej córkę. Co ona wie? A raczej o czym powiedział jej William? Nie wyglądają, jak gdyby kiedykolwiek żywili do siebie urazę. Są w doskonałej komitywie. Nie wiem, co o tym myśleć.

– Lepiej już pójdę. – Ciche oświadczenie Williama przerywa moją gonitwę myśli i ściąga mnie z powrotem na duszny oddział szpitalny. – Zachowuj się, Josephine.

– Tak, tak – sapie babcia, zbywając go machnięciem ręki. – Jeśli wypuszczą mnie jutro, będę aniołkiem.

William wybucha śmiechem, a jego szare oczy błyszczą, gdy spogląda z czułością na moją ukochaną babcię.

– Od tego zależy twoja wolność. Wpadnę później. – Odwraca się do mnie i uśmiecha jeszcze szerzej na widok mojej ewidentnej konsternacji. – Ted wróci po ciebie, gdy już podrzuci mnie do Socjety. Odwiezie cię do domu.

Wzmianka o lokalu Williama dławi mój protest, przed oczyma stają mi wspomnienia luksusowego klubu. Zaciskam powieki, żeby powstrzymać ich napływ.

– W porządku – mamroczę pod nosem i wstaję, żeby poprawić zbędną poduszkę na łóżku babci, byle tylko nie musieć znosić tego surowego spojrzenia ani chwili dłużej niż to konieczne. Dzwonek mojego iPhone'a rozlega się jak na zamówienie, dzięki czemu mogę zająć się szukaniem w torebce komórki, gdy już skończyłam się bawić poduszką.

„Uprzejmość nakazuje odpowiedzieć na zadane pytanie".

Powinnam wrócić do domu i ukryć się we własnym łóżku, gdzie nikt mnie nie znajdzie i nie będzie mi działał na nerwy.

– Olivio, skarbie, nic ci nie jest? – Troska w głosie babci sprawia, że przywołuję na twarz wymuszony uśmiech.

– Nic mi nie jest, babciu. – Niedbale wrzucam telefon do torebki, lekceważąc dalsze reprymendy, jakie bez wątpienia ściągnę na siebie brakiem odpowiedzi, i znów sadowię się wygodnie na łóżku. – A więc wracasz do domu jutro albo w piątek?

Odczuwam ulgę, gdy babcia natychmiast zapomina o mnie i rozpoczyna litanię powodów, dla których nie może się już doczekać, żeby uciec z tego „piekła". Wysłuchuję jej narzekań bitą godzinę, dopóki nie pojawi się George, któremu babcia serwuje podobną tyradę. Wielu rzeczy na tym etapie swojego życia nie jestem pewna, ale wiem z całą pewnością, że nie chciałabym być w tej chwili pielęgniarką w Cedar Ward.

Tuż przed opuszczeniem babci i George'a dostaję z nieznanego numeru esemes, który informuje mnie, że samochód już na mnie czeka. Ale nie jestem jeszcze gotowa na powrót do domu, a wiem, że William przykazał Tedowi, żeby pod żadnym pozorem nie zawoził mnie nigdzie indziej. Wiem również, że ani słodkie słówka, ani uśmiechy nie są w stanie skłonić kierowcy Williama, żeby zlekceważył jego polecenie.

– Skarbie!

Obracam się na pięcie i wydaję z siebie pisk, bo w moją stronę biegnie truchtem Gregory. Znajomy widok mojego najlepszego przyjaciela w jego niechlujnych bojówkach i obcisłej koszulce przepędza wszystkie przykre myśli, którymi się aktualnie zadręczam. Gregory porywa mnie w ramiona i okręca w powietrzu, a ja znów piszczę cienko.

– Boże, jak dobrze cię widzieć.

– Ciebie też. – Przywieram do niego całym ciałem i pozwalam, żeby wyściskał mnie z radości. – Idziesz do babci?

– Tak, ty już byłaś?

– Zostawiłam ją z George'em. Może wypuszczą ją jutro do domu.

Gregory odkleja mnie od siebie i przytrzymuje za ramiona. A potem przygląda mi się bacznie spod zmrużonych powiek. Nie wiem czemu. Nie powiedziałam, ani nie zrobiłam niczego podejrzanego.

– Co jest grane? – pyta.

– Nic. – Natychmiast besztam się w duchu za unikanie jego wzroku.

– Jasne – odpowiada z sarkazmem. – Bo twoja ucieczka i wyważenie przez kilku bandziorów drzwi do apartamentu Millera to tylko wytwory mojej wyobraźni. Nie masz się zupełnie czym martwić.

– Bandziorów – powtarzam i do razu przypominają mi się osoby, które Miller woli nazywać niemoralnymi draniami.

– Tak, to było niezapomniane przeżycie. – Gregory bierze mnie pod ramię i rusza w stronę wyjścia.

– Nie wspominałeś o tym, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– Livy, od czasu twojej ucieczki do Nowego Jorku rozmawialiśmy wyłącznie o pierdołach. Nie udawaj, że oczekiwałaś czegoś innego.

Nie mogę zaprzeczyć, więc tego nie robię. Nie byłam zainteresowana tym, co wydarzyło się po naszej ucieczce, i wciąż, w głębi serca, nie chcę tego wiedzieć, jednak wzmianka o bandziorach wzbudziła moją ciekawość.

– Wyglądali na wredne typki. – Gregory podsyca moją ciekawość, ale wzbudza też we mnie szalony niepokój. – Ten twój William, król cholernego narkotykowego podziemia, potraktował ich jak kociaki. Nawet się nie spocił, gdy jeden z nich sięgnął po spluwę. Po cholerną spluwę!

– Spluwę? – pytam zduszonym głosem, a serce podchodzi mi do gardła.

Gregory rozgląda się ostrożnie dookoła, a potem skręca w boczny korytarz, żeby nie usłyszeli nas inni goście.

– Dobrze słyszałaś. Kim są ci ludzie, Livy?

Cofam się kilka kroków.

– Nie wiem. – Nie czuję się winna z powodu tego kłamstwa. Za bardzo się martwię.

– A ja wiem.

– Wiesz? – Wytrzeszczam oczy z przerażeniem. William z pewnością o niczym mu nie powiedział. Proszę, niech Gregory o niczym nie wie!

– Tak. – Przysuwa się i zerka na boki, żeby upewnić się, że jesteśmy sami. – To dilerzy narkotyków. Miller pracuje dla tych bandziorów i idę o zakład, że ma teraz nieźle przesrane.

Jestem przerażona. Jestem zachwycona. Jestem oszołomiona. Nie wiem, czy lepiej pozwolić Gregory’emu wierzyć, że Miller ma kontakty z dilerami narkotyków, czy zdradzić mu prawdę. Gregory ma jednak rację w jednej kwestii. Miller rzeczywiście pracuje dla bandziorów.

– Aha – szepczę, rozpaczliwie próbując powiedzieć coś więcej, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Na szczęście Gregory odzywa się, zanim zauważy moje milczenie.

– Olivio, twój facet jest nie tylko psychotycznym, cierpiącym na zaburzenia

obsesyjno-kompulsywne eksbezdomnym i ekszigolakiem, ale także dilerem narkotyków!

Opieram się plecami o ścianę i spoglądam w jarzeniówki. Nie mrugam, choć ostre światło wypala mi siatkówki. Liczę na to, że rozprawi się także z moimi problemami.

– Miller nie jest dilerem – oznajmiam ze spokojem. Tak łatwo byłoby teraz stracić panowanie nad sobą.

– A ta cała Sophia, jeszcze jej nie rozgryzłem, ale na pewno niezłe z niej ziółko. No bo – wybucha śmiechem – porwanie?

– Jest zakochana w Millerze.

– I jeszcze biedna babcia – ciągnie Gregory. – Zaprosiła Williama do stołu, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi.

– Bo są. – Niechętnie dochodzę do wniosku, że chyba powinnam ustalić, jak bardzo są zaprzyjaźnieni, pamiętam jednak, że babcia jest delikatna, więc wskrzeszanie duchów przeszłości byłoby głupotą. Zwieszam głowę z westchnieniem, ale Gregory tego nie zauważa. Już się rozkręcił i bardzo chce się podzielić ze mną swoimi wnioskami.

– Pod twoją nieobecność przychodził tu codziennie… – W końcu urywa i chowa szyję w ramionach. – Oni byli…

– Znał moją matkę. – Wiem, że te słowa wywołają lawinę pytań, więc gdy Gregory nabiera tchu, unoszę dłoń. – Miller rzeczywiście pracuje dla tych ludzi, a oni nie chcą pozwolić mu odejść. Próbuje znaleźć jakieś wyjście.

Gregory się krzywi.

– A co to ma wspólnego z ojcem chrzestnym?

Uśmiecham się mimowolnie, rozbawiona jego żartem.

– Był alfonsem mojej matki. On i szef Millera nie przepadają za sobą. Próbuje nam pomóc.

Gregory wytrzeszcza oczy. Są wielkie jak spodki.

– Kuurwa…

– Jestem zmęczona, Gregory. Jestem zmęczona tą ciągłą frustracją i bezradnością. Jesteś moim przyjacielem i proszę cię, żebyś nie podsycał tych uczuć. – Wzdycham, bo już samo to wyznanie je podsyca. – Potrzebuję teraz przyjaciela. Proszę, bądź moim przyjacielem.

– A niech mnie – mamrocze Gregory, spuszczając głowę ze wstydem. – A teraz czuję się jak skończony dupek.

Chciałabym złagodzić jego wyrzuty sumienia, powiedzieć mu, że to nieprawda, ale nie znajduję w sobie dość siły. Odpycham się od ściany i ruszam powoli w stronę wyjścia. Może i jestem wściekła na Millera, ale wiem, że tylko on potrafi podnieść mnie na duchu.

Gregory nieśmiało kładzie mi dłoń na ramieniu i zrównuje się ze mną. Nic nie mówi, pewnie boi się, że pogrążę się w jeszcze większym przygnębieniu. Podnoszę

wzrok na mojego najlepszego przyjaciela, gdy przyciąga mnie bliżej, ale on patrzy przed siebie.

– Nie idziesz do babci?

Kręci głową ze smutnym uśmiechem.

– Zaskypuję do niej na ten bajerancki telewizor. Strasznie ją to bawi.

– Ma Internet?

– I telefon, ale woli mnie widzieć.

– Babcia korzysta z Internetu?

– Tak. I to często. William stale wykupuje jej nowy kredyt. Przez tych kilka dni musiał wydać na to fortunę. Jest uzależniona.

Wybucham śmiechem.

– Co u Bena?

– Wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Uśmiecham się, zachwycona tą wiadomością. To może oznaczać tylko jedno.

– Cieszę się. Przyjechałeś samochodem?

– Tak. Chcesz, żeby cię gdzieś podrzucić?

– Tak. – Z uśmiechem wtulam się w jego pierś. Nie pojadę z Tedem. – Możemy pojechać do kafejki?

Rozdział 9

Telefon Gregory’ego zaczyna dzwonić w chwili, gdy zatrzymuje samochód nieopodal kafejki. Podnosi się na siedzeniu i szpera w kieszeni spodni, a ja otwieram drzwi.

– Zadzwonię – mówię, nachylając się, żeby pocałować go w policzek. Gregory spogląda na wyświetlacz, marszcząc brwi. – Co się stało?

– Chwileczkę. – Unosi jeden palec na znak, żebym zaczekała, i odbiera: – Halo.

Opadam z powrotem na fotel i z ręką na klamce otwartych drzwi patrzę, jak słucha uważnie przez kilka sekund. A potem jakby się skurczył na swoim siedzeniu.

– Jest ze mną.

Kulę się, krzywię i zgrzytam zębami, wszystko naraz, a potem instynktownie wyskakuję z samochodu, zatrzaskuję za sobą drzwi i szybko przebiegam na drugą stronę ulicy. Mogłam przewidzieć, że będą mnie szukać po tym, jak zostawiłam Teda pod szpitalem i nie odbierałam telefonów od Millera i Williama.

– Olivio! – krzyczy Gregory.

Gdy jestem już bezpieczna po drugiej stronie jezdni, obracam się i widzę, że kręci głową z dezaprobatą. Wzruszam ramionami ze skruchą, ale tylko dlatego, że nie powiedziałam mu, że Ted czekał na mnie z polecenia Williama. Nie wciągnęłam go specjalnie w sam środek konfliktu.

Macham przyjacielowi ręką, odwracam się do niego plecami i skręcam w boczną uliczkę, która prowadzi do kafejki. Ale znów się kulę, gdy mój wypasiony iPhone zaczyna wygrywać *Sexy and I know it* w mojej torebce.

– Cholera – burczę i wyjmuję komórkę, zaśmiewając się w duchu z wyboru dzwonka dla mojego najlepszego przyjaciela. – Gregory – mówię, nie zwalniając kroku.

– Ty podstępna żmijo!

Ze śmiechem rozglądam się na boki, zanim przejdę przez ulicę.

– Nie jestem podstępna. Nie powiedziałam ci tylko, że mam dzisiaj szofera.

– Cholera, Olivio! William jest zły, a przed chwilą dzwonił do mnie jeszcze Pan Świr.

– Miller? – Nie wiem, czemu pytam. Kogo innego mógł nazwać w ten sposób?

– Tak. Jezu, skarbie! Odkąd to bycie twoim przyjacielem stało się tak ryzykowne? Boję się o swój kręgosłup, swoje gnaty… moją cholerną śliczną buźkę!

– Wyluzuj, Gregory. – Podskakuję, gdy jakiś samochód na mnie trąbi, unoszę rękę w geście przeprosin i docieram na chodnik. – Zaraz zamelduję się u nich obu.

– Tylko nie zapomnij – mruczy.

To idiotyczna sytuacja i teraz staram się wybrać mniejsze zło. Moje samotne życie z wyboru było nieco duszne, ale znacznie łatwiejsze, bo sama byłam sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Nikt inny. Mam wrażenie, że Miller przebudził mnie, uwolnił, jak sam to ujął, a teraz próbuje odebrać mi to poczucie wolności i zaczynam go za to nienawidzić. Gregory powinien trzymać moją stronę. Nie pozwolę, żeby przeciągnęli mojego najlepszego przyjaciela na ciemną stronę mocy.

– Czyim ty jesteś przyjacielem?

– Co?

– Słyszałeś. Czyim jesteś przyjacielem? A może pod moją nieobecność ty i William zostaliście serdecznymi kumplami?

– Przezabawne, skarbie. Boki zrywać.

– Nie próbuję być zabawna. Odpowiedz na moje pytanie.

Na chwilę zapada cisza, a potem słyszę, jak Gregory robi głęboki wdech.

– Twoim – mówi, wypuszczając powietrze.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. – Rozłączam się z chmurną miną, a potem spoglądam w lewo i prawo, zanim przejdę na drugą stronę do kafejki. Nogi same mnie niosą, prawie podskakuję, zbliżając się do swojego miejsca pracy. Uśmiecham się.

– Olivio!

Ten podszyty lękiem krzyk sprawia, że staję jak wryta na środku jezdni i się obracam. Słyszę pisk klaksonów i kolejne okrzyki przerażenia.

– Olivio! Uciekaj!

Zdezorientowana, rozglądam się gorączkowo dookoła, usiłując ustalić, skąd ten cały rwetes. I wtedy dostrzegam czarny samochód z napędem na cztery koła, który jedzie prosto na mnie. Pędzi. W głowie słyszę głos, który mówi mi, co robić. Rusz się! Uciekaj! Zejdź z drogi! Ale moje ciało ignoruje te wszystkie komendy. Jest w szoku. Stoję jak sparaliżowana. Jak nieruchomy cel.

Nie słyszę nic oprócz głosu w głowie. Jedyną rzeczą, na jakiej jestem w stanie się skupić, jest ten samochód, który jest coraz bliżej i bliżej.

W końcu pisk opon wyrywa mnie z transu, słyszę głuche dudnienie kroków na asfalcie. Ktoś zbija mnie z nóg i powala na chodnik. Impet zderzenia otrzeźwia mnie, ale lądowanie jest miękkie. Jestem zdezorientowana. Skołowana. Nagle zmieniam pozycję, ale nie z własnej woli, a zaraz potem siadam, a przede mną kuca Ted. Skąd on się tu wziął? Zostawiłam go w szpitalu.

– Przez ciebie stracę pracę, dziewczyno – mówi, przebiegając wzrokiem po mojej twarzy, a potem sprawdza, czy nic mi się nie stało. – Kurwa mać – przeklina, pomagając mi wstać.

– Prze… przepraszam – jąkam się, kompletnie wytrącona z równowagi, a Ted prycha z irytacją. – Nie zauważyłam tamtego samochodu.

– Bo nie miałaś go zauważyć – mamrocze pod nosem, ale słyszę go jasno i wyraźnie.

– Ktoś próbował mnie przejechać? – pytam, oszołomiona, zastygając bez ruchu.

– Może to było ostrzeżenie, ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Dokąd idziesz?

Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, wskazuję przez ramię kafejkę po drugiej stronie ulicy.

– Zaczekam tutaj. – Kręcąc głową, wyciąga z kieszeni telefon i spogląda na mnie z powagą, jak gdyby chciał mnie ostrzec, żebym nie ważyła się znowu uciekać.

Odwracam się na trzęsących się nogach, próbując wziąć się w garść przed spotkaniem ze znajomymi z pracy, żeby nie zaczęli czegoś podejrzewać. Ale coś jest bardzo nie w porządku. Wygląda na to, że ktoś próbował mnie przejechać, a jeśli potraktuję poważnie wszystkie obawy Millera, pozostaje mi tylko dojść do wniosku, że winne są bandziory, niemoralne dranie, czy jak ich tam nazwać. To ostrzeżenie od nich.

W kafejce witają mnie znajome zapachy i dźwięki. Dzięki temu uśmiechanie się przychodzi mi prawie bez trudu.

– O mój Boże! Livy! – Sylvie rzuca się w moją stronę, odprowadzana zaskoczonymi spojrzeniami licznych gości. Stoję w miejscu w obawie, że zderzy się z drzwiami, jeśli się poruszę. – Jak dobrze cię widzieć! – Wpada na mnie, pozbawiając mnie tchu.

– Cześć – udaje mi się wykrztusić, ale zaraz marszczę brwi na widok nieznajomej twarzy za kontuarem.

– Jak się masz? – Sylvie odsuwa się o krok i z dłońmi na moich ramionach przygląda mi się, zaciskając różowe usta.

– W porządku – odpowiadam, choć to dalekie od prawdy. Nie mogę się skoncentrować z powodu dziewczyny za barem, która obchodzi się z ekspresem do kawy, jak gdyby pracowała tu od lat.

– To dobrze – mówi Sylvie z uśmiechem. – A Miller?

– Też – zapewniam, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Sylvie myśli, że zrobiliśmy sobie wakacje. Po wzlotach i upadkach, jakie przechodził nasz związek, nagły wypad z Millerem brzmiał jak doskonała wymówka dla mojego nagłego zniknięcia. Del sprawiał wrażenie zaskoczonego, kiedy zadzwoniłam, żeby powiedzieć, że nie będzie mnie cały tydzień, ale dał mi swoje błogosławieństwo i życzył mi udanego wyjazdu. Sęk w tym, że nie było mnie dłużej niż tydzień.

– Co u was słychać? – pytam, próbując zmienić temat.

Udało się. Jej krótkie czarne włosy świszczą, gdy kręci głową ze znużonym westchnieniem.

– Straszny zachrzan, a Del obsługuje jeszcze więcej imprez niż kiedyś.

– Livy! – Del staje w wahadłowych drzwiach do kuchni, a zaraz potem pojawia

się w nich Paul. – Kiedy wróciłaś?

– Wczoraj. – Uśmiecham się ze skrępowaniem, nieco zawstydzona, że nie dałam mu znać. Ale wszystko działo się tak szybko i od chwili, w której Miller powiedział mi, że babcia miała zawał, byłam w stanie myśleć wyłącznie o niej. Wszystko inne przestało się liczyć, łącznie z moją pracą. Ale teraz, gdy tu jestem, nie mogę się już doczekać, żeby wrócić do pracy – gdy tylko będę miała pewność, że babcia doszła do siebie.

– Wspaniale cię widzieć, złotko. – Paul mruga do mnie i wraca do kuchni. Del wyciera ręce w fartuch, zerkając z ukosa na dziewczynę, która właśnie wręcza kawę czekającemu klientowi, a potem spogląda na mnie z zażenowanym uśmiechem. Nagle ogarnia mnie skrępowanie, czuję, że już tu nie pasuję.

– Nie wiedziałem, kiedy wrócisz – zaczyna Del. – Nie wiedzieliśmy, w co ręce włożyć. Rose pytała o wakaty i szybko się u nas odnalazła.

Ogarnia mnie rezygnacja. Del znalazł kogoś na moje miejsce i sądząc po jego skruszonej minie, wcale nie zamierza przywrócić mnie do pracy.

– Oczywiście – mówię z uśmiechem, siląc się na obojętność. Nie mogę mieć do niego pretensji. W tygodniach poprzedzających moje zniknięcie też nie mógł na mnie polegać. Gdy patrzę, jak Rose wkłada filtr do ekspresu, czuję przypływ bezpodstawnej zaborczości. To, że robi to z taką łatwością – i to jedną ręką, bo drugą sięga po ścierkę – wcale nie polepsza sytuacji. Zostałam zastąpiona, a co gorsza, przez kogoś bardziej kompetentnego od siebie. Czuję się urażona i ze wszystkich sił staram się nie dać tego po sobie poznać.

– W porządku, Del. Naprawdę. Nie liczyłam na to, że na mnie zaczekasz. Nie sądziłam, że wyjadę na tak długo. – Zerkam na telefon w dłoni i widzę na wyświetlaczu imię Millera, ale nie odbieram połączenia. – Poza tym babcia wychodzi jutro ze szpitala, więc muszę zostać w domu, żeby się nią zająć. – To ironia losu. Przez cały czas używałam babci jako wymówki, żeby nie musieć stawić czoło wielkiemu światu, a teraz ona naprawdę potrzebuje mojej pomocy. A ja naprawdę pragnę stawić czoła wielkiemu światu. Mam okropne wyrzuty sumienia, że dopuściłam do siebie uczucie nienawiści. Zaczynam nienawidzić wszystkiego i wszystkich. Ludzie, którzy obdarowali mnie wolnością, teraz starają się mi ją odebrać.

– Twoja babcia jest chora? – pyta Sylvie ze współczuciem. – Nic nie wspominałaś.

– Och, Livy, skarbie, tak mi przykro. – Del rusza w moją stronę, ale ja się cofam. Emocje biorą we mnie górę.

– Napędziła nam trochę strachu, to nic poważnego. Wypuszczą ją do domu jutro albo w piątek.

– To dobrze. Dbaj o nią.

Uśmiecham się, gdy Sylvie poklepuje mnie po ramieniu. Całe to współczucie jest nie do zniesienia. Muszę stąd uciec.

– Do zobaczenia – mówię i macham do Dela, wycofując się z kafejki.

– Daj znać, jak leci! – woła za mną mój były szef, po czym wraca do kuchni, żeby zająć się tym co zwykle. Tym co zwykle, ale już beze mnie.

– Trzymaj się, Livy. – Na twarzy Sylvie maluje się skrucha. Niepotrzebnie. To nie jej wina i żeby jej to ułatwić, żeby przekonać ją, że nie chowam urazy, przyklejam do twarzy szeroki uśmiech i dygam.

Sylvie wybucha śmiechem, obraca się na pięcie swoich motocyklowych butów i podchodzi tanecznym krokiem do baru, a ja zamykam drzwi, opuszczając moją dawną pracę i ludzi, których tak polubiłam. Nogi mam jak z ołowiu, gdy idę po chodniku, a gdy wreszcie podnoszę wzrok, widzę czekający samochód i Teda, który otwiera mi drzwi. Wsiadam bez słowa, drzwi zamykają się, Ted zajmuje miejsce kierowcy i włącza się w popołudniowy londyński ruch. Jestem w podłym nastroju, jak można się było spodziewać, ale najwyraźniej mam ochotę zdołować się jeszcze bardziej.

– Znałeś moją matkę – odzywam się cicho, a on kiwa lekko głową. – Wydaje mi się, że wróciła do Londynu – mówię jak gdyby nigdy nic, jak gdyby to nie miało znaczenia.

– Otrzymałem instrukcje, żeby odwieźć panią do domu, pani Taylor. – Ignoruje moją zaczepkę, co utwierdza mnie w przekonaniu, że będzie trzymał język za zębami. O ile jest w ogóle o czym mówić. Mam nadzieję, że nie, a zatem nasuwa się pytanie, po co w ogóle drążę ten temat. Babcia by tego nie przeżyła.

Bez trudu godzę się z powściągliwością Teda.

– Dziękuję za uratowanie mi życia. – Wzdycham z nadzieją, że potraktuje moje podziękowania jak gałązkę oliwną.

– Nie ma za co, pani Taylor. – Ted wpatruje się w drogę, unikając mojego spojrzenia we wstecznym lusterku.

Wyglądam przez okno i patrzę, jak przemyka za nim wielki świat, a jeszcze większa czarna chmura opada w dół, spowijając moje ulubione miasto ponurym mrokiem, który doskonale odpowiada obecnemu stanowi mojego umysłu.

Rozdział 10

17 lipca 1996

Peter Smith

Bankier inwestycyjny.

46 lat – nudny z imienia, szalony z natury. Znów starszy facet. Żonaty, ale wyraźnie nie dostaje tego, czego pragnie. Przypuszczam, że teraz pragnie mnie.

Randka numer 1: kolacja w Savoyu.

Przystawka: najlepsza sałatka krabowa, jaką w życiu jadłam, ale wstrzymam się z osądem do czasu, aż zjem w Dorchester. Na danie główne stek z polędwicy wołowej i kilka celnych wstydliwych spojrzeń. Na deser tiramisu oraz diamentowa bransoletka. Oczywiście wyraziłam swoją wdzięczność w penthousie, zanim się wymknęłam. Chyba się z nim jeszcze spotkam. Potrafi używać języka w niewiarygodny sposób.

Zamykam gwałtownie pamiętnik matki i rzucam na kanapę, zła na siebie. Dlaczego znów to sobie robię? Nic, co tam mogę znaleźć, nie poprawi mi nastroju. Pamiętam, jak William powiedział kiedyś, że prowadziła ten pamiętnik, żeby go dręczyć. I choć żal mi samej siebie, czuję odrobinę współczucia dla mężczyzny, który przyczynia się do mojej obecnej niedoli. Była naprawdę nikczemną kobietą.

Uklepuję jedną z koronkowych poduch babci, opieram na niej głowę, zamykam oczy i staram się ze wszystkich sił nie myśleć o niczym. Moje próby zrelaksowania się spełzają na niczym, bo nagle słyszę, jak ktoś wchodzi do domu, a potem odgłos szybkich kroków w korytarzu. Jeszcze zanim otworzę oczy, wyobrażam sobie drogie skórzane buty i szyty na miarę garnitur. Ktoś znów przywdział zbroję.

Miałam rację, na progu salonu, ubrany w szykowny garnitur, stoi Miller. Ciemne włosy ma w nieładzie, a choć jego twarz nie wyraża emocji, w jego przeszywającym niebieskim spojrzeniu czai się strach.

– Kupiłeś nowe garnitury – mówię cicho, wciąż rozparta na kanapie, choć rozpaczliwie pragnę jego uwagi i dotyku. Miller przeczesuje włosy dłonią, odgarniając z czoła niesforny kosmyk, i wzdycha z ulgą.

– Tylko kilka.

Tylko kilka? Idę o zakład, że odkupił wszystkie, które pocięłam.

– Del zatrudnił kogoś na moje miejsce.

Widzę, że wyraźnie oklapł. Nie podobało mu się, że pracuję w kafejce, ale jestem pewna, że nigdy nie próbowałby mnie zmusić do odejścia.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina.

Podchodzi bliżej z rękami w kieszeniach spodni i spogląda na mnie z góry.

– Martwiłem się o ciebie.

– Jestem dużą dziewczynką, Miller.

– Jesteś także moją własnością.

– Jestem również osobą, która ma własne zdanie.

Nie udaje mu się powstrzymać grymasu irytacji.

– Za dużo myślisz i to niezbyt trzeźwo. – Kuca obok sofy. – Zdradź, co cię trapi, słodka dziewczyno.

– Oprócz tego, że ktoś próbował mnie dzisiaj przejechać?

Oczy błyskają mu groźnie, zaciska zęby i przez chwilę obawiam się, że przypisze całe to zajście mojej nieuwadze. Ale nic nie mówi, więc wiem już wszystko, co chciałam wiedzieć.

– Wszystko – ciągnę. – Wszystko jest nie tak. William, babcia, Gregory, moja praca.

– Ja – szepcze, dotykając delikatnie mojego policzka. Ciepło jego skóry sprawia, że zamykam oczy i wtulam twarz w jego dłoń. – Nie spisuj mnie na straty, Olivio. Błagam cię.

Broda mi drży, gdy łapię go za rękę i lekkim szarpnięciem daję mu znak, że potrzebuję tego, co lubi. Nie odmawia, choć jest ubrany od stóp do głów w najbardziej szykowne ubrania, jakie można kupić, i to prosto ze sklepu. Jego ciepłe ciało otula moje, czuję na szyi jego miękkie wargi. Nie muszę nic mówić, więc zdaję się na mowę ciała i przywieram do niego. Odnajduję spokój. Odnajduję błogostan. Odnajduję znajome ukojenie, którego nie znajdę nigdzie indziej. Miller sieje spustoszenie w moim ciele, sercu i umyśle. A potem przywraca im spokój.

Godzinę później wciąż tkwimy w tej samej pozycji. Nie rozmawiamy, po prostu cieszymy się swoją bliskością. Zapada zmierzch. Nowy trzyczęściowy garnitur Millera musi być koszmarnie zmięty, we włosach mam kołtuny, a ramiona zdrętwiały mi do tego stopnia, że czuję w nich nieprzyjemne mrowienie.

– Jesteś głodna? – pyta z ustami w moich włosach, a ja kręcę głową. – Jadłaś coś dzisiaj?

– Tak – kłamię. Nie mam ochoty na jedzenie, mój żołądek się przed nim wzbrania. Jeśli Miller spróbuje mnie karmić na siłę, pokażę mu moje stępione już nieco pazurki.

Unosi się, opierając na przedramionach, i spogląda na mnie z góry.

– Włożę coś wygodniejszego.

– Chcesz powiedzieć, że włożysz szorty?

Oczy mu się skrzą, wargi drgają.

– Chcę, żeby ci było wygodnie.

– Już mi jest wygodnie. – Przed oczyma staje mi obraz idealnego nagiego torsu,

który po raz pierwszy zobaczyłam tamtej nocy. Tamtej nocy, która przerodziła się w całe życie. Tamtej nocy, kiedy myślałam, że mam tylko dwadzieścia cztery godziny, choć miałam nadzieję na więcej. Nawet teraz, w środku tego koszmaru, nie żałuję, że przyjęłam propozycję Millera.

– Tobie może tak, ale nie mojemu nowemu garniturowi. – Unosząc się, spogląda z niesmakiem na swój tułów. – To zajmie chwilę. I masz być naga, kiedy wrócę.

Uśmiecham się wstydliwie, gdy wychodząc z pokoju, omiata sugestywnym wzrokiem moją postać. Jego płomienne spojrzenie prawie pali materiał na moim ciele. Podskórne iskrzenie przeradza się w istne pioruny. A potem znika, zostawiając mnie podnieconą, a że nie mam nic lepszego do roboty, spełniam jego prośbę i zaczynam się powoli rozbierać.

Gdy już zrzuciłam z siebie ubranie, nakryłam się wełnianym pledem i włączyłam telewizor, Miller wraca, ale nie ma na sobie szortów. Nie ma na sobie nic. Przyglądam mu się z uznaniem, moje ciało domaga się jego uwagi. Staje przede mną na lekko rozstawionych nogach i ze spuszczonym wzrokiem. Jest niewyobrażalnie piękny. Jest najdoskonalszym arcydziełem. Jest niezrównany. Jest moją własnością.

– Ziemia do Olivii – szepcze. Spoglądam w jego przenikliwe oczy i patrzę jak urzeczona, rozchylając usta, bo brakuje mi tchu, jak mruga leniwie. – Miałem stresujący dzień.

Witaj w klubie, myślę, podając mu rękę. Spodziewałam się, że położy się obok mnie, ale podnosi mnie z kanapy. Wełniany pled spada na podłogę u moich stóp. Kładzie mi rękę na plecach i przyciąga mnie do piersi. Dotykamy się. Wszędzie.

– Jesteś gotowa, żeby mnie odstresować? – Jego gorący oddech parzy mnie w policzki, rozgrzewając je jeszcze mocniej. – Jesteś gotowa, żebym zabrał cię tam, gdzie nie istnieje nic prócz nas?

Kiwam głową i opuszczam powieki, a on kładzie mi wolną rękę z tyłu głowy i zaczyna przeczesywać palcami włosy.

– Chodź ze mną. – Przesuwa dłoń na mój kark, obraca mnie i wyprowadza z salonu. Docieramy tylko do połowy schodów, bo łapie mnie za biodra i ciągnie lekko w tył. – Oprzyj się dłońmi o stopień.

– Na schodach? – Oglądam się przez ramię i dostrzegam wyłącznie żądzę bijącą z całej jego postaci.

– Na schodach – potwierdza, łapie mnie za ręce i kładzie je we właściwym miejscu. – Gdy będziemy już starzy i siwi, nie będzie takiego miejsca, w którym bym cię nie wielbił, Olivio Taylor. Wygodnie ci?

Kiwam głową, słysząc trzask rozdzieranej folii. Wkłada prezerwatywę, a ja zbieram siły. Zaczyna wodzić palcami po mojej skórze, delikatnie pieszcząc każdy fragment moich pleców. Brakuje mi tchu. Jestem cała mokra i drżę z niecierpliwości. Jego dotyk i pieszczoty odegnały wszystkie przykre myśli dręczące mój umysł. Jest moją ucieczką. A ja jego. To wszystko, co mam. Jego uwaga i miłość. Tylko one

pozwalają mi przetrwać.

Napinam dłonie oparte o stopień, przestawiam stopy, spuszczam głowę i patrzę, jak moje włosy opadają na dywan, a gdy czuję twardość jego członka przy mojej szparce, wstrzymuję oddech. Przez kilka nieznośnych chwil masuje mi pupę kolistymi ruchami, przesuwa dłonią wzdłuż kręgosłupa, a potem powraca do pośladków, które rozdziela dłońmi. Jeszcze mocniej zaciskam powieki, gdy leniwie rozsuwa je palcem, nieznane mi wcześniej doznanie sprawia, że drżę jeszcze mocniej. Cała wibruję. Całe moje ciało dygocze. Jego członek wciąż dotyka mojej płci, palec drażni moje drugie wejście, a ja błagam go w myślach, żeby we mnie wszedł. Obojętnie którędy.

– Miller – dyszę, przytrzymując się krawędzi stopnia.

Lekko porusza palcem w górę i w dół, zatrzymując się na wysokości pierścienia zaciśniętych mięśni. Automatycznie tężeję, a on ucisza mnie i przesuwa palce ku mojej ociekającej wilgocią łechtaczce. Napieram na niego, lecz na próżno, bo cofa rękę i łapie mnie za biodra. Zbliża się powoli, a ja tracę dech, gdy jego twarda męskość wsuwa się we mnie. Z sykiem zaciskam dłonie jeszcze mocniej, aż do granicy bólu. Kwilę, odczuwając mieszankę niewyobrażalnej rozkoszy i lekkiego bólu, który rozgwieżdża mrok. Miller pulsuje we mnie, a każdy wewnętrzny mięsień, jaki mam, przejmuje panowanie nade mną. Jestem niewolnicą doznań. Jestem niewolnicą Millera Harta.

– Porusz się! – żądam, dźwigając głowę i wbijając wzrok w sufit. – Porusz się!

Zza pleców słyszę gwałtowny wdech, jego palce zaciskają się na moich biodrach.

– Robisz się wymagająca, co? – Nie rusza się, a ja próbuję natrzeć na niego, lecz na próżno, bo wciąż trzyma mnie w żelaznym uścisku. – Chcę się tobą delektować, Olivio. Zrobimy to po mojemu.

– Kurwa – szepczę ochryple, usiłując odnaleźć w sobie spokój i opanowanie. Przetrzymuje mnie na ziemi niczyjej, bezradną i niezdolną do wytworzenia tarcia, którego potrzebuje moje ciało. – Zawsze powtarzasz, że nigdy nie zmusisz mnie, żebym zrobiła coś, czego nie chcę.

– Hę?

Gdybym nie była tak skoncentrowana na własnym rozpaczliwym położeniu, wyśmiałabym jego zmieszanie.

– Nie chcesz, żebym cię wielbił? – pyta.

– Nie, nie chcę trwać w takim zawieszeniu! – Nie jestem w stanie zdobyć się na spokój. Dałam już za wygraną. – Miller, błagam, po prostu zrób mi dobrze.

– O cholera, Olivio! – Wycofuje się boleśnie wolno i zastyga, tkwiąc we mnie samym koniuszkiem. Jest nieruchomy, ale dyszy równie mocno jak ja, i wiem, że też z trudem panuje nad sobą. – Poproś mnie.

Zgrzytam zębami i rzucam się do tyłu, krzycząc z satysfakcją, gdy wchodzi we mnie głęboko i mocno.

– Kurwa, Olivio! – Wysuwa się, a ja jęczę błagalnie. – Nie słyszę cię.

Czuję się pokonana, mój skołatany umysł rozpaczliwie szuka prostych słów, które spełnią jego żądanie.

– Błagaj! – Jego krzyk szokuje mnie, nieudolnie próbuję jeszcze raz wypchnąć biodra do tyłu. Ale jestem w pułapce, bezradna w jego uścisku, gdy tkwi nieruchomo za mną, wysoki i potężny, czekając, aż spełnię jego surowe żądanie. – Prosiłem już dwa razy – mówi, oddychając z trudem. – Posłuchaj mnie Olivio.

– Proszę!

– Głośniej!

– Proszę! – wołam, a potem krzyczę, gdy wyrzuca biodra naprzód, mocniej niż się spodziewałam. Usiłuję zacisnąć wokół niego wszystkie wewnętrzne mięśnie, aby wytworzyć tarcie, gdy będzie się wycofywał. Prostuję ręce, żeby nie stracić równowagi, i w tej samej chwili znów wbija się głęboko, a mój podbródek opada bezwładnie na pierś.

– Patrzę, jak mój kutas zanurza się w tobie, słodka dziewczyno.

Zgrywamy się idealnie, a mnie ogarnia totalny błogostan. Po kilku kolejnych pchnięciach ustalamy równe tempo, nasze ciała dopasowują się do siebie bez żadnego wysiłku. Miller zawzięcie stęka i mamrocze niezrozumiale, utrzymując ten miarowy rytm. Jestem pod wrażeniem jego opanowania, jednak pamiętam, że nie zawsze przychodzi mu to z taką łatwością. Unoszę głowę, spoglądam przez ramię i widzę wszystkie jego urzekające cechy – rozchylone, wilgotne wargi, zaciśniętą, pokrytą cieniem zarostu szczękę. A kiedy odrywa wzrok od swojego członka, który wsuwa się we mnie i wysuwa, obrazu dopełniają jego lśniące błękitne oczy.

– Zawsze walczysz? – pytam zdyszana, gdy naciera. Kręci leniwie głową, wiedząc, co mam na myśli, i wbija się głęboko.

– Nie z tobą.

Nie mam już dłużej siły trzymać głowy odwróconej w jego stronę. Opieram się kolanem o stopień, bo nogi trzęsą mi się jak galareta. Jego pchnięcia nie ustają ani na chwilę. Rozkosz jest bezgraniczna. Ręce uginają się pode mną, dotykam czołem schodka. A potem czuję na plecach żar jego torsu, gdy przygniata mnie do schodów. Tkwimy spleceni ze sobą, dopóki Miller nie położy się wzdłuż mnie, doprowadzając mnie do szaleństwa. Całuje delikatnie moje barki.

– Możemy? – pyta w chwili, w której wyrzucam rękę do przodu i chwytam się balustrady schodów.

– Tak.

Zwiększa tempo, ale wciąż panuje nad sobą. Zaciskam powieki i jak za wciśnięciem guzika mój orgazm zaczyna nabierać rozpędu. Nie dam rady go powstrzymać, zwłaszcza gdy Miller zatapia mi zęby w ramieniu i niespodziewanie rzuca się do przodu.

– Miller! – Temperatura mojego ciała rośnie z każdą sekundą, moja skóra zaczyna

płonąć.

– Już, Livy. – Znów naciera, przenosząc mnie do królestwa niewyobrażalnej rozkoszy. – Wykrzycz moje imię, cudowna dziewczyno.

– Miller!

– Cholera, to brzmi świetnie. – Zadaje kolejne mocne, acz kontrolowane pchnięcie. – Jeszcze raz!

Wszystko wokół mnie rozmazuje się – obrazy, dźwięki.

– Miller! – Docieram na szczyt i wybucham, przed oczyma stają mi gwiazdy, a całym moim ciałem targają cudowne fale rozkoszy. – O Boże! – sapię. – O Boże, o Boże, o Boże!

– Zgadzam się – dyszy Miller, napierając na mnie leniwie. – Zgadzam się, kurwa.

Zmieniam się w bezużyteczną masę drgających części ciała. Uwięziona pod nim, delektuję się pulsowaniem jego członka, gdy dochodzi. Knykcie zbielały mi i zdrętwiały od trzymania się balustrady, dyszę i sapię, ociekam potem. Jestem doskonała.

– Olivio Taylor, wydaje mi się, że jestem od ciebie uzależniony. – Przesuwa zębami po moim barku, na zmianę całuje lekko i kąsa, po czym łapie mnie za włosy i ciągnie, zmuszając do uniesienia głowy. – Chcę cię skosztować. – Pozwalam mu na wszystko, gdy tak leżymy wyciągnięci na schodach. Jest mi tak błogo, że prawie nie czuję szorstkości dywanu na mojej nagiej skórze. Wciąga moją dolną wargę do ust i zaciska lekko zęby, a potem obsypuje całusami mój policzek.

Moje znużone mięśnie protestują, usiłując go przytrzymać, gdy wysuwa się ze mnie. Pomaga mi się odwrócić i usiąść na schodach, a sam klęka przede mną. Koncentracja malująca się na jego twarzy, gdy w milczeniu układa mi włosy na ramionach, skupia całą moją uwagę. Korzysta z okazji, żeby nawinąć na palec kilka kosmyków. Łowi moje spojrzenie.

– Czy jesteś prawdziwa, słodka dziewczyno?

Z uśmiechem wyciągam rękę i ściskam jego sutek, ale nie krzywi się ani nie wydaje z siebie żadnego odgłosu. Odwzajemnia mój uśmiech i nachyla się, żeby pocałować mnie czule w czoło.

– Chodź. Idziemy na kanapę. – Pomaga mi wstać i sprowadza mnie ze schodów, trzymając mi dłoń na karku.

– Oglądałeś kiedykolwiek telewizję? – pytam, gdy układa się na kanapie. Nie potrafię sobie wyobrazić Millera oglądającego telewizję, tak samo jak nie potrafię sobie wyobrazić, jak robi większość zwykłych rzeczy. Odchyla się na oparcie i daje mi znak, żebym dołączyła do niego, więc przytulam się do jego piersi, wtulam mu twarz w szyję i moszczę się między jego rozchylonymi udami.

– Chciałabyś pooglądać telewizję? – chce wiedzieć, unosząc moją dłoń do ust.

Nie przejmując się tym, że nie odpowiedział na moje pytanie, sięgam wolną ręką po pilota. Ekran ożywa, a ja uśmiecham się promiennie na widok Dela i Rodneya

Trotterów.

– Musiałeś oglądać *Only Fools and Horses*. To skarb narodowy!

– Niestety nie.

– Naprawdę? – pytam ze zdumieniem, odwracając się w jego stronę. – Po prostu to obejrzyj. Nie pożałujesz.

– Jak chcesz – zgadza się cicho, zaczynając masować mi kark cudownymi, okrężnymi ruchami. – Co tylko zechcesz.

Oglądam sam obraz, nie słuchając przekomarzań bohaterów. Zastanawiam się, co by było, gdyby Miller mówił poważnie. „Co tylko zechcę". Sporządzam w myślach listę rzeczy, których bym sobie życzyła, i uśmiecham się, gdy czuję, jak trzęsie się od hamowanego śmiechu. Mojego wytwornego dżentelmena na niepełny etat bawią żarty na ekranie telewizora. Zwyczajność tej sytuacji napełnia mnie satysfakcją, choć to przecież nic wielkiego.

A potem magia chwili pryska, zmącona dzwonkiem telefonu Millera. Kilka ruchów i już nie ma go pode mną, co każe mi znienawidzić jego telefon.

– Przepraszam – mamrocze, wychodząc nago z pokoju. Patrzę, jak znika, uśmiechając się na widok jego pośladków, napinających się przy długich krokach, a potem zwijam się na boku i podnoszę z podłogi wełniany pled.

– Mam ją – prawie warczy, wracając do pokoju. Przewracam oczami. Jest jeszcze tylko jeden mężczyzna, który może pytać, gdzie jestem, i nie mam najmniejszej ochoty widzieć się z nim ani znosić jego niezadowolenia z powodu mojej dzisiejszej ucieczki. Życzyłabym sobie, żeby mój oszukańczy dżentelmen nie wyrażał się o mnie ciągle jak o swojej własności ani tym bardziej zbrodniarce. Spoglądam na koniec sofy, gdy przysiada na jej brzegu. Całe zadowolenie, jakie odczuwałam jeszcze przed chwilą, gdzieś uleciało. – Byłem zajęty – syczy, a potem zerka na mnie. – To wszystko?

Moja niechęć rośnie, lecz teraz kieruję ją wyłącznie ku osobie Williama Andersona. Mam wrażenie, że uczynił sensem swojego życia uprzykrzenie mi mojego życia najbardziej jak tylko się da. Mam ochotę wyrwać telefon Millerowi i poczęstować jego rozmówcę soczystą wiązanką.

– Jest ze mną, jest bezpieczna, a ja mam dość tłumaczenia się, Anderson. Zobaczymy się jutro. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. – Rzuca telefon na sofę, zjeżony i wzburzony.

– Kto to był? – pytam i uśmiecham się, gdy Miller robi wielkie oczy.

– Serio, Olivio?

– Och, rozchmurz się – szepczę, spuszczając nogi z sofy. – Jestem gotowa do spania. Idziesz?

– Mógłbym cię związać.

Odsuwam się nieznacznie, broniąc się przed natłokiem obrazów, które podsuwa mi pamięć. Pasy.

Miller krzywi się, widząc na mojej twarzy niekłamane przerażenie.

– Żebyś nie kopnęła mnie w jajka – wyjaśnia szybko. – Straszliwie się wiercisz w łóżku. – Wstając, przeczesuje włosy ze skrępowaniem.

Rozbawienie odpędza przykre wspomnienia. Wiem, że strasznie się wiercę przez sen. Dowodem jest moja pościel rano.

– Trafiłam cię w klejnoty koronne?

Marszczy brwi.

– W co?

– Klejnoty koronne. – Uśmiecham się. – Jajka.

Wyciąga do mnie rękę, ale nie spuszczam wzroku z jego rozdrażnionej twarzy, rozkoszując się myślą, że ze wszystkich sił stara się nie podsycać mojego wybuchowego temperamentu.

– Wiele razy. Łokciem w żebra, kolanem w jajka, ale to niewielka cena za możność trzymania cię w ramionach.

Łapię go za rękę i pozwalam, żeby podniósł mnie z kanapy.

– Przepraszam. – Wcale nie jest mi przykro. Dałabym wszystko, żeby być muchą na ścianie i móc obserwować moje nocne harce i Millera starającego się nad nimi zapanować.

– Już ci wybaczyłem i jutro rano znów ci wybaczę.

Chichoczę pod nosem, ale milknę raptownie, gdy gwałtowne pukanie do drzwi przerywa nasze przekomarzania.

– Kto to? – pytam, spoglądając w okno. Jestem bliska wybuchu, wystarczy jedna iskra. Jeśli William pofatygował się osobiście, żeby dać wyraz swojemu niezadowoleniu, nie ręczę za siebie.

Miller wychodzi, zabierając ze sobą wełniany pled, a ja zostaję w salonie sama i goła jak święty turecki. Nie spodobał mi się bijący od niego niepokój. Nic a nic. Skradam się na palcach do drzwi i wyglądam na korytarz. Widzę, że owinął się pledem w pasie, ale trudno to nazwać przyzwoitym strojem. Więc gdy otwiera drzwi i bez słowa wychodzi na dwór, nie przejmując się tym, że jest na wpół nagi, mój umysł zaczyna działać na przyspieszonych obrotach. A potem, zanim drzwi się za nim zamkną, udaje mi się dojrzeć lśniące hebanowe włosy.

Wpadam w szał.

– Bezczelna zdzira! – wołam zduszonym głosem i rzucam się w pościg za Millerem, ale staję jak wryta, gdy przypomina mi się, że jestem naga. Cholera! Odwracam się, pędzę do salonu, odnajduję swoje ciuchy i wciągam je szybko. Pędzę na łeb na szyję ku przyczynie swej wściekłości i szarpnięciem otwieram drzwi, natrafiając na nagie plecy Millera, ale jestem zbyt rozjuszona, żeby je podziwiać. Odpycham go na bok i wwiercam się wściekłym wzrokiem w idealną postać Cassie, gotowa wyzwać ją od najgorszych.

Tylko że dziś nie wygląda idealnie, a szok wywołany jej opłakanym stanem każe

mi się pohamować. Ma ziemistą, prawie szarą twarz, zniknęły też gdzieś designerskie ciuchy, które zwykle nosi. Ma na sobie czarne dresowe spodnie i brudnoszary golf. Odrywa podkrążone oczy od Millera i spogląda na mnie. Choć przechodzi osobisty kryzys, najwyraźniej wciąż żywi wobec mnie wyłącznie pogardę.

– Miło cię widzieć, Olivio. – W jej głosie nie ma ani krztyny szczerości.

Jak na dany znak dłoń Millera odnajduje mój kark i podejmuje daremną próbę ugłaskania mnie. Zrzucam ją i prostuję plecy.

– Co tu robisz?

– Livy, wejdź do środka. – Znów łapie mnie za kark i próbuje obrócić. Może o tym zapomnieć.

– Zadałam jej pytanie.

– A dobre wychowanie wymaga, żeby na nie odpowiedzieć, czy tak? – odparowuje Cassie zadowolonym z siebie tonem.

Przed oczyma robi mi się czerwono. A więc Miller nie używa tego wyrażenia tylko w rozmowie ze mną? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, gdy ta szalona suka cisnęła mi je w twarz, nie jestem w stanie skupić się na niczym innym. Miller brzmi jak arogancki fiut, kiedy to mówi, ale i tak czuję się zdradzona. Niepotrzebnie, to głupie. Przed oczyma staje mi Cassie uwieszona na Millerze, a potem przypomina się tamta scena w gabinecie Millera, gdy rzuciła się na niego z pazurami, wrzeszcząc jak opętana.

– Cassie – mówi ostrzegawczo Miller, wciąż próbując odciągnąć mnie z miejsca potencjalnej awantury.

– Tak, tak – prycha ona, teatralnie wywracając oczami.

– Przestaniesz wreszcie? – warczę na Millera, zrzucając jego dłoń z karku. – Po tym, co ci zrobiła ostatnim razem, naprawdę oczekujesz, że wrócę do środka?

– A co on zrobił mnie?! – woła Cassie. – Siniaki dopiero co zeszły!

– Więc nie powinnaś się zachowywać jak zwierzę – syczę jej w twarz, robiąc krok naprzód, w pełni świadoma, że nie ona jedna się tak zachowuje. Drugie zwierzę właśnie zaczyna się jeżyć obok mnie.

– Do kurwy nędzy – jęczy Miller, przyciągając mnie do siebie. – Cassie, mówiłem ci już, że zajmiemy się tym jutro.

– Chcę się tym zająć teraz.

– Czym? – pytam, coraz bardziej poirytowana. – I skąd u diabła wiesz, gdzie mieszkam? – Podnoszę wzrok na Millera. – Powiedziałeś jej?

– Nie. – Zgrzyta zębami, w jego niebieskich oczach dostrzegam rozdrażnienie. – Nikt nie wie, że tu jestem.

Wyciągam rękę w stronę Cassie.

– Ona wie!

– Olivio! – krzyczy Miller, przyciągając mnie z powrotem do siebie. Nawet nie

zauważyłam, że idę w jej stronę. Jezu, czuję się tak, jak gdyby diabeł zawładnął moim ciałem i duszą. Mogłabym zrobić komuś krzywdę.

– Co ona tu robi?! – wrzeszczę, tracąc panowanie nad sobą. Wreszcie dociera do mnie cały koszmar dzisiejszego gównianego dnia, a właściwie ostatnich kilku miesięcy. Zaraz wyrzucę to wszystko z siebie, a Cassie się oberwie.

– Przyszłam przeprosić – mówi z urazą w głosie.

– Co takiego?

– Umawialiśmy się na jutro – wtrąca Miller, celując palcem w jej twarz i nie przestając mnie trzymać. – Mówiłem ci, żebyś zaczekała do jutra. Dlaczego do diabła nie możesz choć raz, kurwa, zrobić, o co proszę?

– Jest ci przykro? – pytam.

Wbija we mnie niezadowolone spojrzenie, a potem spogląda na Millera.

– Tak.

– Za co? – naciskam.

– Za sposób, w jaki cię potraktowałam. – Obraca się powoli w moją stronę. Wciąż ani śladu szczerości. Jest tutaj, żeby nie stracić Millera. Nie może znieść faktu, że zostawia ją samą, że opuszcza ich mroczny świat, aby odnaleźć światło.

– Teraz on należy do mnie. – Odrywam rękę Millera od mojego ramienia i robię krok naprzód. – Ciałem i duszą. – Ignoruję ukłucie niepokoju, wywołane wyraźnym powątpiewaniem ze strony Cassie. Jestem światłem Millera, ale w tej samej chwili dociera do mnie, że on jest czymś w rodzaju mojej ciemności. Ale to nieistotne. Nie ma jego ani mnie, jesteśmy tylko my. – Rozumiesz? – Cassie wpatruje się we mnie, a Miller milczy za moimi plecami, pozwalając mi postawić na swoim.

– Rozumiem.

Wytrzymuję jej spojrzenie całe wieki, nie chcąc być tą, która się wycofała. Nie mrugam. W końcu to Cassie spuszcza wzrok w niemej kapitulacji, a ja odwracam się na pięcie i zostawiam ich oboje na progu.

Jestem już prawie u szczytu schodów, gdy słyszę, że drzwi frontowe się zamykają.

– Olivio. – Łagodny ton jego głosu szarpie mnie za serce, obracam się, przytrzymując się balustrady. – Ona też musi się wycofać. Nie zostawię jej samej. Od początku trzymaliśmy się w tym świecie razem i razem go opuścimy.

– Ona chce się wycofać?

– Tak – zapewnia, ruszając ku mnie. – Nie mogę patrzeć, jak się smucisz.

Kręcę głową.

– Niemożliwe.

– Zamknąłem drzwi. Zostaliśmy sami.

– Ale świat pozostał na zewnątrz, Miller – mówię cicho. – A my musimy otworzyć drzwi i stawić mu czoło. – Uciekam, zostawiając go w rozterce.

Potrzebuje tego, co lubi, równie mocno jak ja, i jestem na siebie wściekła, że pozbawiam tego nas oboje.

Rozdział 11

Miller nie pozbawił nas tego, co lubimy. Po kilku minutach położył się obok mnie na łóżku i przysunął bliżej. Chciałam go odepchnąć, odpłacić mu przykrością za przykrość – nawet jeśli sprawił mi ją tylko pośrednio. Ale nie odsunęłam się od emanującego rozkosznym ciepłem ciała, bo potrzebowałam ukojenia, i to przeważyło nad chęcią ukarania Millera.

Miller przez całą noc nie wypuszczał mnie z objęć, znacząco ograniczając mi możliwość wiercenia się; rano obudziliśmy się dokładnie w tej samej pozycji, w której zasnęliśmy. Leżeliśmy bez słowa wpatrzeni we wschód słońca. Wiedziałam, że Miller nie śpi, bo odgarnął mi włosy i przylgnął wargami do mojego karku. Potem zaś przesunął dłoń na moje udo i znalazł mnie w gotowości na chwilę uwielbienia. Wziął mnie od tyłu, na łyżeczkę, ale nawet wtedy żadne z nas się nie odezwało, słychać było tylko nasze przyspieszone oddechy. Było cicho. I spokojnie. Doszliśmy w tym samym momencie do wtóru urywanych oddechów.

Przyciągając mnie do siebie z całych sił, Miller zacisnął zęby na moim ramieniu i poruszył się we mnie, potem puścił, przewrócił na plecy i nakrył mnie swoim ciałem. Dalej się nie odzywał, podobnie jak ja. Odgarnął mi włosy z twarzy. Na całą wieczność utkwiliśmy w sobie namiętne spojrzenia. Mam wrażenie, że żadne słowa nie wyraziłyby tego, co Miller powiedział mi tym jednym spojrzeniem. Nawet nieuchwytne „kocham” nie wyraziłoby tego, co zobaczyłam w jego oczach.

Patrzyłam jak urzeczona.

Miller roztoczył nade mną swój urok.

Przemawiał do mnie.

Musnął delikatnie moje wargi, odsunął się i poszedł pod prysznic, ja natomiast opatuliłam się kołdrą i popadłam w zadumę. Na pożegnanie Miller złożył czuły pocałunek na mojej głowie i pogładził mnie kciukiem po dolnej wardze. Wziął ze stolika nocnego mój telefon, majstrował przy nim przez chwilę, a potem włożył mi go do ręki i przed wyjściem ucałował każdą z moich powiek. O nic nie spytałam. Zaczekałam, aż pójdzie, i dopiero wtedy spojrzałam na komórkę. Na wyświetlaczu była otworzona strona z YouTube i piosenką Jasmine Thompson. Włączyłam ją i słuchałam w skupieniu śpiewanej specjalnie dla mnie *Ain't Nobody*. Leżałam jeszcze długo po tym, jak nagranie dobiegło końca i w pokoju znów zapadła cisza. W końcu postanowiłam wstać. Wzięłam prysznic i przez całe rano sprzątałam w domu, odtwarzając w kółko piosenkę.

Potem pojechałam zobaczyć się z babcią. Nie protestowałam, gdy przed domem

zastałam Teda. Nie marudziłam, gdy przez cały dzień nie opuszczał mnie ani na krok. Nie naskoczyłam na Williama, gdy zobaczyłam, że po moim przyjeździe wychodzi ze szpitala. Nie odgryzłam się, gdy Gregory znów objechał mnie za to, że wplątałam go w swoje zbrodnie. I nie zignorowałam żadnego esemesa od Millera. Ale poczułam się zawiedziona, gdy do babci zajrzał lekarz i powiedział, że zostanie wypisana dopiero jutro. Chodziło podobno o to, żeby mogła dostać do domu odpowiednie leki. Babcia oczywiście się wściekła, ale nie chcąc samej narażać się na jej gniew, siedziałam cicho.

Teraz jestem już w domu, jest po dziewiątej. Siedzę przy stole w kuchni i tęsknię za znajomym zapachem obfitego, zapychającego posiłku. Z salonu, w którym zakwaterował się Ted, dobiega mnie cichy pomruk telewizora. Co chwilę odzywa się też komórka, którą Ted odbiera szybko, mówiąc coś przyciszonym głosem – pewnie zapewnia Williama lub Millera, że jestem w domu i nic mi nie jest. Robię mu herbatę za herbatą i rozmawiam z nim o wszystkim i o niczym. Poruszyłam nawet nieśmiało temat mojej matki, ale niczego się nie dowiedziałam, Ted spojrzał na mnie tylko z ukosa i zauważył, że jestem do niej podobna. Nie powiedział nic nowego.

Dzwoni mój telefon. Zerkam na stół, na którym go położyłam, i unoszę ze zdziwienia brwi, widząc na wyświetlaczu imię Sylvie.

– Cześć – odpowiadam z nadzieją, że dobrze zamaskowałam uczucie beznadziei.

– Cześć! – dyszy Sylvie. – Właśnie biegnę na metro, ale chciałam do ciebie jak najszybciej zadzwonić.

– Dlaczego?

– W bistro była jakaś kobieta. Pytała o ciebie.

– Kto to był?

– Nie wiem. Jak tylko Del poprosił, żeby się przedstawiła, szybko się ulotniła.

W nagłym popłochu prostuję się na siedzeniu.

– Jak wyglądała?

– Blondynka, bardzo ładna, świetnie ubrana.

Zaczyna mi walić serce, zrównując się tempem z szaleńczo goniącymi myślami.

– Koło czterdziestki?

– Między trzydziestką a czterdziestką. A co, znasz ją?

– Znam. – Odnajduję dłonią czoło i opieram się łokciem o stół. Sophia.

– Okropny babsztyl – rzuca pogardliwie Sylvie, a ja z rozdrażnieniem przyznaję jej rację. Po jaką cholerę mnie szuka?

– Co jej powiedziałaś?

– Nic specjalnego, tylko tyle, że nie pracujesz już w bistro. Co to za kobieta?

Wzdycham głęboko i opadam na krzesło. Słowa Sylvie przypominają mi, że jestem bez pracy, i sprawiają mi dziwną przykrość.

– A taka jedna. Nikt ważny.

Mimo wysiłku Sylvie parska śmiechem – urażonym i niedowierzającym.

– Akurat – odpowiada. – W każdym razie uznałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Jestem już na stacji, więc zaraz stracę zasięg. Wpadnij w przyszłym tygodniu. Fajnie będzie cię zobaczyć.

– Wpadnę – zgadzam się, choć w moim głosie nie słychać entuzjazmu. Może to głupie, ale nie chcę patrzeć, jak moja następczyni sprawnie obsługuje ekspres do kawy i serwuje specjalność zakładu: tosty z tuńczykiem.

– Uważaj na siebie, Livy – mówi łagodnie Sylvie i rozłącza się, zanim zdążę ją zapewnić, że taki mam zamiar. Moja odpowiedź wypadłaby pewnie tak samo przekonująco jak zapewnienie, że zajrzę do bistro.

Chcę zadzwonić do Millera, ale zastygam, bo na wyświetlaczu pojawia się nieznany numer. Wpatruję się w aparat przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, skąd we mnie to głębokie uczucie niepokoju, które zakazuje mi odbierać.

Oczywiście ignoruję je i odbieram.

– Halo? – W moim głosie słychać niepewność i zdenerwowanie. Tak zresztą się czuję, ale nie chcę, żeby osoba po drugiej stronie słuchawki, kimkolwiek jest, o tym wiedziała, kiedy więc nie otrzymuję żadnej odpowiedzi, powtarzam jeszcze raz, tym razem chrząkając i starając się nadać swojemu głosowi większą pewność. – Halo? – Nic nie słychać, żadnej odpowiedzi, żadnych odgłosów. Nabieram powietrza, aby znów się odezwać, ale wyłapuję znajomy dźwięk i wstrzymuję oddech. Docierają do mnie słowa. Znajomy głos z obcym akcentem, ochrypły i przyciszony.

– Miller, kochany, przecież wiesz, co do ciebie czuję.

Niewiele brakuje, żebym zakrztusiła się powietrzem, bo gwałtownie je połykam.

– Wiem, Sophio – odpowiada łagodnie i ze spokojem Miller. Zbiera mi się na wymioty.

– To dlaczego mnie unikasz? – pyta Sophia z równą delikatnością. Wyobraźnia szybko podsuwa mi obraz tego, co się dzieje po drugiej stronie słuchawki. Nie podoba mi się to, co mi podpowiada.

– Musiałem zrobić sobie przerwę.

– Ode mnie?

Podnoszę się z krzesła i czekam na odpowiedź Millera na stojąco. Słyszę jego westchnienie. I brzęk szkła. Miller nalewa sobie drinka.

– Od wszystkiego.

– Że od innych kobiet, to rozumiem. Ale nie uciekaj ode mnie, Miller. Jestem inna, tak?

– Tak – przyznaje bez wahania. Nawet najmniejszego. Zaczynam się trząść, serce mi wali, a w głowie mam taki mętlik, że aż kręci mi się w głowie.

– Tęskniłam za tobą.

– A ja za tobą, Sophio.

Gardło zalewa mi żółć, a wokół szyi zaciska się niewidzialna dłoń i zaczyna mnie dusić. Rozłączam się, bo nie chcę nic więcej słyszeć. Ogarnia mnie taka wściekłość,

że mam trudności z oddychaniem. Ale jednocześnie z pełnym spokojem zaglądam do salonu. Ubrany w garnitur Ted stoi pod oknem w zrelaksowanej pozie, której praktycznie nie zmienił od naszego przyjścia do domu.

– Pójdę sobie zrobić kąpiel – mówię do jego pleców. Ted ogląda się na mnie przez ramię i uśmiecha się ciepło.

– Dobrze ci to zrobi – odpowiada i odwraca się znów do okna.

Zostawiam go na straży i idę na górę się ubrać. Staram się myśleć logicznie, staram się przypomnieć to, co Miller mówił Sophii, co Sophia mówiła mnie, co Miller mówił o Sophii. Wszystko zniknęło i zostawiło w mojej głowie ogromną pustkę, którą zapełniam innymi myślami – żadna z nich nie jest przyjemna. Wiedziałam, że Sophia jest inna, że nie można jej ufać. Zakładam obcisłe dżinsy i satynową bluzeczkę. Zostawiam trampki i wybieram zamiast tego czarne szpilki. Rozburzam lekko palcami włosy, żeby układały się w ładne fale, a na koniec pudruję twarz. Biorę torebkę, schodzę cicho po schodach i czekam na dogodny moment, żeby niezauważenie wymknąć się z domu. Sposobność nadarza się wraz z dzwonkiem telefonu Teda. Ted odwraca się od okna i zaczyna chodzić po pokoju, rozmawiając z kimś przyciszonym głosem. Wychodzę cichutko z domu i ruszam bez pośpiechu. Czuję przepełniającą mnie wściekłość. Tylko dlaczego w takim razie jestem taka opanowana?

Wejścia do Ice pilnują ochroniarze wyposażeni w listę gości – mam kłopot. Z chwilą, gdy jeden z nich odnotuje moje przyjście, szefostwo Ice zostanie powiadomione o mojej obecności i natychmiast będę miała na głowie Tony’ego. Nie jest mi to do niczego potrzebne. Opieram się o mur i rozważam swoje ograniczone możliwości… Nie znajduję żadnego rozwiązania. Nie jestem aż tak naiwna, by sądzić, że ochrona mnie nie rozpozna, więc o ile nie wymyślę sobie dobrego przebrania, nie wejdę do klubu bez wszczynania alarmu.

Od chwili rozłączenia telefonu przepełniała mnie chęć działania. Przeszkoda pozbawiła mnie jednak rozpędu i dopuściła do głosu rozsądek. Zastanawiam się przez chwilę nad możliwymi konsekwencjami tego, co zamierzam zrobić, i zaczynam zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się narażam. Z namysłu wyrywa mnie zamieszanie po przeciwnej stronie ulicy. Przed wejściem do klubu złożona z czterech mężczyzn i towarzyszących im kobiet grupka na coś się wścieka, a ochroniarze próbują uspokoić wzburzonych ludzi. Ich zabiegi najwyraźniej jednak nie skutkują. Widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli, porzucam moje miejsce pod murem. Jedna z kobiet podchodzi do ochroniarza i zaczyna wykrzykiwać mu coś w twarz. Mężczyzna unosi ręce w geście sugerującym, że powinna się uspokoić. Jego wysiłki przynoszą efekt odwrotny do zamierzonego, bo doskakują do niego wszyscy czterej mężczyźni. Wybałuszam oczy na widok awantury. Rozróba na całego. Szybko do mnie dociera, że to być może jedyna

okazja, aby niepostrzeżenie wślizgnąć się do środka.

Przebiegam przez ulicę, starając się trzymać jak najbliżej zabudowań. Wchodzę niezauważona do klubu. Wiem dokładnie, gdzie się kierować. Idę równym, miarowym krokiem, a im bliżej jestem gabinetu Millera, tym bardziej czuję, jak powraca wcześniejszy spokój i poczucie celowości. Nagle jednak staję przed kolejną przeszkodą, co trochę mnie podłamuje. Zapomniałam, że aby wejść do gabinetu, trzeba wpisać kod. W ogóle sobie tego nie przemyślałam.

I co teraz? Stracę element zaskoczenia, jeśli będę musiała zapukać, poza tym zanim dotrę do drzwi, Miller zobaczy mnie w kamerze.

– Idiotka – mruczę. – Cholerna idiotka. – Biorę głęboki wdech, poprawiam bluzkę i z przymkniętymi oczami zbieram przez chwilę myśli. Czuję się w miarę spokojna, choć w dalszym ciągu przepełnia mnie wściekłość. Destrukcyjna wściekłość. Na razie ją tłumię, ale na widok Millera może się to zmienić.

Nie zdążyłam nawet jeszcze nakazać moim nogom, by mnie zaniosły pod drzwi, a już stoję pod okiem kamery i pukam z opanowaniem energicznym ruchem dłoni. Tak jak przewidywałam, Miller otwiera i patrzy na mnie rozszerzonymi z niepokoju oczami, w następnej jednak chwili robi znów niewzruszoną minę. Niechętnie zauważam, że wygląda świetnie. Ale jego usta zaciskają się mocno, oczy patrzą ostrzegawczo, a pierś unosi się szybko.

Wychodzi z biura i zamyka za sobą drzwi, przeczesując palcami włosy.

– Gdzie Ted?

– W domu.

Wyraźnie rozjuszony, wyciąga gwałtownym ruchem telefon i szybko wybiera numer.

– Przyślij, do cholery, swojego kierowcę – rzuca do słuchawki, po czym naciska znów kilka przycisków i jeszcze raz przykłada telefon do ucha. – Tony, nie będę nawet pytać, jakim, kurwa, cudem, nie zauważyłeś Olivii. – Mówi szeptem, ale jego przyciszony głos nadal brzmi władczo. – Masz ją stąd odebrać i przypilnować do przyjazdu Teda. Nie spuszczaj jej z oczu. – Wkłada telefon do kieszeni i piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie powinnaś była tu przychodzić. Sytuacja jest bardzo delikatna.

– Co jest delikatne? – pytam. – Ja? Czy to ja jestem tą delikatną rzeczą, z którą musisz się obchodzić jak z jajkiem?

Miller przysuwa się do mnie i pochyla lekko, aby nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie.

– O czym ty mówisz?

– Uważasz, że jestem słaba i krucha.

– Uważam, że zostałaś postawiona w sytuacji, gdy musisz zmierzyć się z czymś, co cię przerasta, Olivio – mówi bez ogródek cichym głosem. – A ja nie mam pojęcia, co zrobić, żeby wszystko było dla ciebie mniej bolesne.

Patrzymy sobie w oczy długą chwilę. Kiedy Miller się prostuje, podnoszę wzrok, aby nie przerwać połączenia. Cierpienie w jego oczach mnie dobija.

– Czy ty chcesz, żebym przez ciebie osiwiał? – szepcze Miller, ale nie podchodzi bliżej, żeby mnie ukoić. Potrzebuję go, więc przysuwam się, ale on cofa się i kręci ostrzegawczo głową. Szybko łączę ze sobą fakty i zerkam na zamontowaną nad drzwiami kamerę. Ona na nas patrzy.

– Po co tu przyszła? – pytam spokojnym, stanowczym głosem.

– Kto? – Twarz Millera wyraża ostrożność i poczucie winy. – Nikogo tu nie ma.

– Nie kłam. – Czuję ciężar w piersi, bo ze złości trudno mi się oddycha. – Jak bardzo za nią tęskniłeś?

– Że co? – Miller znów ogląda się przez ramię, a ja wykorzystuję jego chwilową dekoncentrację i przepycham się obok niego. – Olivio!

Wchodzę do jego gabinetu z mniejszym wdziękiem, niż zamierzałam, ale po krótkiej chwili jestem znów opanowana. Odgarniam włosy na plecy i wsuwam torebkę pod pachę. Uśmiecham się, kierując wzrok tam, gdzie spodziewałam się ją zastać. Nie pomyliłam się. Sophia siedzi rozparta na fotelu Millera, z nogą założoną na nogę, ubrana w kremowy trencz, z długim, cienkim papierosem w ręku. Dobija mnie to, że mam rację. Sophia uśmiecha się z wyższością i przygląda się mi z zainteresowaniem. Dopiero teraz zaczynam się zastanawiać, skąd wzięła mój numer. Ale to nieważne. Chciała wyciągnąć mnie z kryjówki i jej się udało. Wpadłam prosto w jej ręce.

– Sophia. – Zależy mi na tym, żebym to ja pierwsza przerwała nabrzmiałą napięciem ciszę. Staram się też zachować spokój. – Widzę, że dziś mnie ubiegłaś. – W chwili, gdy kończę to mówić, zauważam dwie rzeczy: lekkie zdziwienie Sophii wyrażone rozchylonymi ustami i szybko rosnący niepokój Millera, który porusza się niespokojnie za moimi plecami. – Napiję się tylko czegoś przed wyjściem. – Stukając szpilkami, podchodzę do barku i nalewam sobie czystą wódkę.

– Słodka dziewczyno, nie jestem głupia. – Pogardliwy ton Sophie odbiera mi pewność siebie.

Zamykam oczy i staram się uspokoić drżące ręce, a mając pewność, że opanowałam drżenie, podnoszę kieliszek i odwracam się do mojej widowni. Oboje przyglądają się mi uważnie – Sophia z namysłem, a Miller nerwowo. Podnoszę powoli do ust wysoki kieliszek.

– Chyba nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. – Wypijam jednym haustem zawartość kieliszka, łapię oddech i znów sobie nalewam.

W powietrzu wisi namacalne wręcz napięcie. Zerkam na Millera, odnotowując niejasno krytykę na jego twarzy. Wychylam drugi kieliszek wódki i odstawiam go z hukiem na barek, od czego Miller aż się wzdryga. Chcę, żeby poczuł to co ja. Chcę go zranić i pokazać mu, że wcale nie jest taki odporny. Tylko na tym mi zależy.

– Chodzi mi o to – zaczyna pewnym siebie głosem Sophia, patrząc na mnie z

lekkim uśmieszkiem na czerwonych ustach – że jesteś w nim zakochana i wydaje ci się, że możesz go mieć. Ale nie możesz.

Nie kwestionuję słuszności jej rozumowania.

– Bo ty go chcesz dla siebie.

– Bo ja go mam.

Miller nie zaprzecza ani nie wyprowadza jej z błędu, a kiedy się do niego odwracam, widzę, że nie ma nawet takiego zamiaru. Nie potrafię myśleć na tyle logicznie, aby uznać, że robi to nie bez powodu, nalewam więc sobie jeszcze wódki i podchodzę do niego. Stoi bez ruchu pod drzwiami z rękami w kieszeniach, ewidentnie rozzłoszczony. Patrzy na mnie z tym wyzutym z wszelkich emocji pięknem, które zachwyciło mnie na samym początku. Jest to piękno absolutne. Miller uruchomił swoje mechanizmy obronne. Zatrzymuję się przed jego wysoką, nieruchomą postacią i podnoszę głowę, zauważając delikatne drżenie pokrytej ciemnym zarostem brody.

– Życzę szczęścia w twojej ciemności.

– Ani się waż mnie porzucać, Olivio. – Jego usta ledwie się poruszają, prawie nie da się zrozumieć, co mówi, ale w jego słowach słychać przestrogę… którą całkowicie ignoruję.

– Do zobaczenia gdzieś kiedyś. – Zatrzaskuję za sobą drzwi i przemierzam pośpiesznie plątaninę korytarzy. Odnajduję schody i pokonując po dwa stopnie naraz, wypijam trzeci kieliszek wódki. Chcę jak najszybciej dotrzeć do baru i utrzymać wywołane alkoholem odrętwienie.

– Livy?

Podnoszę głowę i zauważam na szczycie schodów Tony’ego i Cassie, którzy patrzą na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Nie mam im nic do powiedzenia, więc wymijam ich i skręcam do głównej części klubu.

– Livy! – woła Tony. – Gdzie Miller?

Odwracam się i widzę zmartwienie malujące się na obu twarzach. Wiem, co jest jego przyczyną.

– Z Sophią. – Tony klnie, a Cassie wygląda na autentycznie zaniepokojoną, ale szkoda mi czasu na roztrząsanie powodu ich niepokoju. Czuję ogromną potrzebę, aby zaznaczyć, co moje, ale jednocześnie chcę zranić Millera po rozmowie, którą podsłuchałam przez telefon, i po tym, jak Sophia z taką pewnością siebie oznajmiła, że Miller należy do niej. Wiem, że nie należy, i on też to wie, ale brak reakcji z jego strony i fakt, że powiedział Sophii, iż za nią tęskni, doprowadzają mnie do szału.

Ogłuszona dźwiękami *Prituri Se Planinata* NiT GriT przeciskam się przez tłum do baru, stawiam z impetem na kontuar pusty kieliszek i kładę dwudziestodolarowy banknot.

– Wódka z tonikiem – żądam. – I tequila. – Szybko dostaję zamówione drinki, podobnie jak resztę. Bez zwłoki wypijam tequilę, a zaraz potem wódkę. Alkohol

spływa mi palącym strumieniem do żołądka, aż przymykam oczy i łapię się za gardło. To mnie jednak nie zniechęca.

– Jeszcze raz to samo! – wołam, gdy barman kończy obsługiwać stojącego obok faceta. Z każdym kolejnym łykiem alkoholu czuję coraz większą obojętność – drętwieje mi umysł, ciało, serce. Rozpacz szybko znika. Podoba mi się to. Nabieram swoistego dystansu.

Opieram się o bar i rozglądam po klubie. Z drinkiem przy ustach przyglądam się bez pośpiechu ludziom i zastanawiam się, czy to, że wcale nie spieszy mi się do tego, aby zniknąć w tłumie i sprawić, że mój dżentelmen na niepełny etat zacznie odchodzić od zmysłów, to skutek działania mojej podświadomości, która podpowiada mi, aby nie postępować pochopnie, tylko przestać pić, wytrzeźwieć i zastanowić się nad tym, co i dlaczego się dzieje.

Być może.

Prawdopodobnie.

Bez wątpienia.

Co prawda niewiele mi brakuje do zamroczenia alkoholowego, ale wciąż mam świadomość owego uśpionego genu bezmyślności, dzięki któremu postanowiłam dobrowolnie odnaleźć klientów mojej matki i zniżyć się do niedopuszczalnego dla mnie poziomu. Z narastającym niepokojem zaczynam rozglądać się po klubie: z mniejszym luzem, a większą paniką. Zauważam Millera, który idzie w moją stronę.

Cholera. Jakakolwiek nadzieja, że w tych okolicznościach Miller nie będzie się starał mnie powstrzymać, niniejszym prysła. Miller ma mord w oczach, a jego wściekłość skupia się w całości na mnie.

Podchodzi do mnie z zaciśniętymi ustami i mrocznym wzrokiem i wyjmuje mi z ręki kieliszek.

– Zabraniam obsługiwać tej dziewczyny, zrozumiano? – warczy do barmana ponad moim ramieniem, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Tak – dobiega mnie z tyłu nieśmiała odpowiedź.

– Zabieraj się stąd – mówi cicho Miller. Z trudem nad sobą panuje. Szybkie spojrzenie nad jego ramieniem potwierdza, że Sophia stoi po drugiej stronie sali i rozmawia z jakimś mężczyzną, jej wzrok jest jednak skierowany w naszą stronę. Przypatruje się nam z uwagą.

Moje ramiona prostują się samoistnie. Sięgam po odstawionego z tyłu drinka.

– Nie – odpowiadam szeptem i upijam łyk.

– Nie będę się powtarzać.

– Ja też nie.

Miller chce znów zabrać mi kieliszek, ale odsuwam się i próbuję go wyminąć, i uciec. Nie udaje mi się jednak oddalić zbyt daleko, bo Miller łapie mnie za ramię i zatrzymuje.

– Puszczaj.

– Nie rób scen, Olivio – nalega, wyrywając mi kieliszek z dłoni. – Nie możesz zostać w klubie.

– Dlaczego? – pytam. Nie jestem w stanie przeciwstawić się Millerowi, który popycha mnie naprzód. – Bo przeszkadzam ci w interesach? – Miller przytrzymuje mnie w miejscu i okręca przodem do siebie.

Przysuwa twarz tak blisko, że z daleka musi to wyglądać tak, jakby mnie całował.

– Nie. Dlatego że masz brzydki nawyk i kiedy jesteś na mnie zła, pozwalasz innym facetom na za dużo. – Jego wzrok zsuwa się na moje usta i widzę, że Miller ma wielką ochotę do nich przylgnąć, że ma wielką ochotę mnie pocałować. Jego gorący oddech na mojej twarzy wypala częściowo moją wściekłość, rozniecając innego rodzaju żar. Miller odsuwa się jednak i przybiera normalny wyraz twarzy. – A ja bez zastanowienia ich wtedy rozszarpię – szepcze.

– Jestem na ciebie wściekła.

– A ja na ciebie.

– Powiedziałeś, że za nią tęskniłeś. Słyszałam to, Miller.

– Jakim cudem? – Nawet nie próbuje zaprzeczać.

– Bo wybrała mój numer.

Miller zaczyna oddychać głęboko. Widzę to i słyszę. Łapie mnie, okręca i popycha do przodu.

– Zaufaj mi – rzuca. – Musisz mi zaufać.

Prowadzi mnie przez tłum, ja natomiast rozpaczliwie próbuję uczepić się zaufania, jakie do niego mam. Czuję, że moje nogi są niestabilne, a myśli tym bardziej. Ludzie przyglądają się nam i odsuwają na boki, zerkając na nas z zaciekawieniem. Nie przyglądam się ich twarzom, ale w pewnym momencie mój wzrok dostrzega znajome rysy.

Wpatruję się w twarz mijanego mężczyzny i odwracam powoli głowę, aby nie stracić go z pola widzenia. Znam go, a sądząc po jego minie, on też mnie zna. Uśmiecha się i zachodzi nam drogę. Miller nie ma wyjścia, musi się zatrzymać.

– Nie ma chyba potrzeby wyprowadzać tej pani – odzywa się, unosząc kieliszek w stronę Millera. – Jeśli jest za bardzo wstawiona, chętnie się nią zaopiekuję.

– Zejdź mi z drogi – odpowiada Miller wściekłym głosem.

Facet wzrusza lekko ramionami, zupełnie nieurażony, a może zwyczajnie nieprzejęty groźbą pobrzmiewającą w głosie Millera.

– Zaoszczędziłbym panu kłopotu. Nie musiałby jej pan wyrzucać.

Odrywam wzrok od jego zdeterminowanego spojrzenia i zastanawiam się intensywnie. Skąd go znam? Nagle wzdrygam się i odsuwam, bo czuję czyjeś palce na moich włosach. Zimny dreszcz na karku mówi mi, że to nie Miller rozkoszuje się dotykiem moich rozburzonych jasnych włosów, tylko nieznajomy.

– Dokładnie takie same jak przed laty – stwierdza tęsknym głosem. – Zapłaciłbym za samo to, żeby móc je znów powąchać. Nigdy nie zapomniałem tych włosów.

Jesteś dalej w branży?

Z płuc uchodzi mi całe powietrze, bo uświadamiam sobie, kim jest ten mężczyzna.

– Nie – odpowiadam cicho i robię krok w tył, wpadając na Millera.

Czuję żar bijący od jego ciała i wstrząsające nim dreszcze – znak, że obudził się psychotyczny Miller. Jednak koncentracja potrzebna do tego, by w pełni zdać sobie sprawę ze związanego z tym niebezpieczeństwa, ginie pod naporem niepowstrzymanych wspomnień – wspomnień, które udało mi się wypchnąć poza granice świadomości. Teraz jednak wracają. Ten człowiek je obudził, przez niego wróciły z pełną siłą. Mam ochotę złapać się za głowę, wykrzywić twarz i krzyczeć ze złości. Nie pozbędę się jednak obrazów z przeszłości. Napierają na mnie i każą mi powrócić myślami do wszystkich dawnych schadzek, które zamknęłam na tak długo w najgłębszych, najmroczniejszych zakamarkach swojego umysłu. Teraz jednak zostały uwolnione i nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Wspomnienia krążą w moim umyśle, wyświetlają się z bolesną wyrazistością pod powiekami.

– Przestań! – wołam cicho. Unoszę ręce i strącam dłoń nieznajomego ze swoich włosów.

Czuję, że moje ciało wiotczeje pod wpływem szoku i stresu. Mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa, ale mimo to nie przewracam się na podłogę, a to dlatego, że podtrzymuje mnie zaciśnięta w żelaznym uścisku ręka na moim ramieniu. Odgradzam się od tego, co mnie otacza: wszystko spowija ciemność, bo zaciskam mocno powieki, panuje absolutna cisza, bo odcinam umysł od rzeczywistości. Mam jednak pełną świadomość, że tuż obok mnie tyka prawdziwa bomba.

Nagle Miller odsuwa się ode mnie, a ja, pozbawiona podpory, upadam na ziemię. Uderzam mocno dłońmi o twardą podłogę, czując bolesny wstrząs na całej długości rąk. Moje włosy rozsypują się wokół mnie. Widok złocistych pukli spływających z kolan wywołuje falę mdłości; ponieważ nic więcej nie widzę, odchylam głowę i czuję, że odbiera mi oddech na przeraźliwy widok Millera w napadzie psychozy. Wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie – pięść Millera z obrzydliwą wyrazistością trafia raz za razem w twarz mężczyzny. Miller jest w amoku, okłada swoją ofiarę, wydając przy tym z siebie wrzaski wściekłości. W klubie przestała grać muzyka. Ludzie krzyczą, ale nikt nie ma odwagi interweniować.

Nie przestając szlochać, krzywię się co chwilę, widząc, jak Miller zasypuje ciosami twarz i ciało mężczyzny. Dokoła bryzga krew. Biedak nie ma siły walczyć. Nie ma nawet szansy się bronić. Jest zupełnie bezradny.

– Zrób coś! – wołam, dostrzegając z boku Tony’ego, który patrzy na rozgrywającą się scenę z przerażeniem w oczach. – Błagam, zrób coś. – Zdeterminowana, podnoszę się z wysiłkiem z podłogi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie próbował interweniować. Z bólem przyjmuję do wiadomości ten fakt, kiedy zaś przyczyna furii Millera pada bezwładnie na podłogę, a Miller nadal się nie uspokaja, tylko zaczyna kopać mężczyznę w brzuch, w końcu się poddaję i stwierdzam, że

muszę stąd zniknąć.

Nie jestem w stanie na to dłużej patrzeć.

Uciekam.

Ze szlochem przeciskam się przez tłum. Twarz mam zapuchniętą od płaczu, choć raczej nikt nie zwraca na to uwagi. Wszyscy są nadal skupieni na jatce za moimi plecami – obrzydliwe dupki nie są w stanie oderwać wzroku od makabrycznej sceny. Zataczając się i potykając, porażona i oszołomiona, odnajduję w końcu wyjście. Wychodzę przed klub i wstrząsana niekontrolowanym płaczem rozglądam się rozpaczliwie za taksówką, która mogłaby mnie stąd zabrać. Nie dane mi jest jednak uciec, bo ktoś łapie mnie od tyłu. To nie Miller, tyle wiem na pewno. Nie czuję w ciele podniecenia ani fajerwerków.

– Wracaj do środka, Livy. – Do moich uszu dociera zatroskany głos Tony'ego. Ruszam posłusznie, bo wiem, że nie uda mi się mu wyrwać.

– Proszę cię, Tony – zaczynam błagalnie. – Pozwól mi odjechać.

– Nie ma takiej możliwości. – Tony prowadzi mnie schodami w dół do labiryntu korytarzy pod klubem. Nic z tego nie rozumiem. Tony mnie nienawidzi. Dlaczego miałby chcieć, żebym została, skoro Miller musi się skoncentrować na tym świecie? Na świecie aż nadto wyraźnym.

– Chcę jechać do domu.

– Nigdzie nie pojedziesz, dziewczyno.

Tony wlecze mnie za sobą plątaniną korytarzy.

– Czemu?

Drzwi do gabinetu Millera są otwarte i zostaję wepchnięta do środka. Odwracam się do Tony'ego i widzę jego masywne ciało. Tony oddycha ciężko i zaciska mocno zęby. Unosi palec i celuje nim w moją twarz, od czego lekko się wzdrygam.

– Masz tu zostać, bo kiedy ten furiat zatłucze już tamtego faceta, zacznie pytać o ciebie. Będzie cię chciał zobaczyć! A ja nie mam zamiaru ryzykować drugiej rundy, gdy cię nie znajdzie, Livy! Masz się stąd, kurwa, nie ruszać! – Tony wychodzi i zatrzaskuje za sobą drzwi, zostawiając mnie na środku gabinetu Millera z wytrzeszczonymi oczami i walącym sercem.

Z góry wciąż nie dobiega muzyka. Jestem sama, zupełnie niepotrzebna w trzewiach Ice. Towarzystwa dotrzymuje mi tylko głucha cisza i gabinet Millera.

– Aaaaaaaaa! – wrzeszczę, z opóźnieniem reagując na strategię Tony'ego. Zaczynam szarpać swoje zdradzieckie włosy, jakbym mogła wyrwać z głowy wydarzenia z ostatniej półgodziny. – Nienawidzę cię! – Zaciskam powieki z bólu, który sama sobie zadaję, do oczu znów napływają mi łzy. Nie wiem, jak długo walczę bezsensownie ze sobą, mam wrażenie, że mijają całe lata świetlne i że dopiero wyczerpanie fizyczne i obolała skóra głowy każą mi przestać. Jęcząc, kręcę się w kółko, z totalnym mętlikiem w głowie, który nie dopuszcza do mnie żadnej racjonalnej, mogącej mnie uspokoić myśli. Dopiero widok barku w gabinecie Millera

każe mi przestać kręcić się bez celu w kółko.

Alkohol.

Podbiegam do szafki i wyciągam niezdarnie przypadkową butelkę spomiędzy innych, łkając i dławiąc się z nadmiaru emocji. Odkręcam zakrętkę i przykładam flaszkę do ust. Alkohol pali w gardle i w cudowny sposób usuwa powód moich zmartwień, odbierając mi dech i wykrzywiając usta nieprzyjemnym doznaniem i intensywnym smakiem.

Biorę więc kolejny łyk.

Wypijam zawartość butelki do dna i w amoku ciskam nią z wściekłością na oślep. Mój wzrok pada na rzędy pozostałych butelek. Wyciągam znów jedną na chybił trafił i piję. Odwracam się i idę chwiejnym krokiem do łazienki. Wpadam na ścianę, na drzwi, na framugę i zatrzymuję się dopiero na toaletce, wbijając wzrok w żałosną kobietę w lustrze. Zaczerwienione policzki są zalane czarnymi od tuszu łzami, błędny wzrok jest zaszklony, a wokół bladej twarzy układają się potargane fale ciężkich, jasnych włosów.

Widzę własną matkę.

Patrzę na swoje odbicie z pogardą, jak na największego wroga, jak na coś najbardziej znienawidzonego na świecie.

Bo w tej chwili… tak właśnie jest.

Przykładam butelkę do ust i wlewam w siebie kolejną dawkę alkoholu, wpatrując się sobie w oczy. Potem wciągam głęboko powietrze w płuca i idę chwiejnie do biurka Millera. Otwieram szuflady i zaczynam grzebać w starannie poukładanych rzeczach, burząc idealny porządek, póki nie znajduję tego, czego szukam. Przyglądam się lśniącemu metalowemu przedmiotowi, zaciskając dłoń na uchwycie i pociągając co jakiś czas z namysłem z butelki.

Wpatruję się w swoje znalezisko przez całą wieczność, ale w końcu wstaję, zataczam się z powrotem do łazienki i kładę z impetem butelkę na toaletce. Patrzę na swoją pozbawioną emocji twarz i przykładam dłoń do głowy. Chwytam grubą garść włosów, rozchylam nożyczki i zaciskam je na swoich puklach. W dłoni pozostaje mi garść jasnych, obszarpanych włosów, połowa poprzedniej długości. Dziwne, ale mam wrażenie, że jestem już mniej zdenerwowana. Łapię więc następną garść i ją też ucinam.

– Olivio!

Moja zamroczona alkoholem głowa przekręca się na bok. W drzwiach łazienki stoi Miller. Wygląda strasznie. Jego ciemne faliste włosy są potargane, twarz i kołnierzyk zachlapane krwią, garnitur podarty i mokry. Miller oddycha ciężko, ale nie wiem, czy z wysiłku, czy z powodu szoku wywołanego tym, co zastał w środku. Patrzę na niego z kamienną twarzą i dopiero teraz, widząc przerażenie na jego zwykle niewzruszonym obliczu, przypominam sobie, że wielokrotnie mnie ostrzegał, abym nigdy nie obcinała włosów.

Przykładam więc nożyczki do następnej garści włosów i zaczynam je z zapamiętaniem obcinać.

– Olivio, przestań, do cholery! – Miller dopada mnie z prędkością błyskawicy i próbuje mnie obezwładnić.

– Nie! – wrzeszczę, wykręcając się i ściskając mocno w rękach nożyczki. – Zostaw mnie! Mam ich dość! – Uderzam Millera łokciem między żebra.

– Cholera jasna! – krzyczy Miller. Zaciska z bólu zęby, ale mimo to nie ustępuje. – Oddaj mi te cholerne nożyczki!

– Nie! – rzucam się naprzód, nagle wolna, i okręcam się gwałtownie w tym samym momencie, w którym doskakuje do mnie Miller. Instynktownie wyrzucam ręce w górę, przyjmując pozycję obronną. Wysokie, szczupłe ciało Millera wpada na mnie, a siła odrzutu cofa mnie o kilka kroków.

– Kurwa mać! – ryczy Miller. Otwieram oczy i widzę, że klęczy przede mną. Odsuwam się jeszcze trochę i widzę, że przyciska dłoń do ramienia. Wytrzeszczam oczy na trzymane w ręce nożyczki i widzę, że ścieka z nich gęsta, czerwona ciecz. Wydaję z siebie głuchy okrzyk i w jednej chwili rozluźniam zaciśniętą dłoń, upuszczając nożyczki pod nogi. Zaraz potem też osuwam się na kolana. Krzywiąc się, Miller ściąga marynarkę, spod której moim oczom ukazuje się przesiąknięta krwią biała koszula.

Pohamowuję strach, wyrzuty sumienia, poczucie winy. Miller rozpina szarpnięciem kamizelkę, a zaraz potem koszulę – guziki lecą na wszystkie strony.

– Cholera – klnie, oglądając ranę: moje dzieło. Chcę mu jakoś pomóc, ale ciało i umysł odmawiają mi posłuszeństwa. Nie jestem nawet w stanie przeprosić. Z moich ust wydobywa się tylko histeryczny płacz: trzęsą mi się ramiona, a oczy są tak pełne łez, że z trudem widzę Millera. To, że jestem pijana, nie ułatwia mi sprawy. Ale to dobrze. Ranny, zakrwawiony Miller to naprawdę przykry widok. Świadomość, że to ja zadałam mu ból, jest trudna do zniesienia.

Z tą myślą wlokę się na czworakach do toalety i wymiotuję. Długo to trwa. Z dłońmi na ustępie, targana bolesnymi skurczami żołądka, wciąż czuję silne palenie alkoholu w ustach. Czuję się makabrycznie – słabe, nieszczęsne stworzenie. Jestem beznadziejna i żyję w beznadziei. W okrutnym świecie. Z którym sobie nie radzę.

– Jezu Chryste – mruczy Miller gdzieś z tyłu, ale za bardzo mi wstyd, żeby się do niego odwrócić i skonfrontować się z tym, co zrobiłam.

Opieram czoło o deskę sedesową, bo torsje w końcu ustały. Głowa pulsuje bólem, a złamane serce krwawi.

– Mam prośbę. – Zaskakująco spokojny głos Millera załamuje mnie jeszcze bardziej i sprawia, że do oczu znów napływają mi łzy. Moja głowa nadal spoczywa na desce klozetowej, głównie dlatego, że nie mam siły jej podnieść, ale też dlatego, że wciąż za bardzo się boję spojrzeć Millerowi w oczy.

– Olivio, dobre wychowanie nakazuje spojrzeć na mnie, gdy do ciebie mówię.

Kręcę głową i dalej chowam twarz, wstydząc się za siebie.

– Do jasnej cholery – klnie cicho Miller, zaraz potem czuję na karku jego dłoń. Nie próbuje mnie jednak łagodnie nakłonić do podniesienia głowy, tylko podciąga ją do góry, nie siląc się nawet na delikatność. Ale to mi nie przeszkadza. I tak nic nie czuję. Miller obejmuje moją twarz i przyciąga ją do siebie, ale ja spuszczam oczy i patrzę na kawałek gołej, zakrwawionej skóry wystającej spod rozpiętej koszuli i kamizelki. – Nie odbieraj mi widoku swojej twarzy, Olivio. – Miller odwraca moją głowę tak, że w końcu muszę podnieść wzrok. Jego ostre rysy są wystarczająco blisko, by skupić na nich spojrzenie. Usta Millera zaciskają się, niebieskie, błyszczące oczy patrzą błędnie, a dołeczki w policzkach pulsują. – Mam prośbę – syczy Miller. – A ty ją spełnisz, do cholery.

Z moich ust wydobywa się cichy szloch, a całe moje ciało zapada się, ale ponieważ Miller przytrzymuje moją głowę, pozostaję wyprostowana. Mam wrażenie, że mija cała wieczność, zanim znów się odzywa:

– Nigdy nie przestaniesz mnie kochać, Olivio Taylor. Zrozumiałaś?

Kiwam unieruchomioną w jego dłoniach głową, a Miller przygląda się mojej wymęczonej twarzy i przysuwa się bliżej, opierając się czołem o moje czoło.

– Powiedz to – szepcze. – Szybko.

– Nie przestanę – szlocham.

Czuję, że Miller kiwa głową, zsuwa ręce na moje plecy i przyciąga mnie do siebie.

– Daj mi to, co lubię. – W jego żądaniu nie ma czułości, ale jedyne, czego potrzebuję, to spokój; spływa na mnie w tej samej chwili, w której czuję przy sobie jego ciepłe ciało. Nasze ciała wtulają się w siebie i lgną do siebie tak, jakby od tego zależały losy świata.

Bo zależą.

Coś, co wcześniej było tylko lekkim spękaniem na powierzchni życia, zmieniło się w ziejącą wyrwę. Nie jesteśmy dłużej w stanie ukrywać się przed okrutną rzeczywistością, z którą musimy się zmierzyć. Kajdany. Ucieczka. Skraj rozpaczy, gdy stawiamy czoło naszym demonom. Mam tylko nadzieję, że przeskoczymy przepaść i nie wpadniemy w otchłań.

Miller uspokaja mnie, czując, jak trzęsę się w jego ramionach, jednak jego silne objęcia w najmniejszym nawet stopniu nie niwelują drżenia.

– Nie bądź smutna – prosi, a w jego głosie słychać wreszcie łagodniejszą nutę. – Błagam, nie bądź smutna. – Odrywa wczepione w plecy moje dłonie i przytrzymuje je między nami, przyglądając się mojej zapłakanej twarzy, podczas gdy ja pociągam nosem i trzęsę się spazmatycznie.

– Tak bardzo cię przepraszam – mamroczę niewyraźnie, wbijając wzrok w kolana, żeby nie patrzeć w jego piękną twarz. – Masz rację. To mnie przerasta.

– Ale nie jesteś już sama, Olivio. – Miller bierze mnie pod brodę i unosi delikatnie moją twarz, każąc mi spojrzeć w swoje stanowcze oczy. – Jesteśmy razem i razem

sobie z tym poradzimy.

– Mam wrażenie, że wiem bardzo dużo, a jednocześnie bardzo mało – przyznaję złamanym, zachrypniętym głosem. Miller podzielił się ze mną tak wieloma rzeczami – niektóre wyznał mi z własnej woli, inne pod przymusem – ale nadal pozostaje wiele niewiadomych.

Mój idealny dżentelmen na niepełny etat wzdycha ze znużeniem i mruga powoli oczami. Podnosi moje dłonie do swoich ust i składa na każdej z nich pocałunek.

– Jestem cały twój, Olivio Taylor. Proszę cię o litość za każde zło, które wyrządziłem, i za to, które jeszcze wyrządzę. – Jego oczy wpatrują się we mnie błagalnie. Wybaczyłam mu wszystko, o czym wiem, i wybaczę mu wszystko, o czym nie wiem. Zło, które jeszcze wyrządzi? – Tylko z twoją miłością uda mi się przejść przez to piekło.

Moja dolna warga zaczyna się trząść i czuję narastający ucisk w gardle.

– Pomogę ci – obiecuję. Poruszam dłonią, żeby mnie puścił. Odrobinę nieskoordynowanym ruchem wyciągam rękę i odnajduję jego szorstki policzek. – Ufam ci.

Miller przełyka zauważalnie ślinę i kiwa lekko głową. Na jego wzruszonej twarzy i w wymownych oczach pojawia się powoli wyraz determinacji, sprowadzając znów do gabinetu mojego chłodnego, tajemniczego dżentelmena.

– Musimy cię stąd wyprowadzić. – Miller podnosi się płynnym ruchem z podłogi i pomaga mi wstać. Na skutek gwałtownej zmiany pozycji do głowy napływa mi krew i zataczam się lekko. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam, chwiejąc się.

– Masz rację – stwierdza rzeczowo Miller, jakbym od razu powinna się zorientować, o czym mówi. Nie mogę nawet zmarszczyć z konsternacją brwi, bo skupiam się wyłącznie na tym, aby nie runąć twarzą na podłogę. – Alkohol źle ci robi. – Miller kładzie mi rękę na karku, łapie mnie za rękę i prowadzi na stojącą w gabinecie kanapę. Nogi mam jak z waty. – Siadaj – nakazuje i pomaga mi usiąść. Klęka przede mną i kręcąc głową, dotyka moich zniszczonych włosów. Z wyraźnym bólem na swojej przystojnej twarzy wsuwa palce w to, co z nich zostało. – Wciąż piękna – mruczy.

Próbuję się uśmiechnąć, ale przychodzi mi to z trudem, bo wiem, że Miller jest zdruzgotany. Odwracam się od niego, słysząc, że otwierają się drzwi gabinetu. Staje w nich Tony i przez dłuższą chwilę ocenia sytuację. Wygląda, jakby miał zaraz wybuchnąć. Miller wstaje powoli i odwraca się, wsuwając ręce do kieszeni. Obaj mężczyźni patrzą na siebie. Tony ocenia w milczeniu stan swojego szefa, a następnie mój. Pod jego czujnym spojrzeniem czuję się mała i głupia. Próbując jakoś ukryć skutki swojego załamania, odgarniam włosy z twarzy i za pomocą gumki, którą mam na nadgarstku, związuję je w bezładny kok.

– Jak wygląda sytuacja? – pyta Miller, kładąc sobie rękę na zranionym ramieniu i

wzdrygając się lekko.

– Sytuacja? – prycha sarkastycznie Tony. – Raczej jeden wielki chaos, synu! – Zatrzaskuje drzwi i podchodzi do barku. Nalewa sobie szkocką i wypija jednym haustem. – Mam na górze na wpół żywego faceta i tłum ludzi zastanawiających się, co się, do cholery, stało!

– Da się jakoś załagodzić sytuację? – pyta Miller i też wychyla kieliszek whisky.

Tony znów parska.

– Masz może wehikuł czasu? Cholera jasna, Miller, co ci, kurwa, odbiło?

– Straciłem głowę – rzuca Miller, a ja kulę się na kanapie, jakby główny powód całego zamieszania mógł pozostać niezauważony, jeśli odpowiednio się skurczę. Zestresowane spojrzenie, które Tony rzuca w moim kierunku, mówi mi jednak, że moja taktyka nie skutkuje. Przez moją irracjonalną chęć zranienia Millera w klubie doszło do jatki, Sophia natomiast utwierdziła się w swoich podejrzeniach co do prawdziwej natury łączącej mnie z Millerem relacji.

– Najwyraźniej. Wiecznie to samo, synu – wzdycha Tony. – Nie rzucasz się jak wariat na faceta z powodu kobiety, która trochę się zabawiła! – Tony stara się pohamować irytację. Marszcząc brwi, wyciąga rękę i rozsuwa poły koszuli Millera. – Rana kłuta?

Miller odtrąca jego rękę i odstawia kieliszek. Ze zdumieniem widzę, że najpierw go przestawia, a dopiero potem poprawia koszulę.

– To nic takiego.

– Gość miał nóż?

– To nic takiego – powtarza powoli Miller, na co Tony przekrzywia pytająco głowę. – Sophia wyszła?

– Oj, ma cię w swoich szponach, chłopcze. Nie wolno ci kwestionować jej lojalności względem Charliego. To jego żona, do cholery!

Wybałuszam załzawione oczy. Żona Charliego? Ale jest zakochana w Millerze? Charlie ma w rękach klucz do kajdan Millera. Wie, że Sophia kocha się w Ulubieńcu? Nie sądziłam, że sytuacja może być jeszcze bardziej skomplikowana.

Tony próbuje się opanować: nalewa sobie jeszcze jednego drinka, opuszcza głowę i opiera się rękami o blat barku.

– Jesteśmy zdeprawowani, takie są fakty, chłopcze, i póki żyjemy, to się nie zmieni.

– Wcale nie musi tak być. – Miller odpowiada cichym głosem, jakby sam nie był do końca pewny tego, co mówi. Na tę myśl robi mi się niedobrze.

– Obudź się, synu! – Tony odstawia pusty kieliszek i łapie Millera za ramiona. Miller krzywi się, ale Tony nawet tego nie zauważa. – W kółko przerabiamy to samo. Z tego świata nie ma ucieczki. Człowiek nie może z niego zrezygnować, gdy mu się odwidzi. Albo poświęcasz się temu na całe życie, albo nie masz życia!

Zaczynam się krztusić, gdy dociera do mnie sens wyjaśnień Tony’ego. Sophia

mówiła to samo, Miller to potwierdził, a Tony wzmocnił tylko przekaz.

– Tylko dlatego, że nie chce się dalej pieprzyć za pieniądze? – wtrącam się, bo nie jestem w stanie dłużej się powstrzymać.

Miller patrzy na mnie i czekam, aż każe mi się uciszyć, ale z zaskoczeniem widzę, że odwraca się do Tony'ego tak, jakby też czekał na odpowiedź na moje pytanie.

Związek z Millerem Hartem oznacza dla niego koniec.

To nie takie proste, nie wystarczy po prostu odejść.

Konsekwencje będą opłakane.

Łańcuchy. Klucze. Zobowiązanie na całe życie.

Próbuję właśnie zmusić swoje ciało do podniesienia się z miejsca, bo chcę wydać się silna i zrównoważona, kiedy nagle drzwi znów się otwierają i do środka wchodzi Sophia. Wystarczająco już ciężka atmosfera robi się jeszcze bardziej napięta. Opadam z powrotem na kanapę, podczas gdy Sophia rozgląda się po pokoju i mierzy wszystkie zgromadzone w nim osoby wzrokiem, paląc przy tym papierosa. Mój strach przybiera na sile, gdy w progu pojawia się dodatkowo Cassie, znów perfekcyjna, choć na jej twarzy malują się niepokój i ostrożność.

Sophia podchodzi wolnym krokiem do barku i wciska się między Millera i Tony'ego. Żaden z nich nie oponuje. Usuwają się, aby mogła nalać sobie drinka. Sophia nie spieszy się, całą swoją postawą i zachowaniem wyrażając poczucie wyższości, potem zaś odwraca się do Millera.

– Dość wybuchowa reakcja jak na kogoś, kto podobno tylko się z nią pieprzy. – Jej europejski akcent sprawia, że groźba w jej głosie brzmi niemal uwodzicielsko.

Przymykam na moment oczy, bo znów czuję szarpanie poczucia winy. Ależ ze mnie idiotka. Uchylam jedno oko i widzę, że Miller patrzy z kamienną twarzą na Sophię, jego ciało zupełnie znieruchomiało. Nie może mnie już dłużej ukrywać. Nie ma już czasu na zastanawianie się, jak najlepiej z tego wybrnąć.

Przez moją głupotę.

– Nie, ja tylko kocham się z tą kobietą. – Miller patrzy na mnie, paraliżując mnie niemal miłością malującą się w jego oczach. Mam ochotę paść mu w ramiona, stanąć u jego boku i razem stawić czoło Sophii, ale moje bezużyteczne mięśnie znów odmawiają mi posłuszeństwa. Gdy Miller odwraca się z powrotem do Sophii, jego oczy znów są zimne, a twarz bez wyrazu. – Ja tylko wielbię jej ciało.

Sophia jest ewidentnie zszokowana. Próbuje to ukryć, pijąc drinka, a następnie zaciągając się papierosem, ale nawet ze swojego miejsca widzę to bardzo wyraźnie.

– Pozwalasz jej się dotykać? – pyta.

– Tak.

Sophia zaczyna oddychać szybciej, a spod pierwotnego szoku zaczyna przebijać złość.

– Pozwalasz jej się całować?

– Tak. – Miller zaciska zęby i wykrzywia usta w pogardliwym grymasie. – Ta

kobieta może ze mną robić, co jej się żywnie podoba. A ja z przyjemnością się na to godzę. – Miller przysuwa się bliżej Sophii. – Nawet będę ją o to błagał.

Moje serce eksploduje radością, choć moment nie jest najwłaściwszy. Jeszcze bardziej kręci mi się od tego w głowie. Sophii odbiera mowę, więc zaczyna popijać nerwowo drinka, zaciągając się pomiędzy kolejnymi łykami papierosem. Przez słowa Millera wyraźnie straciła nad sobą panowanie. Ale przecież już wcześniej podejrzewała coś takiego, więc nie powinno to jej zaskoczyć. A może nie doceniała sytuacji? Może myślała, że to nic takiego?

Była w ogromnym błędzie.

Pozostając milczącym świadkiem rozgrywającej się sceny, zerkam na Tony'ego i widzę na jego twarzy absolutne przerażenie. Potem odwracam się do Cassie i widzę, że jest tak samo zszokowana jak Sophia.

– Nie będę mogła cię przed nim ochronić, Miller – oznajmia spokojnie Sophia, choć w jej głosie nadal pobrzmiewa irytacja. Jej słowa to ostrzeżenie.

– Nigdy tego od ciebie nie oczekiwałem, ale musisz wiedzieć jedno: nie możesz już mną rozporządzać. Wychodzimy – oświadcza Miller, odsuwając się od Sophii. Podchodzi do mnie szybkim, zdecydowanym krokiem, ale ja nie mam złudzeń, że uda mi się samodzielnie wstać. Cała się trzęsę. Miller podaje mi rękę, a ja patrzę mu w oczy i widzę w ich błękicie pewność i spokój. – Myślisz, że będą fajerwerki? – szepcze Miller. Jego usta poruszają się jak w zwolnionym tempie, a oczy błyszczą i wlewają we mnie siłę i nadzieję. Przyjmuję jego pomoc i nie odrywając od niego wzroku, pozwalam się podnieść z kanapy. Miller odgarnia mi delikatnie za ucho kilka kosmyków i wpatruje się w moją twarz. Nie spieszy się. Nie stara się jak najszybciej wyprowadzić nas z tego piekła. Cieszy się po prostu, widząc, że rozpływam się pod wpływem jego przenikliwego spojrzenia. Całuje mnie. Delikatnie. Powoli. Znacząco. To znak, deklaracja. A mnie nie pozostaje nic innego, jak ją przyjąć. – Wracajmy do domu, słodka dziewczyno. – Kładzie mi rękę na karku i prowadzi do drzwi. Świadomość, że niedługo już nas tu nie będzie, że zostawimy za sobą ten okrutny świat, sprawia, że powoli opuszcza mnie niepokój. Przynajmniej dziś możemy zamknąć za sobą drzwi. A mam nadzieję, że jutro nie nadejdzie i że nie będziemy musieli ich już nigdy otwierać.

– Jeszcze tego pożałujesz, Miller. – Spokojny głos Sophii zatrzymuje Millera w pół kroku, a mnie razem z nim.

– Żałuję wszystkiego, co do tej pory robiłem – oświadcza Miller spokojnym, wyraźnym głosem. – Livy jest jedyną dobrą rzeczą, która mnie spotkała, i nie mam, kurwa, zamiaru jej stracić. – Odwraca się powoli i ciągnie mnie za sobą. Sophia odzyskuje wcześniejszą pewność siebie, Tony dalej jest zamyślony, a kiedy spoglądam na Cassie, widzę, że patrzy na Millera ze łzami w oczach. Przyglądam się jej przez chwilę, a ona pewnie wyczuwa wwiercający się w nią wzrok, bo odwraca się do mnie.

Uśmiecha się.

Nie jest to złośliwy uśmieszek, właściwie ledwie da się go zauważyć. Z początku wygląda mi na smutny uśmiech wyrażający świadomość sytuacji, ale po kilku sekundach dociera do mnie, że Cassie uśmiecha się do mnie pokrzepiająco. Kiwa lekką głową, potwierdzając moje domysły. Wszystko rozumie.

Sophia wybucha nieprzyjemnym śmiechem, zwracając znów uwagę na swoją modnie odzianą postać.

– Mogłabym to zakończyć w jednej chwili, Miller. Dobrze o tym wiesz. Powiem mu, że zniknęła. Ona nic dla ciebie nie znaczy.

Czuję się głęboko urażona, ale Miller zachowuje spokój.

– Nie, dziękuję.

– Przejdzie ci.

– Nie przejdzie – odpowiada zimno Miller.

– Przejdzie – oponuje pewnym głosem Sophia, machając w moim kierunku lekceważąco ręką. Wbija we mnie pełen wyrzutu wzrok, pod wpływem którego kulę odrobinę ramiona. – Ty wiesz tylko jedno, Miller. Wiesz, jak sprawić, żeby kobieta krzyczała z rozkoszy, ale nie wiesz, co to znaczy darzyć kogoś uczuciem. – Sophia uśmiecha się złośliwie. – Jesteś Ulubieńcem. Potrafisz tylko się pieprzyć.

Krzywię się i mam ogromną pokusę wyprowadzić ją z błędu, ale narobiłam już dość kłopotów. Sophia stoi tu teraz z taką arogancją wyłącznie z mojej winy. Również z mojej winy Miller stoi obok mnie zakrwawiony.

Czuję, że Miller zaczyna się nakręcać.

– Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny. Wielbię Olivię. – Z wściekłości buzującej pod pozorami spokoju zaczyna mu drżeć głos.

Sophia krzywi się pogardliwie i podchodzi bliżej.

– Jesteś głupcem, Millerze Hart. On nigdy nie pozwoli ci odejść.

Miller nie wytrzymuje.

– Ja ją kocham! – ryczy, szokując wszystkie zebrane w pokoju osoby. – Kocham ją, do cholery! – Z moich oczu tryskają łzy. Przysuwam się do Millera, a on przyciąga mnie szybko do siebie i przytula. – Kocham ją. Kocham wszystko, co się z nią wiąże, i kocham to, jak bardzo czuję się przez nią kochany. Znacznie bardziej niż przez ciebie. Żadne z was nie jest w stanie mnie tak kochać! To czysta, jasna miłość. Dzięki niej zacząłem znów czuć. Zacząłem chcieć czegoś więcej. Jeśli ktokolwiek spróbuje mi ją odebrać, przysięgam, że go, kurwa, zabiję. – Przerywa na chwilę i bierze głęboki wdech. – Powoli – dodaje, cały się trzęsąc. Tuli mnie mocno do siebie, jakby się bał, że ktoś mógłby już teraz spróbować mu mnie odebrać. – Mam gdzieś, co on powie. Mam gdzieś, co jego zdaniem może mi zrobić. To on nie będzie mógł spokojnie w nocy spać, Sophio, a nie ja. Więc mu powiedz. Leć do niego i potwierdź to, co już wie. Nie chcę już pieprzyć się dla pieniędzy. Powiedz mu, że nie chcę już nabijać mu kasy. Nie będziesz mnie już więcej szantażować. Miller Hart

wychodzi z gry. Ulubieniec odchodzi! – Miller cofa się i wciąga znów głęboko powietrze w płuca, żeby się uspokoić. Wszyscy patrzą na niego zszokowani. Łącznie ze mną. – Kocham ją. Idź i powiedz mu, że ją kocham. Powiedz mu, że teraz należę do Olivii. I że jeśli przejdzie mu choćby przez myśl, żeby ją tknąć, to będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Wychodzimy. Nie mam nawet czasu ocenić tego, co za sobą zostawiamy, choć doskonale potrafię to sobie wyobrazić. Nie jestem nawet w stanie w pełni zrozumieć znaczenia wybuchowej deklaracji. Miller obejmuje mnie ramieniem, dając mi ciepło i poczucie bezpieczeństwa, ale nic nie zapewnia mi takiego poczucia bliskości jak jego charakterystyczny gest. Nie zwalniając kroku, wyswobadzam się z jego uścisku. Miller zerka na mnie zdezorientowany, ale ja tylko kładę sobie jego rękę na karku i obejmuję go mocno w pasie. Miller wzdycha ze zrozumieniem, odwraca głowę i idzie dalej.

W klubie znów gra muzyka – dobiega ze wszystkich głośników – ale klienci nie doszli jeszcze do siebie. Zbici w gromadki dyskutują o wcześniejszym zajściu z udziałem właściciela klubu. To mi podsuwa pewną myśl.

– Czy wszyscy ci ludzie wiedzą, kim jesteś? – pytam, czując, że po dojściu na szczyt schodów z każdego zakątka klubu kierują się na nas ciekawskie spojrzenia.

Miller nie odwraca się do mnie.

– Niektórzy – brzmi jego krótka odpowiedź, która pokazuje mi, że wie, o czym mówię, i że wcale nie chodzi mi o to, że jest właścicielem lokalu.

Na dworze owiewa mnie wieczorne powietrze i natychmiast zaczynam się trząść. Przytulam się mocniej do Millera i zauważam, że patrzy na nas jeden z ochroniarzy. Z jego twarzy znika nieprzyjemny wyraz. Mężczyzna przygląda się, jak Miller wyprowadza mnie z klubu i prowadzi na drugą stronę ulicy, gdzie zaparkował swojego mercedesa. Miller podprowadza mnie do drzwi od strony pasażera, ale ja oglądam się jeszcze i zauważam, że pod wejściem do klubu drugi ochroniarz pakuje do taksówki mężczyznę, którego Miller omal nie pobił na śmierć. Ogarnia mnie nagły strach.

– Ten człowiek potrzebuje pomocy – mówię. – Lekarze będą zadawać pytania.

Miller otwiera drzwi i popycha mnie lekko na siedzenie.

– Tego rodzaju ludzie wolą się trzymać z daleka od policji, Olivio. – Zapina mi pas. – Nie musisz się martwić. – Całuje mnie lekko w czubek głowy i zamyka drzwi, a potem wyciąga z kieszeni telefon i idąc na drugą stronę samochodu, wykonuje szybki telefon.

Tego rodzaju ludzie.

Ten świat.

Boleśnie prawdziwy.

A ja znalazłam się w samym jego centrum.

Rozdział 12

Alkohol i wyczerpanie w końcu zrobiły swoje. Kręci mi się w głowie, nogi mam jak z waty. Na korytarzu apartamentowca Miller bierze mnie na ręce i niesie do domu.

– Tu jest twoje miejsce – szepcze, przyciskając usta do mojej skroni.

Obejmuję go za szyję i opieram się głową o jego ramię. Zamykam oczy, poddając się zmęczeniu. Prosiłam wcześniej słabo, żeby zabrał mnie do domu babci, ale się nie zgodził. Nie dyskutowałam. Miller potrzebuje spokoju, a wiem, że łatwiej go odzyska, mając mnie przy sobie we własnym mieszkaniu.

Przynajmniej do czasu, gdy jutro rano otworzymy znów drzwi.

Witają nas czarne błyszczące drzwi. Miller otwiera je, a potem zatrzaskuje lekkim kopniakiem, odgradzając nas od świata. Nadal nie otwieram oczu i pozwalam nieść się dalej. Znajomy zapach mieszkania coraz bardziej mnie uspokaja. Nie jest to miły zapach domu babci, ale cieszę się, że jestem teraz z Millerem.

– Możesz stanąć? – pyta Miller, odwracając się do mnie. Kiwam głową, rozplatam ręce i pozwalam postawić się delikatnie na nogi. Miller zaczyna mnie powoli rozbierać, a ja wpatruję się jak urzeczona w jego skupioną twarz. Towarzyszą nam wszystkie standardowe nawyki – przed włożeniem ubrań do kosza na brudną bieliznę Miller składa je starannie, jego miękkie usta są delikatnie rozchylone, a oczy pełne emocji. Po zakończeniu wszystkich czynności Miller patrzy na mnie w niemym żądaniu, więc podchodzę bliżej i też zaczynam go powoli rozbierać. Składam nawet jego zakrwawiony garnitur i dopiero potem umieszczam go w koszu na pranie, choć powinien raczej trafić na śmietnik. Nie jestem jednak w stanie udawać, że nie zauważam rany i krwi, i skupiać się wyłącznie na podziwianiu urody Millera. Jego dłonie, pierś i broda są upstrzone czerwonymi plamami. Nie jestem pewna, jaka część krwi należy do Millera, a jaka do faceta, który powrócił tak nagle z mojej paskudnej przeszłości. Mężczyzna pojawił się w najgorszym możliwym momencie, choć nie sądzę, by Miller zareagował mniej gwałtownie, gdyby gość podszedł do nas kiedy indziej.

Wyciągam rękę i delikatnie dotykam miejsca wokół rany, próbując ocenić, czy wymaga interwencji lekarskiej.

– Nie boli – zapewnia cicho Miller, przechwytując moją dłoń i kładąc ją sobie na sercu. – To moje jedyne zmartwienie.

Uśmiecham się lekko, przysuwam bliżej i podciągając się na rękach, podskakuję i zaplatam mu nogi w pasie, wtulając się w niego.

– Wiem – mruczę z ustami przy jego szyi, rozkoszując się dotykiem jego

przydługich pukli łaskoczących mnie w nos i ostrego, krótkiego zarostu na policzku.

Silne ręce zsuwają się na moją pupę, a szczupłe nogi ruszają w stronę prysznica. Zaraz po wejściu do kabiny zostaję przyciśnięta plecami do kafelków, a Miller odsuwa się ode mnie, pozbawiając mnie ciepła swojej szyi.

– Chcę nas tylko obmyć.

– Doprecyzuj, proszę. – Z zachwytem widzę, że kącik jego ust drga lekko, a oczy błyskają figlarnie.

– Jak sobie życzysz. – Miller odkręca szybkim ruchem kurek i spuszcza na nas strumień ciepłej wody. Włosy szybko oblepiają mu głowę, a z klatki piersiowej zaczyna znikać krew.

– Życzę sobie.

Miller kiwa głową, sięga za siebie i rozplata moje nogi, którymi obejmuję go w pasie, potem to samo robi z rękami. Stoję na posadzce oparta plecami o ścianę i przyglądam mu się. Opiera się dłonią o kafelki przy mojej głowie i nachyla się, zatrzymując się milimetr od mojego nosa.

– Będę gładził każdą krągłość twojego boskiego ciała, Olivio. I będę patrzył, jak się skręcasz z pożądania. – Jego palec zsuwa się po moim mokrym biodrze na udo, pozostawiając gorący ślad. Już teraz płonę z pożądania i Miller doskonale o tym wie.

Opieram głowę o kafelki i rozchylam usta, bo potrzebuję więcej powietrza.

– Szczególną uwagę poświęcę temu miejscu. – Zalewa mnie fala gorąca, gdy Miller gładzi z czułością moją pulsującą intymność. – I temu. – Pochyla się nad moimi piersiami i bierze w ciepłe usta mrowiący sutek.

Wstrzymuję oddech i uderzam głową w ścianę, powstrzymując naturalny odruch, który każe mi chwycić Millera, dotykać go, całować.

– Powiedz mi, jak ci jest – żąda Miller, zaciskając zęby na mojej brodawce i posyłając w głąb mojego ciała spazm bólu. Jego palce pieszczą nieustannie moją cipkę. Wyginam plecy w próżnej próbie odcięcia się od dojmującej rozkoszy, ale ostatecznie wypycham biodra naprzód, spragniona odczuwanych doznań, chcąc móc przedłużać je w nieskończoność.

– Dobrze – wydobywam z siebie zachrypnięte z rozkoszy westchnienie.

– Doprecyzuj.

Kręcę głową, bo nie jestem w stanie spełnić jego żądania.

– Chcesz mnie dotykać?

– Tak!

– Chcesz mnie całować?

– Tak! – krzyczę i chcę już nakryć swoją dłonią jego rękę, aby zwiększył nacisk na moją łechtaczkę, ale sama nie wiem skąd, znajduję siłę, by się powstrzymać.

– W takim razie nie krępuj się. – To jest żądanie, więc zaraz w następnej sekundzie wpijam się w usta Millera i gładzę go gorączkowo po całym ciele. Miller kąsa mnie, więc odpowiadam tym samym, wydobywając z niego jęk. – Rób ze mną,

co ci się żywnie podoba, słodka dziewczyno.

Odnajduję jego członek i zaciskam na nim dłoń. Jest twardy. Gorący. Miller odchyla do tyłu głowę i krzyczy. Jego palce poruszają się coraz szybciej na moim pulsującym unerwieniu, doprowadzając mnie na skraj ekstazy i zachęcając moją dłoń, by też zacisnęła się mocniej na jego członku.

– Cholera! – syczy Miller i opuszcza głowę. Jego twarz wykrzywia się, zęby zaciskają, a rysy nabierają ostrości. Przeszywające mnie spojrzenie przyspiesza majaczący w oddali orgazm. Zaczynam poruszać biodrami w rytm ruchów dłoni Millera.

Miller robi to samo.

Wpatrujemy się w siebie, doprowadzając się wzajemnie do ekstazy. Ja nie przestaję krzyczeć, Miller natomiast oddycha z wysiłkiem z twarzą przy mojej twarzy. Na jego ciemnych rzęsach zbierają się kropelki wody, przez co jego namiętne spojrzenie nabiera dzikiego wręcz błysku.

– Już prawie! – wołam, starając się skoncentrować na rozkoszy, od której zaraz zakręci mi się w głowie, ale jednocześnie nie przerywać pieszczoty i umożliwić to samo Millerowi. – Już prawie!

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Zmieniam ułożenie nóg, aby stanąć stabilniej, Miller napiera na mnie mocniej całym ciałem, nasze usta nacierają na siebie, poruszając się gorączkowo.

– Dojdź wreszcie, Olivio!

Dochodzę. Słysząc jego rozkaz, tracę nad sobą panowanie. Gryzę go w język, wpijam paznokcie w jego ciało i ściskam mocno jego fiuta, czując, że drga spazmatycznie w mojej dłoni.

– Oooo! – jęczy Miller i opada na mnie bezwładnie, przygniatając mnie do ściany. Mimo ciepłej wody czuję, że na brzuch tryska mi gorąca sperma. – Tylko go trzymaj – dyszy Miller. – Nie puszczaj.

Robię, jak każe, masując go powoli i przyciskając się delikatnie biodrami do jego dłoni. Serce mi wali, a myśli krążą wyłącznie wokół doświadczanej rozkoszy. Miller przygniata mnie do ściany swoim szczupłym ciałem, wtulając twarz w zagłębienie przy mojej szyi. Nasze oddechy są wysilone, urywane. Nasze serca łomocą, walą jak szalone między ściśniętymi ciałami. Nasz świat jest idealny.

Co prawda wyłącznie teraz.

– W ogóle nas nie namydliłem – dyszy Miller. Zatacza palcami kręgi na moim sromie, a następnie wsuwa je powoli do środka. Przymykam oczy i zaciskam się wokół niego. – A mimo to mam wrażenie, że jesteśmy już dużo czyściejsi.

– Chcę iść do łóżka.

– I dostać to, co lubisz? – Miller kąsa moją szyję, a potem ją całuje; kąsa i całuje.

Uśmiecham się mimo wyczerpania i wypuszczam z ręki opadnięty już lekko członek. Obejmuję Millera za ramiona i przytulam twarz do jego twarzy, zmuszając

go, by zostawił w spokoju moją szyję. Odnajduję jego usta.

– Chcę czuć przy sobie całe twoje ciało – mruczę mu w usta. – Chcę, żebyś mnie do siebie tulił całą noc.

Miller jęczy i pogłębia pocałunek, wciskając mnie mocniej w ścianę. Nasze języki pieszczą się delikatnie i bez wysiłku. Mogłabym bez końca całować Millera Harta i wiem, że on ma podobne odczucia.

– Najpierw nas umyję.

Poczucie straty jest namacalne, gdy Miller cmoka mnie w usta i rozgląda się za żelem.

– Zobaczmy, jak szybko się uwiniesz – droczę się.

Miller przerywa wyciskanie żelu na dłoń i patrzy na mnie znacząco.

– Przy tobie nie lubię się spieszyć. – Pojemnik wraca na swoje miejsce, a Miller zaczyna pocierać ręce, aby wytworzyć pianę. Stoi naprzeciwko mnie i owiewa moją twarz swoim gorącym oddechem, po czym mruga do mnie leniwie swoim olśniewającym niebieskim okiem. – Dobrze o tym wiesz, Olivio.

Wstrzymuję oddech, zaciskam mocno powieki i czekam na dłonie Millera. Zaczyna od moich kostek – powolnymi, czułymi ruchami zmywa ze mnie cały brud dzisiejszego dnia. Odpływam myślami, rozkoszując się jego dotykiem, przesuwającym się powoli wzdłuż moich nóg. Bez pośpiechu, co bardzo mi odpowiada.

– Co teraz będzie? – zadaję w końcu pytanie, którego unikałam od czasu wyjścia z Ice. Jesteśmy razem, bezpieczni w mieszkaniu Millera, ale nie możemy tu zostać na zawsze.

– Przypuszczam, że Sophia przekazuje właśnie Charliemu wszystko, co jej powiedziałem.

– Charlie wie, że Sophia się w tobie kocha?

Miller parska śmiechem.

– Jeszcze jej życie miłe.

– A tobie?

Miller wciąga głęboko powietrze w płuca i patrzy mi w oczy.

– Mnie też, słodka dziewczyno. Mam teraz ogromną wolę życia. Jest tak dzięki tobie i nawet sam diabeł mnie nie powstrzyma od spędzenia wieczności z moją najmilszą.

Obejmuję dłonią jego policzek.

– Czy Charlie jest diabłem?

– Niemalże – szepcze Miller.

– A wiesz już, co zrobić?

– Tak. – Jego głos brzmi pewnie.

– Powiesz mi?

– Nie, skarbie. Wystarczy, że wiesz, że jestem twój i że niedługo będzie po

wszystkim.

– Przepraszam, że przeze mnie jest ci jeszcze trudniej. – Nic więcej nie mówię. Miller wie, co mam na myśli.

– Świadomość, że mam ciebie, Olivio, wszystko ułatwia. – Miller wyciąga przed siebie z wahaniem rękę i ściąga mi z włosów gumkę, niemal się krzywiąc, gdy moje niegdyś niezwykle długie włosy opadają tylko do ramion. – Dlaczego? – szepcze, gładząc je ostrożnie i nie spuszczając wzroku z obciętych krzywo kosmyków.

– Nie pytaj. – Opuszczam głowę i robi mi się potwornie przykro, ale nie dlatego, że będzie mi brak mojej nieujarzmionej grzywy, tylko dlatego, że wiem, iż będzie jej brak Millerowi.

– Jak byś się czuła, gdybym zgolił głowę?

Podrywam z przerażeniem głowę. Uwielbiam jego włosy. Są teraz dłuższe, a kiedy są suche, układają się wokół szyi zmierzwionymi falami, na czoło zaś opada mu mój ulubiony niesforny loczek… Nie, nie, nie. Nie może tego zrobić.

– Będę strzelać – szepcze Miller. – Sądząc po twojej minie, sprawiłoby ci to wielką przykrość.

– To prawda. – Nie ma sensu zaprzeczać. Piękne włosy są nieodłącznym elementem tego przystojnego, idealnego mężczyzny. Pozbycie się jakiejkolwiek jego części byłoby bolesne. – Ale wcale nie kochałabym cię przez to mniej – dodaję, zastanawiając się, do czego on zmierza.

– Ani ja ciebie – mruczy Miller. – Ale masz odtąd zakaz ścinania sobie włosów. – Miller sięga po szampon i wyciska trochę na moją głowę.

– Więcej tego nie zrobię – zapewniam. Nie sądzę, żebym po tym, co zrobiłam, wzięła znów kiedykolwiek do ręki nożyczki: i chodzi mi raczej o to, co zrobiłam Millerowi, a nie z włosami. Miller zanurza dłonie w to, co pozostało z moich loków, a mój wzrok pada na jego zranione ramię.

– I nie mówię tylko o tobie.

Marszczę brwi, ale Miller odwraca mnie twarzą do ściany, więc nie widzi mojej zdezorientowanej miny.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam, podczas gdy on wciera mi szampon we włosy.

– Nigdy – mówi krótko i na tym kończy. Odwraca mnie i ustawia pod strumieniem wody, aby spłukać mi głowę.

– Ale co: nigdy?

Nie patrzy na mnie i nie przerywa wykonywanego zadania. Moja konsternacja nie robi na nim wrażenia.

– Masz zakaz ścinania włosów. Czyimikolwiek rękami. Kiedykolwiek.

– Kiedykolwiek? – dukam zszokowana.

Miller przysuwa do mnie kamienną twarz. Znam tę minę. Mówi serio. Moje włosy trafiły na listę jego obsesji. Kilka z nich może zwalczył, ale uzupełnia braki

innymi… takimi jak moje włosy.

– Chyba wyraziłem się jasno – odpowiada ze śmiertelną powagą. – Zdaję sobie sprawę, że to być może irracjonalna prośba, ale tego właśnie sobie życzę i chciałbym, abyś to uszanowała.

Zdumiewa mnie jego arogancja, choć tak naprawdę nie powinna. Spotkałam się z nią wcześniej wielokrotnie.

– Nie możesz mi mówić, co mam robić z włosami, Miller.

– Świetnie. – Miller wzrusza obojętnie ramionami i nakłada sobie trochę szamponu na włosy. Myje je, a potem spłukuje. – W takim razie zgolę się na zero.

Słysząc jego groźbę, robię wielkie oczy, ale zaraz potem udaje mi się zapanować nad irytacją, bo jedno nie ulega dla mnie wątpliwości.

– Kochasz swoje włosy równie mocno jak ja – oznajmiam spokojnie… zadowolona z siebie.

Miller nakłada na swoje ukochane fale trochę odżywki, swobodnie i w milczeniu, ja natomiast stoję oparta o ścianę, odpowiadając arogancją na arogancję. Miller zanurza głowę pod wodę i spłukuje włosy, po czym zaczesuje je do tyłu. Uśmiecham się szerzej, podczas gdy Miller intensywnie się zastanawia, a w końcu bierze głęboki wdech i stawia czoło mojemu rozbawieniu. Opiera się ręką o ścianę i przysuwa do mnie twarz.

– Jesteś gotowa podjąć ryzyko? – Zastyga z ustami tuż przy moich ustach, na co ja odwracam zuchwale głowę.

– Być może.

Czuję na piersiach dotyk jego gorącej skóry, bo cichy wybuch śmiechu rozszerza mu klatkę piersiową.

– Dobrze – szepcze mi do ucha. – W takim razie przyrzekam, że jeśli choć spojrzysz w stronę fryzjera, zgolę włosy.

Zszokowana, wciągam gwałtownie powietrze w płuca i znów się do niego odwracam, napotykając uniesione wyzywająco brwi.

– Nie zrobisz tego.

– Przekonamy się. – Jego rozkoszne usta przyciskają się do moich i na chwilę odbierają mi jasność myślenia. – Bardzo wiele zmieniłem, odkąd się w tobie zakochałem, Olivio Taylor. – Miller kąsa moją wargę, a ja czuję, że moje serce przepełnia szczęście. – Niech ci się nie wydaje, że nie jestem w stanie spełnić tej obietnicy.

Miller mnie kocha. Gdy wykrzyczał to Sophii w Ice, nie zwróciłam na to szczególnej uwagi – albo nie uwierzyłam, albo do mnie nie dotarło. Ale teraz jego słowa docierają do mnie w pełni i wypełniają mnie ciepłem.

– Co mi tam – stwierdzam. – Właśnie powiedziałeś, że mnie kochasz. Możesz robić, co chcesz.

Miller wybucha śmiechem. Naprawdę się śmieje: jego głowa opada w tył, oczy

błyszczą szaleńczo, a ciało trzęsie się niekontrolowanie. Ten widok mnie poraża. Nie jestem nawet w stanie oddychać. Patrzę tylko w milczącym zachwycie, jak mój piękny mężczyzna rozpada się na moich oczach i bliski łez kręci głową.

– Olivio – wykrztusza z siebie, biorąc mnie na ręce i tuląc do siebie w swoich silnych ramionach. – Przecież cały czas ci powtarzam, że cię kocham.

– Nieprawda – sprzeciwiam się. – Mówisz, że jesteś mną zafascynowany. – Miller niesie mnie do swojego ogromnego łóżka i kładzie ostrożnie na posłaniu. Daję nura pod kołdrę, podczas gdy on zabiera z łóżka ozdobne poduszki i układa je na stojącej w nogach skrzyni.

– Może nie mówię tego wprost, ale przekaz pozostaje ten sam: za każdym razem, gdy na ciebie patrzę. – Miller wsuwa się do łóżka i układa na mnie swoje szczupłe ciało, rozkładając szeroko moje nogi i moszcząc się wygodnie między nimi. Patrzy na mnie z leciutkim uśmieszkiem. – Te słowa są wypisane na twoim ciele – szepcze, składając pocałunek na moim zmarszczonym czole. – Piszę je swoim wzrokiem na różnych częściach twojego ciała za każdym razem, gdy na ciebie patrzę. – Przesuwa się pocałunkami w stronę moich ust, do których wsuwa na koniec język. Kręci mi się w głowie, bo poczucie szczęścia po tak traumatycznym dniu wydaje się wręcz absurdalne. Mam wrażenie, że przeskakuję co chwila od uniesienia do czarnej rozpaczy. – Poza tym dosłownie też to na tobie napisałem.

Nadal uśmiechnięta, marszczę brwi, Miller natomiast napiera z miłością na moje usta. Nagle do mnie dociera.

– W twoim studiu – mamroczę między jego wargami. – Napisałeś mi to na brzuchu czerwoną farbą. – Wszystko sobie przypominam. Przypominam też sobie, że starł napis, zanim zdążyłam go przeczytać.

– Zgadza się. – Miller odsuwa się i spogląda na moją uśmiechniętą twarz. Przylega do mnie całym ciałem, ale to za pomocą hipnotyzującego spojrzenia swoich jasnych niebieskich oczu dotyka mojej duszy. – Olivio Taylor, będę cię kochać do ostatniego tchnienia. – Odnajduje moją dłoń i przysuwa diament do swoich ust. – Przez całą wieczność.

Kręcę lekko głową.

– To za mało.

– W takim razie dłużej – szepcze.

Rozdział 13

Kiedy budzę się rano, Miller faktycznie tuli mnie do siebie. Leży między moimi nogami, z głową wtuloną w moją szyję i rękami po obu stronach mojej głowy, zamykając mnie w swoich objęciach. Zanurzam nos w jego włosy i wciągam w płuca jego zapach. Przez długą chwilę wodzę opuszkami palców po wyraźnie zarysowanych mięśniach na plecach.

Nadszedł kolejny dzień. Nowy dzień. Dzień, na który nie mam najmniejszej ochoty. Ale teraz, uwięziona pod ciałem Millera, bezpieczna i szczęśliwa, nie muszę się jeszcze martwić. Zamykam więc oczy i znów odpływam w na wpół przytomny sen.

Mam wrażenie, że to Dzień Świstaka. Rozchylam powieki i robię szybkie rozeznanie sytuacji. Wszystko wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zamknęłam oczy. Wczoraj i dziś. Do głowy zaczynają mi napływać różne potworne myśli, ale nagle uświadamiam sobie, że jest piątek.

Babcia!

Ostrożnie, choć w pośpiechu, zaczynam zsuwać Millera z mojego unieruchomionego ciała, nie zważając na pomruki, które wydaje przez sen, przewracając się na plecy.

– Moje – mruczy, chwytając na oślep moje uciekające ciało. – Livy.

– Ciii – uspokajam go i nakrywam kołdrą jego nagie kształty, cmokając go uspokajająco w zarośnięty policzek. – Idę tylko zadzwonić do szpitala.

Na te słowa Miller daje za wygraną, przekręca się na brzuch i wsuwa ręce pod poduszkę, na której leży jego głowa. Zostawiam go i wychodzę pospiesznie z sypialni, rozglądając się za swoim telefonem. Niedługo potem łączę się z oddziałem Cedar Ward.

– Mówi wnuczka Josephine Taylor – przedstawiam się, wchodząc do kuchni. – Babcia miała dziś zostać wypisana ze szpitala.

– Tak, tak! – woła pielęgniarka, jakby cieszyła się, że może potwierdzić ten fakt. – Wczesnym popołudniem będzie dziś u niej lekarz prowadzący, więc wypis powinien być gotowy około trzeciej. Powiedzmy o czwartej, tak na wszelki wypadek.

– Wspaniale! – Mój budzący się powoli umysł ogrania podekscytowanie. – Babcia ma już wszystkie potrzebne lekarstwa?

– Tak, kochanie. Kazałam zanieść receptę do przyszpitalnej apteki. Do wypisu

wszystko powinno być gotowe. Przez jakiś czas babcia będzie musiała na siebie uważać. Musimy też umówić się na wizytę kontrolną.

– Dziękuję. – Siadam na krześle przy stole Millera i wzdycham z ulgą, myśląc przy tym, że w przypadku babci „uważanie na siebie" może być dość trudne do wykonania. Czeka mnie nie lada wyzwanie i zapewne kilka ładnych tygodni wysłuchiwania jej niewyparzonego języka.

– Naprawdę nie ma za co. Pani Taylor wprowadziła trochę życia do tego ponurego miejsca.

Uśmiecham się.

– Ale raczej nie będzie pani za nią tęsknić, co?

Pielęgniarka parska krótkim śmiechem.

– Prawdę mówiąc, będę.

– Ale niestety nie może jej pani zatrzymać – zapowiadam szybko. – Będę po nią o czwartej.

– Przekażę jej.

– Bardzo pani dziękuję za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Pielęgniarka rozłącza się, a ja siedzę sama w cichej kuchni, czując rozpierającą mnie radość. Może dzisiejszy dzień nie okaże się wcale taki zły.

Zrywam się z krzesła i postanawiam przygotować Millerowi śniadanie, ale najpierw muszę zrobić coś innego. Chcę, żeby wszystko wyszło idealnie, a da się to osiągnąć tylko w jeden sposób. Biegnę do sypialni i wskakuję na łóżko, pogrążone we śnie ciało Millera podskakuje na materacu. Miller podrywa się przestraszony. Jego piękne włosy są rozczochrane, a oczy zaspane.

– Co się dzieje?

– Jesteś mi na chwilę potrzebny – oznajmiam. Biorę go za rękę i zaczynam ciągnąć. – No chodź.

Zaspane oczy nie są już tak bardzo zaspane. Płoną z pożądania. Szybkim jak błyskawica ruchem Miller wyswobadza rękę z mojego uścisku i przewraca mnie na plecy. Siada okrakiem na moim brzuchu i przytrzymuje mi ręce nad głową.

– To ty jesteś mi na chwilę potrzebna. – Jego głos jest ostry, niski i cholernie seksowny. – Zgoda?

– Nie – rzucam, nie panując nad swoją obraźliwą i w gruncie rzeczy niemądrą odmową.

– Słucham? – Miller jest słusznie zaskoczony i nic w tym dziwnego.

– To znaczy zaraz. Najpierw chcę ci zrobić śniadanie.

Niebieskie oczy mrużą się lekko, a twarz Millera przysuwa się do mnie.

– W mojej kuchni?

Przewracam oczami. Spodziewałam się, że będę musiała się zmierzyć z nieufnością.

– Tak, w twojej kuchni.

– Skoro chcesz zrobić mi śniadanie, to po co ci moja pomoc?

– Zajmę ci pięć minut.

Miller przygląda się mi przez chwilę, rozważając moją prośbę. Nie odmówi. Zaintrygowałam go.

– Jak sobie życzysz. – Podnosi się i pomaga mi wstać z łóżka. – A co moja słodka dziewczyna zamierza przygotować mi na śniadanie?

– Tym się nie interesuj. – Idę za nim naga do kuchni, ignorując rozbawione prychnięcie, którym reaguje na moją bezczelną odpowiedź.

– Co mam zrobić? – pyta w kuchni. Zauważam, że rozgląda się po uporządkowanej przestrzeni, jakby zapisywał w głowie położenie każdej rzeczy, na wypadek gdyby uległo zmianie podczas mojej samowoli w jego idealnie urządzonym królestwie. Bez sensu. Przecież Miller doskonale zna położenie każdej rzeczy.

– Nakryj do stołu – nakazuję, usuwając się i rozkoszując zmarszczkami, które wykwitają na jego czole. – Proszę.

– Chcesz, żebym nakrył do stołu?

– Tak. – Być może uda mi się przygotować idealne śniadanie, ale na pewno nie nakryję jak należy do stołu, nie ma takiej możliwości.

– W porządku. – Miller zerka na mnie podejrzliwie i podchodzi do szuflady, w której trzyma noże i widelce. Stoję nieruchomo i podziwiam przepiękny rysunek mięśni na jego plecach, ale najlepsze czeka mnie w drodze powrotnej, gdy Miller odwraca się znów do stołu: jego twarz, oczy, uda, tors, szczupła talia… sztywny członek.

Kręcę głową i postanawiam z determinacją, że nie dam się zdekoncentrować. Patrzę, jak Miller krząta się wokół stołu, co jakiś czas rzucając mi zaciekawione spojrzenie. Stoję cicho z boku i pozwalam mu robić swoje.

– Doskonale – stwierdza i zatacza ręką wokół stołu. – Co teraz?

– Wracaj do łóżka – mówię, podchodząc do lodówki.

– Podczas gdy ty jesteś naga w mojej kuchni? – stwierdza ze śmiechem. – Zła odpowiedź.

– Proszę cię, Miller. – Obracam się bosa z ręką na klamce lodówki i widzę, że Miller patrzy na mnie z niezadowoleniem. – Chcę coś dla ciebie zrobić.

– Możesz dla mnie zrobić wiele rzeczy, Olivio, ale żadna z nich nie wymaga twojej obecności w kuchni. – Miller prostuje się i rozgląda się dokoła z namysłem. – Chociaż właściwie…

– Wracaj do łóżka! – Nie mam zamiaru ustąpić.

Miller wzdycha ciężko, zwieszając przy tym głowę i ramiona.

– Jak sobie życzysz – mruczy i wycofuje się z kuchni. – Ale i tak bez ciebie nie zasnę, będę więc tylko leżał i zastanawiał się, co z tobą zrobię, kiedy już mnie nakarmisz.

– Jak sobie życzysz – odpowiadam z obrzydliwie słodkim uśmiechem, pochylając przy tym głowę.

Mimo otrzymanej zniewagi Miller z trudem hamuje znaczący uśmieszek. Wychodzi i zostawia mnie samą w kuchni. Zaczynam od wyciągnięcia z lodówki czekolady i truskawek – nie znajduję niestety odtłuszczonego jogurtu naturalnego. Potem łamię czekoladę na kawałki, roztapiam ją, odszypułkowuję truskawki, a następnie je myję.

Obracam się do zastawionego stołu, na którym wszystko leży na właściwym miejscu… lub na miejscu, które Miller uważa za właściwe. Zagryzam wargę i zastanawiam się chwilę. Jestem pewna, że gdybym zdjęła wszystko ze stołu i nakryła jeszcze raz, na pewno udałoby mi się to zrobić jak należy. Może powinnam zrobić zdjęcie. Zadowolona z siebie, kiwam głową. Ale nagle wpadam na lepszy pomysł. Podchodzę z ożywieniem do komody i zaczynam ją przeszukiwać. Otwieram i zamykam szuflady, uważając, aby nie zmienić ułożenia ich zawartości. Zamieram na chwilę, gdy mój wzrok pada na pamiętnik Millera. Znów do mnie krzyczy.

– Cholera – klnę i nakazuję sobie zamknąć szufladę, i zostawić dziennik tam, gdzie powinien być.

W końcu udaje mi się znaleźć to, czego szukałam.

A właściwie nie to.

Coś lepszego.

Zdejmuję zatyczkę i patrzę na końcówkę flamastra, szybko dochodząc do wniosku, że sprawdzi się lepiej niż zwykły długopis.

– Okej. – Biorę głęboki wdech i podchodzę do stołu, wodząc wzrokiem po wszystkich starannie rozmieszczonych przedmiotach. Przekrzywiam głowę i postukuję końcówką flamastra o dolną wargę. Talerze. Równie dobrze mogę zacząć od nich.

Kładę palce na środku porcelanowego talerza i przytrzymując go w miejscu, zaczynam go z uśmiechem obrysowywać.

– Doskonale – stwierdzam, robiąc krok w tył i przyglądając się reszcie stołu. Jestem z siebie aż za bardzo dumna, co widać po mojej zadowolonej minie. Powtarzam całą procedurę z każdą leżącą na stole rzeczą. Wszystko zostaje obrysowane, idealne kontury zaznaczają idealne położenie każdej sztuki zastawy stołowej.

– Co ty, do cholery, wyrabiasz!

Na dźwięk przerażonego głosu odwracam się z flamastrem w dłoni i w absurdalnej próbie ukrycia dowodu zbrodni, chowam marker za plecami, bo oczywiście w mieszkaniu Millera są tysiące osób, które można obwinić o zniszczenie stołu. Zgroza na twarzy Millera sprowadza mnie na ziemię. Co ja najlepszego zrobiłam? Miller wytrzeszcza z niedowierzaniem oczy i podchodzi nagi do stołu. Rozdziawia usta na widok blatu. Podnosi jeden z talerzy i patrzy na jego obrys. To samo robi ze

szklanką. I z widelcem.

Zagryzam nerwowo policzek, szykując się na nieuchronny wybuch. Nagie pośladki Millera opadają na krzesło, dłoń zanurza się we włosach.

– Olivio. – Miller podnosi na mnie wstrząśnięty wzrok. Wygląda, jakby zobaczył ducha. – Pomazałaś mi flamastrem stół.

Patrzę na stół i wkładam do ust kciuk, przerzucając się z gryzieniem z policzka na palec. Bez sensu. To tylko stół. Można by pomyśleć, że stała się jakaś tragedia. Wzdycham z irytacją, rzucam flamaster na podłogę i podchodzę do stołu, przy którym Miller znów podnosi każdy przedmiot, chcąc się przekonać, czy naprawdę wszystko obrysowałam. Nie jestem pewna, czy powinnam przytaknąć, czy zaczekać, aż sam sprawdzi.

– Ułatwiłam nam tylko życie.

Patrzy na mnie jak na kosmitę.

– Naprawdę? – Odkłada talerz. Zauważam z uśmiechem, że przesuwa go tak, by nie wychodził za narysowaną linię. – Zechcesz wyjaśnić?

– No bo… – Siadam obok niego i zastanawiam się, jakich słów użyć, żeby zrozumiał. Teraz ja zachowuję się niemądrze. To jest Miller Hart. Mój cierpiący na obsesję świrek. – Teraz twoja słodka dziewczyna będzie mogła sama nakrywać do stołu bez ryzyka, że nie podoła twoim – wydymam wargi – szczególnym upodobaniom.

– Słodka dziewczyna? – Miller patrzy na mnie z niedowierzaniem. – Daleko ci do słodyczy, Olivio. Przypominasz mi teraz raczej diabła! Dlaczego… co… Chryste Panie, sama zobacz! – Miller zatacza wokół ręką, po czym opiera się łokciami o stół i chowa twarz w dłoniach. – Nie mogę na to patrzeć.

– Teraz mogę nakryć do stołu tak, jak lubisz. – Unikam słowa „potrzebujesz”, choć jest ono bliższe prawdy. Nie mówię „potrzebujesz”, choć przecież tak właśnie jest. – Wybrałam mniejsze zło. – Biorę go za rękę, usuwając mu podparcie spod głowy i zmuszając, by na mnie spojrzał. – Albo będę ciągle coś psuć, albo się do tego przyzwyczaisz. – Uśmiecham się i wskazuję ręką stół. Reakcja Millera jest być może przesadzona, ale będzie przynajmniej jednorazowa. Miller przywyknie do konturów na blacie. Alternatywą jest atak szału za każdym razem, gdy będę nakrywać do stołu. Jak dla mnie wybór jest prosty.

– Ty jesteś tu w tej chwili jedynym złem, Olivio. Wyłącznie ty.

– Potraktuj to jak dzieło sztuki.

Miller prycha na samą taką sugestię i ściska moją dłoń – teraz to on trzyma mnie.

– To jeden wielki burdel, a nie dzieło sztuki.

Opadam na oparcie. Miller zerka na mnie ponuro kątem oka. Z powodu stołu.

– Da się wymienić ten stół na inny?

– Tak – burczy. – Dobra robota. Zgodzisz się, prawda?

– Ale mnie nie da się wymienić, a nie zamierzam spędzić z tobą życia, nieustannie

się zamartwiając, czy położyłam głupi talerz na właściwym miejscu.

Miller aż się wzdryga na mój ostry ton, ale litości! Byłam aż nadto wyrozumiała dla jego najróżniejszych obsesji. Owszem, w przypadku kilku z nich nastąpiła niewielka poprawa, ale nadal jest nad czym pracować, a ponieważ Miller nie chce otwarcie przyznać, że cierpi na poważną nerwicę natręctw i kategorycznie odmawia wizyty u psychiatry, to będzie po prostu musiał zaakceptować to, w jaki sposób chcę mu pomóc. Jemu i sobie jednocześnie.

– To nic wielkiego. – Miller za wszelką cenę próbuje udawać obojętność.

– Nic wielkiego? – powtarzam ze śmiechem. – Miller, twój świat właśnie zatrząsł się w posadach! – Miller wydaje z siebie głuchy pomruk, czym rozbawia mnie jeszcze bardziej. – No dobra. – Wstaję i wyswobadzam swoją rękę. – Chcesz śniadanie, czy może też odmówisz, skoro nie patrzyłeś, czy robię wszystko we właściwy sposób?

– Nie musisz być niemiła.

– Owszem, muszę. – Zostawiam zrzędę przy stole, słysząc, że mruczy coś pod nosem i przesuwa naczynia, i idę po roztopioną czekoladę. – Och – wzdycham, patrząc na zawartość miski, która w niczym nie przypomina przepysznej ciemnej płynnej czekolady, która wyszła spod rąk Millera.

Biorę drewnianą łyżkę i dotykam nią lekko czekolady, ale sztuciec wysuwa mi się z dłoni, zapadając się w na wpół zastygniętą breję. Krzywię się, ale zaraz w następnej chwili moje ciało się ożywia, co oznacza, że Miller idzie w moją stronę, żeby sprawdzić, co się stało. Czuję przy plecach jego ciepły tors, na mój bark opada jego broda.

– Mam prośbę – szepcze mi do ucha Miller. Unoszę ramię i napieram głową na jego twarz, próbując nieudolnie pohamować mrowienie, które zaczyna ogarniać moje ciało.

– Tak? – Chwytam znów łyżkę i próbuję zamieszać czekoladę.

– Nie każ mi tego jeść.

Moje podniecenie opada, a miejsce przyjemnego mrowienia zajmuje rozczarowanie.

– Co zrobiłam nie tak?

Miller wyciąga mi łyżkę z dłoni i odkłada ją do miski, a potem odwraca mnie w swoich ramionach. Z jego twarzy zniknęło już przerażenie. Stałam się powodem rozbawienia.

– Za długo niszczyłaś mój stół i czekolada stężała. – Miller ma triumfującą minę. – Obawiam się, że obejdzie się bez zlizywania czekolady z ciała.

Naprawdę jestem beznadziejna. Zdaję sobie sprawę, że to głupie, skoro właśnie zniszczyłam stół Millera, ale chciałam zrobić tę drobną rzecz, bo w świecie Millera wcale nie jest taka drobna.

– Przepraszam – wzdycham i opieram czoło o jego pierś.

– Zostaje ci to wybaczone. – Miller zaplata ręce na moich plecach i składa mi na czubku głowy pocałunek. – Ale może odpuścimy dziś sobie śniadanie?

– Dobrze.

– Będziemy się wylegiwać w łóżku. Cały dzień. A potem zjemy obiad.

Krzywię się. Wiedziałam, że taki będzie miał plan. Że będzie chciał odciąć nas od świata, żeby mnie chronić. Ale nie ma takiej możliwości; nie w sytuacji, gdy babcia wychodzi ze szpitala.

– O czwartej odbieram babcię ze szpitala.

– Pojadę po nią – proponuje Miller, ale wiem dobrze, co chce w ten sposób osiągnąć. Nie dam się rozdzielić z babcią. – Przywiozę ją tutaj.

– Już o tym rozmawialiśmy. Babcia potrzebuje własnego domu, własnego łóżka, znajomego otoczenia. Tutaj jej się nie spodoba. – Wyswobadzam się z objęć Millera i wychodzę z kuchni, bo nie chcę, żeby próbował zmienić moje zdanie. To tylko strata czasu, która skończy się kłótnią. Po tym, co wydarzyło się wczoraj wieczorem, domyślam się, że będzie potwornie nadopiekuńczy.

– Co jest nie tak z tym mieszkaniem? – pyta urażony.

Odwracam się, trochę rozdrażniona faktem, że w kwestii babci bywa tak niedomyślny.

– Bo to nie jest normalny dom! – rzucam i zastanawiam się, czy Miller naprawdę chce, żebym tu mieszkała i bałaganiła w jego mieszkaniu, czy po prostu tak bardzo chce mnie chronić, że jest gotów skazać siebie samego na tortury, byle sprowadzić mnie z babcią do siebie na stałe.

Od razu widzę, że go zraniłam. Przymykam się więc, zanim pogorszę sprawę.

– Rozumiem – odpowiada zimno.

– Miller, ja…

– Nie, nie, w porządku. – Miller wymija mnie tak, aby przypadkiem mnie nie dotknąć. Czuję się podle. Opieram się plecami o ścianę i podnoszę głowę, wbijając wzrok w wysoki sufit. Sprawiłam mu przykrość. Miller próbuje mi tylko pomóc. Martwi się o mnie, a ja zachowuję się jak świnia.

Ściskam palcami nos i z jękiem frustracji ruszam za Millerem.

– Miller! – wołam, widząc jego plecy znikające w sypialni. – Miller, nie chciałam sprawić ci przykrości.

Gdy wchodzę do sypialni, Miller odkłada właśnie pościel na swoje miejsce. Robi to ze złością.

– Przecież powiedziałem, że wszystko w porządku.

– Jak widać. – Wzdycham i opuszczam bezwładnie ręce. Pomogłabym mu – ofiarowałabym mu gałązkę oliwną w postaci ulubionych przez niego porządków – ale wiem, że wkurzyłabym go tym jeszcze bardziej, bo na pewno wszystko robiłabym nie tak.

– Nie chcesz tu mieszkać. – Miller strzepuje poduszki, a potem wygładza je

starannie. – Rozumiem to. Nie musi mi się to podobać, ale to akceptuję. – Jedwabny chodnik trafia niemal na łóżko, bo Miller zaczyna go przesuwać i układać ze złością we właściwej pozycji. Obserwuję go w milczeniu, trochę zaskoczona jego dziecinnym wybuchem złości. Jest obrażony. Nie jest wściekły, nie wpada w szał, tylko jest zwyczajnie obrażony.

– Olać to! – wrzeszczy i rozrzuca idealnie ułożoną pościel. Siada z impetem na brzegu łóżka i wsuwa ręce we włosy, oddychając przy tym ciężko. – Chcę trzymać cię co noc w ramionach. – Podnosi na mnie błagalny wzrok. – Chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

Podchodzę do niego i staję nad nim. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Rozsuwa nogi, żeby zrobić mi miejsce. Kładę dłonie na jego barkach, a on obejmuje mnie za pośladki. Patrzy na mnie z dołu, wzdycha i przełyka z trudem ślinę, po czym opiera się czołem o mój brzuch. Gładzę dłońmi jego szyję, a potem wsuwam je we włosy.

– Wiem, że zabrzmiało to roszczeniowo – szepcze. – I nie chodzi tylko o to, że się martwię. Przyzwyczaiłem się do tego, że się przy tobie budzę i przy tobie zasypiam. Jesteś ostatnią rzeczą, jaką widzę przed zamknięciem oczu, i pierwszą po ich otwarciu. Nie podoba mi się myśl, że miałbym to stracić, Olivio.

Rozumiem, co chce przez to powiedzieć. Od wielu tygodni jesteśmy nierozłączni. Nowy Jork stanowił nieustanny korowód uwielbiania, przytulania i cieszenia się sobą. Teraz wracamy do normalnego życia. Uśmiecham się ze smutkiem, bo nie wiem, jak mu poprawić samopoczucie. Żadna siła nie powstrzyma mnie od bycia z babcią.

– Ona mnie potrzebuje – mruczę.

– Wiem. – Miller podnosi na mnie wzrok i bardzo się stara obdarzyć mnie jednym ze swoich uśmiechów. Stara się. Uniemożliwia mu to jednak zmartwienie malujące się na jego twarzy. – Chciałbym móc panować nad tym, jak bardzo cię potrzebuję.

Ja zaś jednocześnie chcę i nie chcę, żeby umiał nad tym panować.

– Nad tym, jak bardzo potrzebujesz mnie, czy jak bardzo potrzebujesz zapewnić mi bezpieczeństwo? – pytam, bo to w tej chwili jest najważniejsze. Mam pełną świadomość tego, co czeka za drzwiami mieszkania Millera.

– Nad obiema tymi rzeczami.

Kiwam w odpowiedzi głową i nabieram powietrza w płuca.

– Zawsze mi obiecywałeś, że nie będziesz zmuszał mnie do niczego, na co nie mam ochoty.

Miller zamyka oczy i się krzywi.

– Zaczynam tego żałować.

Moje usta rozciągają się w uśmiechu. Wiem, że tak jest.

– W tej akurat sprawie ze mną nie wygrasz. Jedyne rozwiązanie jest takie, żebyś zamieszkał razem z nami.

Miller otwiera szybko oczy, a ja staram się powstrzymać uśmiech, bo wiem, na

czym polega problem.

– Jak mam cię wielbić w domu twojej babci?

– Ostatnio całkiem nieźle sobie poradziłeś. – Unoszę brwi i patrzę z zachwytem na niebieskie tęczówki Millera, które ciemnieją na wspomnienie naszego aktu na schodach. Miller marszczy lekko brwi i przyciąga do siebie moje pośladki.

– Nie było jej wtedy u siebie.

– Mówisz, jakby była królową!

– A nie jest?

Potwierdzam prychnięciem i pochylam się, żeby zrównać ze sobą nasze twarze.

– Przedstawiłam ci twoje możliwości. Wracam do domu z babcią. Uczynisz mi ten zaszczyt i zechcesz mi towarzyszyć? – Z radością zauważam błysk w jego oku i drżące kąciki ust.

– Uczynię – mruczy, starając się zgrywać zrzędę, choć wiem, że z trudem hamuje wesołość. – To będzie prawdziwe piekło, ale dla ciebie zrobię wszystko, Olivio Taylor. Przysięgnę nawet, że cię nie tknę.

– Nie ma takiej potrzeby!

– Pozwolę sobie się nie zgodzić – odpowiada spokojnie. Wstaje i bierze mnie na ręce. Oplatam go w pasie nogami i krzywię się z niezadowolenia. – To byłby przecież brak szacunku względem twojej babci.

– Pamiętasz, że groziła, że obetnie ci twoją męskość? – przypominam, mając nadzieję, że pozbędzie się dzięki temu swoich niemądrych skrupułów.

Miller marszczy cudownie brwi. Udało się.

– To prawda, ale teraz jest chora.

– Co oznacza, że tak łatwo cię nie złapie.

Miller nie jest dłużej w stanie hamować rozbawienia i oślepia mnie jednym ze swoich olśniewających uśmiechów.

– Uwielbiam, jak podczas orgazmu krzyczysz na całe gardło moje imię. Teraz to nie będzie możliwe. Nie chcę, żeby twoja babcia pomyślała, że nie mam szacunku dla niej i dla jej domu.

– W takim razie będę ci szeptać do ucha.

– Czyżby moja słodka dziewczyna wystawiała pazurki?

Wzruszam nonszalancko ramionami.

– Czyżby mój ukochany znów udawał dżentelmena?

Miller wciąga z sykiem powietrze, jakbym go zszokowała. Nie daję się na to nabrać.

– Czuję się urażony.

Nachylam się i kąsam go w czubek nosa, a potem przesuwam powoli język w stronę ucha, zostawiając wilgotny ślad. Czuję, że serce Millera zaczyna bić szybciej.

– W takim razie naucz mnie dobrych manier – szepczę mu do ucha niskim, uwodzicielskim głosem, po czym gryzę go lekko w małżowinę.

– Czuję się w obowiązku tak właśnie zrobić. – Szybkimi, wprawnymi ruchami Miller zmienia ustawienie swoich rąk i rzuca mnie na łóżko.

– Miller! – piszczę, szybując w powietrzu i wymachując rękami. Lądуję na środku wielkiego łóżka i śmiejąc się, próbuję złapać oddech i jakoś się pozbierać. Miller stoi na brzegu łóżka, nieruchomy i spokojny, i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby zamierzał mnie pożreć. Zaczynam oddychać jeszcze szybciej i próbuję podnieść się do pozycji siedzącej. Miller wpatruje się we mnie spod przymkniętych powiek wzrokiem pełnym pożądania.

– Chodź do mnie, słodka dziewczyno – odzywa się ochrypłym głosem, który sprawia, że moje serce jeszcze bardziej przyspiesza.

– Nie. – Sama siebie szokuję swoją odmową. Chcę do niego iść. Bardzo. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, a sądząc po zaskoczeniu na twarzy Millera, on też nie.

– Chodź. Do. Mnie. – Miller oddziela każde słowo. W jego cichym głosie pobrzmiewa ostrzeżenie.

– Nie – droczę się i cofam odrobinę, aby znaleźć się dalej od niego. To gra. Polowanie. Bardzo go pragnę, ale świadomość, jak bardzo on pragnie mnie, podnosi stawkę, rozpala nasze pożądanie do niewyobrażalnych rozmiarów… przez co nasza zabawa w kotka i myszkę sprawia nam jeszcze większą przyjemność.

Miller przechyla na bok głowę, oczy mu błyszczą.

– Udajesz trudną do zdobycia?

Wzruszam ramionami i oglądam się za siebie, aby zaplanować ucieczkę.

– Nie mam w tej chwili ochoty na twoje uwielbienie.

– To, co mówisz, jest niedorzeczne. I oboje o tym wiemy. – Podchodzi bliżej i zerka na szczyt moich ud. – Przecież czuję, że jesteś na mnie gotowa.

Zaczynam się wiercić. Zaciskam uda i zmieniam pozycję, próbując na próżno powstrzymać zalewającą mnie falę pożądania.

– Przecież widzę, że jesteś na mnie gotowa. – Wbijam wzrok w jego członek, pulsujący wyraźnie.

Miller wyciąga rękę i ściąga powoli ze stolika nocnego prezerwatywę. Wsuwa sobie opakowanie do ust i rozdziera je powoli zębami. Następnie, nie spuszczając ze mnie wzroku, nakłada kondom na sztywne prącie. Już samo jego spojrzenie odbiera mi siły. Burzy we mnie krew i mąci mi w głowie.

– Chodź. Do. Mnie.

Kręcę głową, zastanawiając się, na jaką cholerę odmawiam. Przecież zaraz mnie rozsadzi. Nie spuszczam oczu z Millera, czekając na jego następny ruch. Widzę, że staje w większym rozkroku. Cofam się jeszcze bardziej w głąb łóżka.

Moja żądza eksploduje na widok leciutko uniesionych kącików ust i delikatnego ruchu głowy, za pomocą którego Miller poprawia niesforny loczek. Zaczynam się trząść na całym ciele. Nie jestem w stanie nad tym zapanować. I nie chcę nad tym

zapanować. Przedłużające się oczekiwanie sprawia, że odchodzę od zmysłów z pożądania, i jest to tylko i wyłącznie moją winą. Miller próbuje mnie nastraszyć, markując skok naprzód, i z rozbawieniem obserwuje moją reakcję: z lekkim okrzykiem rzucam się do tyłu.

– Możesz się bawić, ile chcesz, Olivio, ale za dziesięć sekund i tak w ciebie wejdę.

– Przekonamy się – odpowiadam zuchwale, ale przewidzenie jego kolejnego ruchu okazuje się niemożliwe, bo Miller rzuca się na mnie bez ostrzeżenia. Z prędkością błyskawicy. – O nie! – krzyczę i okręcam się, pełznąc pospiesznie na drugi koniec łóżka. Miller łapie mnie jednak za kostkę, przyciąga i odwraca na plecy. Dyszę mu ciężko w twarz, unieruchomiona pod jego ciałem, czując na sobie jego oddech, spokojny i opanowany.

– Tylko na tyle cię stać? – pyta, przyglądając się mojej twarzy i zawieszając ostatecznie wzrok na moich ustach. Nachyla się i muska mnie miękkimi wargami, ale wtedy ja przechodzę do kontrataku, czym zupełnie go zaskakuję. W mgnieniu oka Miller leży na plecach, a ja siedzę na nim okrakiem i przytrzymuję mu nadgarstki nad głową.

– Powinieneś zawsze mieć się na baczności – szepczę pochylona nisko nad jego twarzą, a potem kąsam prowokacyjnie jego dolną wargę. Miller wydaje z siebie jęk i napiera na mnie biodrami, starając się jednocześnie dosięgnąć moich ust. Nie pozwalam mu na to, wydobywając z niego poirytowane warknięcie.

– Trafiony zatopiony – rzuca żartobliwie Miller, podrywając się do góry i przerzucając mnie znów pod siebie. Próbuję słabo złapać go za ramiona, ale przechwytuje moje dłonie i przyciska je do łóżka. Jest z siebie niezwykle zadowolony i robi świętoszkowatą minę. To zaostrza jedynie mój pazur i moje pożądanie. – Poddaj się, słodka dziewczyno.

Wydaję sfrustrowany okrzyk i próbuję ze wszystkich sił się wyswobodzić. Podrywam się, ale moja determinacja nagle znika, bo zaczynam spadać.

– O cholera! – piszczę. Miller wykręca błyskawicznie ciało i zaraz potem zwalamy się z impetem na podłogę. Nie widać po nim zaskoczenia ani bólu i tylko przez krótką chwilę znajduje się w niekorzystnym dla siebie położeniu, bo zaraz potem to znów ja jestem na plecach. Złoszczę się na samą siebie, dając się ponieść frustracji. Mam przy tym podejrzenie – które staram się jednak ignorować – że Miller celowo daje mi fory i pozwala mi mieć wrażenie, że coś mi wychodzi tylko po to, by zaraz w następnej chwili przejąć znów kontrolę.

Miller patrzy płonącym z pożądania wzrokiem na moją rozpaloną twarz i przytrzymuje jedną ręką obie moje dłonie nad moją głową.

– Pamiętaj, żeby nigdy nie działać pod wpływem frustracji – mruczy, po czym pochyla się i chwyta zębami jedną z moich brodawek. Krzyczę, zupełnie odrzucając jego radę. Moja frustracja sięga zenitu!

– Miller! – wrzeszczę i zaczynam wić się pod jego ciałem, przekręcając głowę z

boku na bok w daremnej próbie zmierzenia się z przypuszczającą na mnie atak wszechogarniającą rozkoszą. – Miller, zlituj się!

Miller przesuwa zęby wzdłuż wrażliwego miejsca, doprowadzając mnie tym do szaleństwa.

– Chciałaś się bawić, Olivio. – Całuje koniuszek mojego sutka i rozsuwa mi nogi, wciskając między nie kolano i siłą je rozszerzając. – Żałujesz tego?

– Tak!

– W takim razie teraz musisz mnie błagać, żebym przestał.

– Proszę!

– Słodka dziewczyno, dlaczego próbujesz pozbawić się mojej uwagi?

Zaciskam zęby.

– Nie wiem.

– Ja też nie. – Miller porusza biodrami i wbija się we mnie po sam koniec. – Jezu!

Jestem zaskoczona jego niespodziewanym wtargnięciem, co nie umniejsza jednak odczuwanej przyjemności. Zaciskam z całej siły wewnętrzne mięśnie i szamoczę się, chcąc wyswobodzić ręce z jego żelaznego uścisku.

– Chcę móc cię dotknąć.

– Ciii – ucisza mnie Miller, podpierając się na rękach i więżąc mnie swoim ciałem. – Zrobimy to po mojemu, Olivio.

Jęczę zdesperowana, odchylając do tyłu głowę i wyprężając gwałtownie plecy.

– Nienawidzę cię!

– Nieprawda – odpowiada pewnym głosem Miller. Wychodzi ze mnie i zastyga tuż przy moim ujściu, drażniąc się ze mną. – Kochasz mnie. – Wsuwa się odrobinę z powrotem. – Kochasz to, co ci robię. – I jeszcze odrobinę. – I kochasz to, co wtedy czujesz.

Łups!

– O cholera! – wrzeszczę, bezbronna w jego uścisku i bezradna wobec jego brutalnego natarcia. Nie, żebym chciała go powstrzymać. Za żadne skarby. Pragnę jego siły. – Jeszcze – dyszę, rozkoszując się cudowną torturą, którą mi zadaje.

– W czasie konwersacji wypada patrzeć swojemu rozmówcy w oczy – syczy Miller i wysuwa się ze mnie powoli.

– Kiedy ci pasuje!

– Spójrz na mnie!

Podnoszę głowę i otwieram oczy, wołając przy tym ze złością:

– Jeszcze!

– Mocno i szybko? Czy delikatnie i powoli?

Jestem zbyt zdesperowana na delikatnie i powoli. Czas na delikatnie i powoli dawno już minął i obawiam się, że nawet gdyby Miller chciał delektować się tą chwilą, niewiele by to pomogło.

– Mocno – dyszę, unosząc gwałtownie biodra. – Bardzo mocno. – Nie mam

żadnych wątpliwości ani obaw. Miller jest mi stuprocentowo oddany, kocha mnie i dba o mnie, niezależnie od tego, czy mnie pieprzy, czy wielbi.

– Cholera, Livy. – Miller wychodzi ze mnie, co trochę mnie dezorientuje. Już chcę zaprotestować, kiedy przekręca mnie, ustawia na czworakach i łapie mocno w pasie. Przełykam ślinę, bo wiem, jak głęboko może wejść we mnie w tej pozycji. O Boże, a do tego mocno? – Powiedz, kiedy będziesz gotowa.

Kiwam głową i wypinam tyłek, nie mogąc się doczekać go w środku. Miller nie cacka się ze mną. Nie toruje sobie delikatnie drogi. Wbija się we mnie z ogłuszającym rykiem, wprawiając mnie w stan porażającej euforii i powalającej rozkoszy. Wrzeszczę i zaciskając pięści na dywanie, odrzucam rozpaczliwie głowę w tył. Miller nie ma dla mnie litości. Z każdym pchnięciem wydaje z siebie głuche stęknięcie, wpija palce w miękkie ciało moich bioder. Dywan ociera mi kolana – Miller bierze mnie w niezwykle brutalny jak na siebie sposób, ale mimo to odrobina niewygody i bezwzględna siła, z jaką jego ciało zderza się z moim, nie zniechęcają mnie. Wręcz przeciwnie – sprawiają, że błagam o więcej.

– Mocniej – mamroczę niewyraźnie, oddając Millerowi pełną kontrolę nad sytuacją. Nie mam siły wyjść naprzeciw jego morderczym ruchom. Jestem w stanie skoncentrować się wyłącznie na rozlewającej się po całym moim ciele obezwładniającej rozkoszy.

– Chryste Panie, Olivio! – Miller porusza palcami, po czym znów wbija je w moje ciało. – Nie robię ci krzywdy?

– Nie! – rzucam, nagle przestraszona, że mógłby zwolnić. – Mocniej!

– Chyba sobie żartujesz. – Miller rozsuwa szerzej kolana, rozchylając bardziej moje nogi i przyspiesza. Nasze ciała uderzają o siebie z głośnym plaskaniem. – Zaraz dojdę, Olivio!

Zamykam oczy, z płuc uchodzi mi całe powietrze, mam pustkę w głowie. Znajduję się w ciemnym, cichym świecie, w którym moim jedynym celem jest rozkoszować się zabiegami Millera. Nic nie odwraca od niego mojej uwagi, nic mnie nie rozprasza, nic nie zakłóca naszego cennego czasu we dwoje. Jesteśmy tylko my – nasze ciała, które robią coś niesamowitego.

Rozkosz narasta. Każde uderzenie ciała Millera prowadzi mnie w stronę absolutnego olśnienia. Chcę się odezwać, powiedzieć mu, co dzięki niemu czuję, ale odbiera mi mowę, nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa poza cichymi jękami desperacji i rozkoszy. Czuję, że Miller jest już blisko. Powiększa się we mnie, a jego potężny ryk sprowadza mnie z powrotem na ziemię. Mój orgazm nadchodzi niespodziewanie. Krzyczę, czując, jak przetacza się przeze mnie jak tornado. Mam napięty każdy mięsień w ciele. Poza szyją – moja głowa zwisa bezładnie między rękami. Miller zwiększa natężenie swoich pchnięć i eksploduje, przyciągając do siebie moje zesztywniałe ciało.

– Aaaa! – ryczy i naciera z siłą, którą zrozumieć może tylko ten, kto jest jej

odbiorcą. A ja jestem. Ostry spazm bólu, który przeszywa mnie, mieszając się z rozkoszą pulsującą głęboko w moim kroczu, do reszty pozbawia mnie sił.

– Ja pierdolę – dyszy Miller, splatając nasze ciała i przytrzymując je razem. Mam wrażenie, że zaraz się przewrócę. Podtrzymuje mnie wyłącznie ciało Millera, więc kiedy rozluźniają się palce zaciśnięte na moich biodrach, tracę podporę i opadam na podłogę, oddychając ciężko i łapiąc z trudem powietrze.

Czuję przyjemny chłód dywanu na policzku i patrzę, jak Miller przewraca się obok mnie na plecy. Jego ręce leżą bezwładnie nad głową, a klatka piersiowa rozszerza się w gwałtownych wdechach. Miller jest cały mokry, jego umięśniony tors lśni od potu. Gdybym była w stanie, pogłaskałabym go, ale jestem zupełnie wyczerpana. Całkowicie pozbawiona energii. Ale nie na tyle, by zamknąć oczy i pozbawić się zachwycającego widoku Millera dochodzącego do siebie po orgazmie.

Mam wrażenie, że leżymy tak całą wieczność. Do moich uszu dociera tylko dźwięk równych, długich oddechów. W końcu znajduję gdzieś w sobie siłę, wyciągam rękę i muskam palcami bok Millera. Przesuwają się bez trudu po wilgotnej, gorącej skórze. Miller odwraca głowę i odszukuje mój wzrok. Wyczerpanie mija, umożliwiając rozmowę. Ale Miller mnie uprzedza.

– Kocham cię, Olivio Taylor.

Uśmiecham się i zdobywając się na ogromny wysiłek, podpełzam do Millera i układam się na nim, wtulając twarz w zagłębienie przy jego szyi.

– Ja też jestem tobą zafascynowana, Millerze Hart.

Rozdział 14

Zobaczmy. – Miller czeka na chodniku przed salonem, potwornie zdenerwowany. Jest bardzo niespokojny – irracjonalnie zestresowany tym, jaka okaże się moja nowa fryzura. Zostałam odstawiona do salonu fryzjerskiego ze stanowczym nakazem, aby ściąć jak najmniej, choć Miller i tak postanowił osobiście przekazać instrukcje fryzjerce i wyszedł dopiero wtedy, gdy go do tego zmusiłam, bo widziałam jak stresuje biedną dziewczynę. Gdyby patrzył jej na ręce, pewnie skończyłabym z czymś znacznie gorszym na głowie, niż miałam wtedy. Moje kiedyś długie, nieujarzmione fale są teraz gładkie i lśniące i sięgają tuż poniżej ramion. Jasna cholera, nawet ja jestem zdenerwowana. Podnoszę rękę i przeczesuję palcami jedwabiste w dotyku włosy, Miller natomiast przygląda się mi uważnie. Czekam. I czekam. Aż w końcu daję upust swojej irytacji i wzdycham ze zniecierpliwieniem.

– Powiedz coś! – żądam, bo drobiazgowe oględziny, którym zostałam poddana, nie sprawiają mi najmniejszej przyjemności. Miller często wpatruje się we mnie z taką uwagą, ale w tej chwili tak natarczywe spojrzenie nie jest pożądane. – Nie podoba ci się?

Ściąga usta i wsuwa ręce do kieszeni spodni od garnituru. Zastanawia się intensywnie. Potem podchodzi do mnie i przysuwa twarz do mojej szyi. Cała się spinam. Nie jestem w stanie nic na to poradzić, ale to nie jego bliskość wywołuje taką reakcję, tylko milczenie. Miller bierze głęboki wdech i mówi:

– Chyba nie muszę ci mówić, że bałem się trochę, że stracę jeszcze więcej.

Prycham ironicznie, słysząc takie niedopowiedzenie.

– Trochę?

Miller odsuwa się i burczy zamyślony:

– Wyczuwam w twoim głosie sarkazm.

– Dobrze wyczuwasz.

Miller uśmiecha się do mnie szelmowsko i znów się przysuwa, obejmując mnie ramieniem za szyję i przytulając do siebie.

– Podoba mi się.

– Naprawdę? – Jestem zdumiona. Oszukuje?

– Naprawdę. – Przyciska usta do moich włosów i znów wciąga głęboko powietrze. – Będziesz wyglądać jeszcze lepiej, gdy włosy będą wilgotne i zmierzwione. – Jego palce wsuwają się w moje włosy i zaplatają się mocno wokół nich. Miller odciąga moją głowę. – Idealnie.

To głupie, że poczułam aż tak wielką ulgę. Naprawdę głupie.

– Cieszę się, że ci się podoba, chociaż gdyby ci się nie podobało, to miałabym coś na swoją obronę. Fryzjerka co do joty trzymała się twoich wytycznych.

– No mam taką nadzieję.

– Zestresowałeś ją.

– Powierzyłem w jej ręce mój największy skarb. Bardzo dobrze, że się stresowała.

– Moje włosy należą do mnie, nie do ciebie.

– Mylisz się – oponuje natychmiast z pełnym przekonaniem.

Przewracam tylko oczami na tę impertynencję, ale postanawiam z nim więcej nie dyskutować.

– Gdzie teraz? – pytam, łapiąc go za nadgarstek i sprawdzając godzinę. – Za wcześnie, żeby jechać po babcię.

– Teraz musimy złożyć komuś wizytę. – Miller chwyta mnie za kark i prowadzi do swojego mercedesa. Ogarnia mnie niepokój. Nie podoba mi się, jak to zabrzmiało.

– Komu?

Miller rzuca mi niemal przepraszające spojrzenie.

– Zgaduj. Masz trzy próby.

Czuję nagłe przygnębienie. Nie potrzebuję trzech prób.

– Williamowi – wzdycham.

– Zgadza się. – Miller nie daje mi szansy na sprzeciw. Prowadzi mnie do swojego samochodu i zamyka za mną drzwi, po czym obchodzi przodem wóz i siada za kierownicą. – Naprawdę podoba mi się twoja fryzura – mówi cicho, jakby próbował mnie udobruchać… lub uspokoić.

Wbijam wzrok przed siebie i zastanawiam się, czy nie warto spróbować ucieczki. Nie mam ochoty na spotkanie z Williamem. Nie mam ochoty widzieć jego dezaprobaty, jego bezczelnej arogancji. Miller dobrze o tym wie, a zwykle nie zmusza mnie do robienia rzeczy, na które nie mam ochoty. Obawiam się jednak, że w tym przypadku złamie tę zasadę. Mimo to postanawiam spróbować.

– Nie chcę jechać. – Odwracam się do niego i widzę, że się zastanawia.

– Przykro mi, ale nie masz wyjścia – szepcze. Uruchamia samochód i rusza. Moja odwaga na nic się zdała.

William stał się dla Millera źródłem informacji. Wiem, że żaden z nich nie jest zachwycony tym faktem. A już na pewno nie ja. Ale niestety nie mamy chyba wyboru. Zamykam oczy i nie otwieram ich przez całą drogę. Żadne z nas się nie odzywa, w powietrzu wisi ciężka cisza. Niezręczna. Nieprzyjemna. Droga ciągnie się w nieskończoność.

Po dotarciu na miejsce od razu wyczuwam, że Miller cały się spina. W powietrzu wisi takie napięcie, że każdy mięsień w moim ciele robi się sztywny. Williama nie ma jeszcze w zasięgu wzroku, ale już czuć wzajemną niechęć obu mężczyzn. Przechodzą mnie od tego ciarki i skacze mi ciśnienie. Czuję się tak, jakbym dobrowolnie wchodziła do jaskini lwa z krwistym stekiem zawieszonym na szyi.

– Otwórz oczy, Olivio. – Łagodny głos Millera pieści moją skórę. Rozchylam powieki, choć nie mam najmniejszej ochoty patrzeć na to, co się znajduje na zewnątrz. Wbijam wzrok w kolana i widzę, że mój pierścionek obraca się szaleńczo na moim palcu, a to wszystko przez moje nieświadome zabiegi. – I spójrz na mnie – nakazuje Miller.

Nie czekając, aż usłucham, chwyta mnie za kark i odwraca do siebie moją głowę. Wpatruję się w niego, bo wiem, co zobaczę, jeśli pozwolę spojrzeniu uciec w bok.

Society.

Klub Williama.

– Tak lepiej – chwali Miller. Wyciąga wolną rękę i poprawia mi nową fryzurę. – Przecież wiesz, że nie pałam miłością do Williama Andersona – stwierdza. – Ale zależy mu na tobie, Olivio.

Krztuszę się i otwieram usta, żeby się sprzeciwić, żeby mu powiedzieć, że wszystko, co robi William, wypływa z poczucia winy. Nie udało mu się uratować mojej matki, więc próbuje oczyścić sumienie i ocalić mnie. Miller nakrywa ręką moje usta, nie dając mi szansy się odezwać.

– Skoro ja mogę przyjąć jego pomoc, to ty tym bardziej.

Krzywię się w poczuciu przegranej i mrużę lekko oczy. Widząc lekki uśmieszek na twarzy Millera, wiem dobrze, jakie słowo padnie zaraz z jego pięknych ust.

Nie mylę się.

– Pazur – mruczy, odsuwając szybko swoją rękę i zastępując ją swoimi ustami. Dotyk naszych ust ma dokładnie taki efekt, do jakiego przywykłam. Odwzajemniam pocałunek, odpinając jednocześnie pas. Przesiadam się szybko na kolana Millera.

– Mmm – mruczy Miller i pomaga mi znaleźć wygodniejszą pozycję, podczas gdy nasze języki odnajdują pełną harmonię. Wlewa we mnie siłę potrzebną, by stawić czoło Williamowi, by wejść do Society.

– Chodź. Miejmy to już za sobą.

Wyrażając jękiem swój sprzeciw, staram się za wszelką cenę utrudnić Millerowi oderwanie się od moich ust i otworzenie drzwi. Udaje mu się to jednak i skinieniem głowy nakazuje mi wysiąść. Z głośnym pomrukiem niezadowolenia zsuwam się z jego kolan i jak na mój gust o wiele za szybko staję na chodniku. Staram się za wszelką cenę nie podnosić wzroku. Poprawiam sukienkę, przerzucam włosy przez ramię, a potem znów na przód i odbieram podaną mi torebkę. Powoli nabieram powietrza w płuca i w końcu znajduję w sobie siłę, aby spojrzeć na wznoszący się przede mną budynek.

Mam wrażenie, że wieloletnie cierpienie przenika z betonowej nawierzchni w moje ciało i zaczyna mnie dusić. Powietrze robi się gęste, oddychanie staje się prawdziwym wyzwaniem. Oczy mnie pieką na widok symbolu mojej brudnej przeszłości. Budynek wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam – duże jasne cegły, oryginalne witraże w oknach, gładkie, zaokrąglone betonowe stopnie

prowadzące do ogromnych podwójnych drzwi, które wpuszczą mnie do świata Williama. Frontonu strzeże lśniące ogrodzenie z czarnego metalu. Każdy pręt zakończony jest złotym szpicem, przez co całość wygląda wytwornie i bogato, ale zarazem groźnie. Na złotej tablicy przymocowanej do jednego ze słupów przy schodach widnieje wypisany dużymi, wypukłymi literami napis: SOCIETY. Wpatruję się pustym wzrokiem w drzwi, czując się dużo bardziej bezbronna niż kiedykolwiek wcześniej. To sam środek świata Williama. To tu wszystko się zaczęło, kiedy młoda kobieta wkroczyła odważnie w nieznane.

– Olivio?

Otrząsam się z zadumy i zerkam kątem oka na Millera, który mi się przygląda. Próbuje zamaskować swój lęk… ale mu nie wychodzi. Widać go w jego oczach, ale nie jestem pewna, czy jego niepokój wywołany jest miejscem, do którego przyszliśmy, czy moim wyraźnym przygnębieniem.

– Ostatnim razem, kiedy tu byłam, William pożegnał się ze mną na zawsze.

Miller zaciska usta i wygląda na równie przygnębionego co ja.

– Miałam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała oglądać tego miejsca.

Jego przygnębienie się nasila. Podchodzi do mnie i przytula. Jego ramiona to najlepsza kryjówka.

– Potrzebuję cię, Livy. Mam wrażenie, że nieustannie balansuję na skraju przepaści i że wystarczy jeden niewłaściwy ruch, a znów w nią wpadnę i pochłonie mnie ciemność. – Jego dłonie przesuwają się po moich plecach, by na koniec znaleźć się po obu stronach mojej głowy. Miller wyciąga mnie z mojej kryjówki i odszukuje moje spojrzenie. Nie podoba mi się defetyzm, który widzę w jego oczach.

– Błagam cię, daj nam szansę.

W odpowiedzi na jego prośbę zapala się światło, a ja nakazuję w myślach swojemu żałosnemu ja wziąć się w garść. Miller Hart nie jest słabym człowiekiem. Nie biorę jego wyznania za słabość. Bo nie jest słaby. To ja jestem słabością tego skomplikowanego człowieka. Ale jednocześnie siłą, bo beze mnie nigdy by nawet nie pomyślał o tym, by porzucić swoje upokarzające życie. Dałam mu powód i siłę, by to zrobić. Nie powinnam mu tego dodatkowo utrudniać. Mam za sobą dokładnie taką samą historię. Ale ona należy już do przeszłości. Historia Millera natomiast nie pozwala nam spojrzeć w przyszłość. Musimy to zmienić.

– Chodźmy – mówię spokojnie, ignorując swoje najgłębsze obawy. Wchodzę stanowczym, zdecydowanym krokiem po schodach i choć raz to ja prowadzę Millera. W pewnym momencie nie mogę jednak iść dalej, bo drogę zagradzają mi złowieszcze drzwi. Patrzę ze zdumieniem, jak Miller wyciąga rękę i wpisuje z pamięci kod. Co to, do cholery, znaczy?

– Znasz kod?

Miller przestępuje niespokojnie z nogi na nogę.

– Tak – potwierdza głuchym, ale kategorycznym głosem.

– Skąd? – pytam. Tym razem nie przyjmuję do wiadomości oznak, które zwykle w takiej sytuacji podpowiadają mi, że temat został wyczerpany. Nie został. William i Miller się nie znoszą. Nie ma powodu, żeby Miller znał kod, który daje mu dostęp do siedziby Williama.

Miller porzuca próbę usunięcia mnie z drogi i zaczyna otrzepywać sobie rękawy marynarki.

– Wpadłem tu kilka razy.

– Wpadłeś? – prycham. – A po co? Żeby zapalić cygaro i pożartować przy szklaneczce whisky?

– Nie musisz być niemiła, Olivio.

Kręcę głową, bo nie ma potrzeby wyprowadzać go z błędu ani pytać, jakie tematy poruszał podczas swoich wizyt. Mogę się założyć, że rozmowy były dość barwne. Moja cholerna ciekawość nie pozwala mi jednak zmilczeć.

– Po co? – Miller mruga powoli powiekami, jakby szukał w sobie cierpliwości. Zaciska mocno zęby.

– To prawda, że Anderson i ja nie pałamy do siebie miłością, ale jeśli chodzi o ciebie, doskonale się rozumiemy. – Miller przekrzywia wyczekująco głowę. – A teraz chodźmy.

Wykrzywiam z dezaprobatą dolną wargę, ale wypełniam jego polecenie, cała najeżona.

Okazały hol wejściowy Society zachwyca elegancją. Oryginalne drewniane posadzki są nadal co tydzień polerowane, a wnętrze, choć utrzymane w odcieniach beżu i złota, a nie głębokiej czerwieni i złota, wciąż jest bardzo wystawne. Bogate. Luksusowe. Olśniewające. Ale przepiękny wystrój wydaje się teraz jedynie zasłoną – czymś, co ma zwodzić ludzki wzrok i nie pozwalać dostrzec tego, co tak naprawdę symbolizuje ten budynek i co się tutaj odbywa. Oraz tego, kto bywa w tym ekskluzywnym lokalu.

Nie chcę już więcej witać się z otoczeniem. Ruszam, bo niestety wiem, jak trafić do gabinetu Williama. Miller łapie mnie jednak za ramię i odwraca twarzą do siebie.

– Do baru – rzuca cicho.

Znów ogarnia mnie irytacja. Bez powodu i zupełnie niepotrzebnie, ale nic nie mogę na to poradzić. Złości mnie, że znam to miejsce lepiej niż Miller.

– Do którego? – odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam. – Do Lounge Bar, Music Bar czy Mingle Bar? – Miller puszcza moje ramię i chowa ręce do kieszeni. Przygląda się mi uważnie, zastanawiając się najwyraźniej, czy w najbliższym czasie zamierzam pohamować swój niewyparzony język. Nie mogę tego zagwarantować. Mam wrażenie, że im dalej wchodzę, tym trudniej mi nad nim zapanować. Nagle zapominam o wszystkim, co powiedział mi na dworze Miller. Nic nie pamiętam. A powinnam.

– Do Lounge Bar – oznajmia spokojnie i wskazuje ręką w lewo. – Idź przodem. –

Miller przyjmuje bez zająknięcia wszystkie moje słowne zaczepki. Nie odgryza się. Jest spokojny, opanowany, w pełni świadomy poirytowania swojej słodkiej dziewczyny. Wciągam w płuca największy możliwy haust powietrza i nie wiedzieć jak, odnajduję w sobie odrobinę rozsądku i ruszam we wskazanym przez Millera kierunku.

W Lounge Bar jest tłoczno, ale cicho. Miejsce wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałam, w środku panuje spokój. Wszędzie rozstawione są pluszowe fotele, na których rozsiedli się mężczyźni w garniturach, każdy zaopatrzony w szklaneczkę z jakimś ciemnawym trunkiem. Światło jest przytłumione, rozmowy przyciszone. Pełna kultura. Dobre wychowanie. Miejsce jest całkowitym zaprzeczeniem podziemnego świata Williama. Moje zdenerwowane stopy przechodzą przez próg sali barowej. Czuję za sobą Millera, bo moje ciało zawsze reaguje tak samo na jego bliskość. Jestem podekscytowana, ale nie mogę rozkoszować się przyjemnym mrowieniem w ciele, bo przepiękne wnętrze, w którym się znalazłam, torturuje mój nieszczęsny umysł.

Idziemy do baru; kilka głów odwraca się w naszą stronę. Widać, że ludzie rozpoznają Millera, bo początkowe zaciekawienie ustępuje miejsca zdziwieniu. A może to mnie rozpoznają? Odsuwam od siebie tę niepokojącą myśl i szybko podchodzę do baru. Nie mogę tak myśleć. Nie wolno mi tak myśleć. Jeśli nie przestanę tak myśleć, rzucę się do ucieczki. A Miller mnie potrzebuje.

– Co podać?

Odwracam się do ubranego z nieskazitelną elegancją barmana i szybko składam zamówienie.

– Wino. Jakiekolwiek. – Przysiadam na jednym ze skórzanych stołków barowych i próbuję się za wszelką cenę uspokoić, odwołując się do swoich najgłębszych pokładów rozsądku. Alkohol. Alkohol mi pomoże. Barman potwierdza skinieniem głowy zamówienie i zaczyna nalewać mi wino, patrząc jednocześnie pytająco na Millera.

– Szkocką. Czystą – mruczy Miller. – Najlepszą, jaką macie. Podwójną.

– Mamy pięćdziesięcioletnią Chivas Regal Royal Salute. Najlepszą z najlepszych. – Barman wskazuje butelkę stojącą na szklanej półce za barem, a Miller wyraża pomrukiem swoją aprobatę, ale nie siada obok mnie, tylko staje przy moim boku i rozgląda się po sali, skinieniem głowy witając się z kilkoma zaciekawionymi osobami. Najlepszą, jaką mają. W Society nie płaci się za drinki. Są wliczone w horrendalnie wysoką składkę członkowską. Miller zapewne o tym wie. Chce w ten sposób coś zademonstrować. Pamięta, jak William zrobił bałagan w jego idealnie uporządkowanym barku, gdy nalewał sobie drinka. Chce się w ten sposób zemścić. Czy na tym polega „doskonałe rozumienie się”?

Barman stawia przede mną kieliszek białego wina, który podnoszę szybko do ust i biorę długi, solidny łyk. Za barem pojawia się nagle, nie wiadomo skąd, masywna

postać. Z kieliszkiem zawieszonym w powietrzu zerkam w prawo i patrzę na groźnie wyglądającego olbrzyma. Niebieskie oczy, tak jasne, że przypominają przezroczyste szkło, przeszywają ostrym jak sztylet wzrokiem zrelaksowane wnętrze baru. Sięgające ramion czarne włosy są zaczesane gładko do tyłu i zebrane w ciasny kucyk. Wszyscy zauważają pojawienie się mężczyzny, łącznie z Millerem, który najeżył się na jego widok tak, że nawet ja to wyczuwam. Pamiętam tego człowieka – nie byłabym w stanie go zapomnieć – mam jego imię na końcu języka. To prawa ręka Williama. Jest dobrze ubrany, ale szyty na miarę garnitur nie jest w stanie zamaskować złej energii, którą emanuje.

Poprawiam się na stołku i popijam nerwowo wino, starając się nie zwracać uwagi na olbrzyma. To jednak niewykonalne. Czuję, jak jego szklane oczy wwiercają się w moje ciało.

– Olivio – warczy olbrzym. Robię głęboki wdech, aby się uspokoić, Miller natomiast najeża się tak, że chyba zaraz postrada zmysły. Przyciska się do moich pleców i trzęsie się z wściekłości na całym ciele.

Nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Mogę tylko przełykać, wlewam więc w siebie szybko kolejne porcje wina.

– Carl – odzywa się cicho Miller, a ja od razu przypominam sobie nazwisko olbrzyma. Carl Keating. Jeden z najbardziej przerażających ludzi, jakich spotkałam w życiu. Ani trochę się nie zmienił – nie postarzał się… nie złagodniał.

– Nie spodziewaliśmy się was – mówi Carl. Wyjmuje barmanowi z ręki pusty kieliszek i kiwa rozkazująco głową. Nie musi nawet nic mówić, barman natychmiast się oddala.

– Wpadliśmy z niezapowiedzianą wizytą – odpowiada arogancko Miller.

Carl stawia na marmurowym blacie kieliszek, a potem odwraca się i ściąga z półki czarną butelkę opatrzoną misterną złotą etykietą.

– Dobry alkohol. – Carl unosi czarne brwi i wyciąga złotą zatyczkę z butelki. Poruszam się niepewnie na stołku i postanawiam zaryzykować, i zerknąć przez ramię na Millera. Boję się tego, co mogę zobaczyć. Stoicki wyraz twarzy i przeszywające Carla wściekłe spojrzenie niebieskich oczu w najmniejszym nawet stopniu mnie nie uspokajają.

– Wyłącznie najlepszy – odpowiada wyraźnym głosem Miller, nie dając się ani na moment zdekoncentrować.

Mrugam powoli oczami i wciągam cicho powietrze w płuca. Drżącymi dłońmi podnoszę znów kieliszek do ust. W ostatnim czasie życie nie szczędziło mi przykrych sytuacji, a obecna w niczym im nie ustępuje.

– Ulubieńcowi należy się wyłącznie to, co najlepsze, zgadza się? – Carl uśmiecha się pod nosem i nalewa niepełną szklaneczkę whisky.

Krztuszę się winem i odstawiam kieliszek, zanim go upuszczę. Carl pogrywa sobie niebezpiecznie i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Pierś Millera unosi się,

dudni, płonie przyciśnięta do moich pleców, sygnalizując wyraźnie, że Miller lada chwila straci nad sobą panowanie.

Carl podaje Millerowi szklankę, ale nie stawia jej na kontuarze, tylko przytrzymuje w powietrzu i kołysze nią lekko… droczy się. Wykrzywiam twarz i podskakuję, gdy Miller wyrzuca przed siebie gwałtownie rękę i wyrywa Carlowi szklankę, wywołując na twarzy potwora paskudny uśmiech. Drażnienie Millera sprawia temu wynaturzonemu mężczyźnie przyjemność, co zaczyna działać mi na nerwy. Miller opróżnia kieliszek jednym haustem, po czym odkłada z impetem szkło i oblizuje powoli usta, na których wykwita lekki uśmieszek. Ani na moment nie spuszcza Carla z oczu. Iskrząca między dwoma mężczyznami wrogość przyprawia mnie o zawrót głowy.

– Pan Anderson prosi do swojego gabinetu. Wkrótce do was dołączy.

Zanim słowa Carla w pełni do mnie docierają, Miller łapie mnie za kark, stawia na nogi i wyprowadza z baru, nie dając mi dopić tak bardzo potrzebnego wina. Miller cały się gotuje z wściekłości. Już sama obecność w tym miejscu mnie stresuje, a wszystkie te negatywne emocje wcale nie ułatwiają mi sprawy. Stukanie kosztownych butów Millera o wypolerowaną posadzkę niesie się echem w mojej głowie; mam wrażenie, że korytarz połyka nas, zaciskając się wokół.

Nagle moim oczom ukazują się drzwi – te same, do których szłam chwiejnym krokiem ostatnim razem, gdy je widziałam. Misternie zdobiona klamka zdaje się rosnąć na moich oczach, zapraszając do środka i wskazując mi drogę. Światła na ścianie przygasają, im bardziej posuwamy się naprzód. Ciche rozmowy dobiegające z ekskluzywnego klubu zamieniają się w przytłumiony, niewyraźny szmer za moimi plecami. Mój nieszczęsny umysł zostaje zalany niepohamowaną falą bolesnych wspomnień.

Wbijam wzrok w klamkę. Miller wyciąga rękę jak w zwolnionym tempie, naciska na klamkę i otwiera drzwi. Stanowczym ruchem wpycha mnie do środka. Nigdy nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zobaczę ten pokój, ale nie mam czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo słyszę dźwięk zamykanych drzwi, a zaraz potem ktoś okręca mnie i przytrzymuje mocno za ramiona. Zaskoczona, wydaję z siebie głuchy okrzyk i cofam się zszokowana. Pocałunek Millera jest wygłodniały i natarczywy, ale przyjmuję go, ciesząc się, że dzięki temu nie będę musiała patrzeć na to, co mnie otacza.

Nasze usta nacierają na siebie raz za razem i pochłaniamy się nawzajem. Miller przesuwa się wargami na moją szyję, policzek, ramię, a potem znów wraca do ust.

– Chcę cię tu i teraz – mruczy. Rusza naprzód, zmuszając mnie do cofania się. W końcu natrafiam tyłem nóg na twarde drewno. – Chcę się z tobą pieprzyć tu i teraz, chcę słyszeć, jak krzyczysz z rozkoszy, i chcę, żebyś zacisnęła się na moim pulsującym fiucie. – Podnosi mnie i sadza na stojącym z tyłu biurku. Naciera znów na moje usta i podciąga mi sukienkę. Wiem, co zamierza. I wcale mi to nie przeszkadza. W ten sposób odzyskam siły.

– Zrób to – szepczę, wyciągając rękę i ciągnąc go za włosy. Miller mruczy prosto w moje usta, rozpina pasek i rozporek, a potem odciąga na bok moje majtki. Przerywamy pocałunek, a mój wzrok pada na krocze Millera. Jego członek drga niecierpliwie, błagając o uwagę.

– Przysuń się bliżej – instruuje ochrypłym głosem Miller. Przekłada wolną rękę na mój tyłek i przyciąga mnie niecierpliwie, patrząc jednocześnie na swój twardy członek i gładząc go powoli drugą ręką. – Chodź do mnie, słodka dziewczyno.

Podpieram się z tyłu rękami i staram się nie odwracać wzroku od idealnej twarzy Millera – staram się zapomnieć o tym, gdzie jesteśmy. Wilgotna główka jego członka ślizga się po moim sromie, sprawiając, że wciągam z sykiem powietrze i cała się spinam. Utrzymanie powiek w górze wymaga ode mnie ogromnej siły i niemal mnie wykańcza. Miller zatacza koniuszkiem członka boleśnie powolne kręgi. Mimo wcześniejszego pośpiechu teraz znów jak zwykle się ze mną droczy.

– Miller! – Zaciskam za plecami pięści i zgrzytam zębami.

– Chcesz poczuć mnie w środku, Olivio? – Miller odrywa wzrok od swojego krocza i zerka na moją zarumienioną twarz, drażniąc mój otwór. – Chcesz?

– Tak. – Zaplatam mu nogi w pasie i posługując się nimi jak dźwignią, przyciągam go bliżej siebie. – Tak! – krztuszę się, bo gwałtowna, głęboka penetracja odbiera mi dech.

– Cholera! Livy! – Miller wycofuje się powoli, patrząc na członek wysuwający się z mojej pochwy. Drży mu broda. Podnosi głowę i patrzy na mnie znieruchomiały. Jego niebieskie oczy wyraźnie ciemnieją, a dłonie zaciskają się mocniej na moich udach… przygotowują się. Czekam na tę chwilę, wpatrując się w zdeterminowane oczy, które są coraz bliżej i bliżej, aż w końcu odziany w marynarkę tors nachyla się nade mną, a nasze nosy niemal się stykają. Ale Miller nadal tkwi spokojny u moich bram, zanurzając we mnie tylko sam koniuszek członka. Nie ruszam się. Zastygam w bezruchu i cierpliwie poddaję się jego oględzinom, owiewając ciężkim oddechem jego twarz, rozpaczliwie pragnąc się poruszyć, ale równie rozpaczliwie pragnąc poddać się Millerowi, bo dobrze wiem, czego potrzebuje.

Teraz.

Tutaj.

Mnie.

Nasze spojrzenia przywarły do siebie. Nic nas nie rozdzieli. Nawet kiedy Miller pokonuje ostatnią dzielącą nas przestrzeń i całuje mnie czule, nie tracę z oczu jego niebieskich tęczówek. Moje oczy, podobnie jak oczy Millera, są szeroko otwarte. Jego pocałunek jest krótki, ale przepełniony miłością. Przepełniony uwielbieniem.

– Kocham cię – szepcze Miller. Prostuje się, ale w dalszym ciągu nie odrywa ode mnie wzroku.

Uśmiecham się i podpierając się na jednej ręce, wyciągam drugą przed siebie. Muskam koniuszkami palców pokryty zarostem policzek, natomiast Miller w

dalszym ciągu wpatruje się z napięciem w moją twarz.

– Połóż rękę z powrotem na biurku. – Polecenie zostaje wydane cicho, ale stanowczo, a ja niezwłocznie je wypełniam. Wiem, co zamierza. Widzę to pod powierzchnią jego czułego spojrzenia. Widzę jego rozpaczliwe pożądanie.

Miller robi głęboki wdech, a jego klatka piersiowa napina mocno materiał marynarki.

Ja też wciągam powietrze i wstrzymuję je w płucach, przygotowując się i zachęcając w myślach Millera do działania.

Miller prostuje swoje piękne, pełne usta i kręci lekko głową w zachwycie.

– Tak bardzo cię kocham.

Mówiąc to, wbija się we mnie z gardłowym okrzykiem.

Z moich ust wydobywa się wrzask, a z płuc uchodzi całe wstrzymywane powietrze.

– Miller!

Miller zamiera przy mnie. Trzyma nas mocno w objęciach i wypełnia mnie po same brzegi. Wystarczyło jedno potężne pchnięcie, żebyśmy oboje zaczęli łapać z trudem oddech. A ponieważ czeka nas dużo więcej, uzupełniam braki powietrza i wykorzystuję kilka sekund, które daje mi Miller, aby przygotować się na dalsze natarcie, czując, jak jego członek porusza się we mnie i drga.

Atak przychodzi szybciej, niż się spodziewałam. Najpierw przez kilka sekund przeżywam prawdziwą mękę, bo Miller wysuwa się ze mnie powoli, ale potem idzie na całość. Jest bezlitosny. Nasze ciała nacierają na siebie nieprzerwanie, produkując najcudowniejsze dźwięki i doznania – po obszernym gabinecie niosą się krzyki odurzającej ekstazy, świadomość naszego zjednoczenia pozwala mi dotrzeć poza granice rozkoszy. Wszystkie moje myśli pierzchają i koncentruję się już tylko na brutalnej sile Millera. Wiem, że zostaną mi siniaki, ale jakoś się tym nie przejmuję.

Chcę, żeby robił to mocniej. Szybciej. Chcę więcej. Więcej Millera. Zaciskam pięści na jego marynarce i przytrzymuję się go z całych sił. Zaraz potem przyciskam usta do jego warg i nacieram na jego język. Musi wiedzieć, że nic mi nie jest. Chce mnie pieprzyć, ale jednocześnie mnie uwielbia. Pragnie tego, dzięki czemu my to my. Dotyku. Czułości. Miłości.

– Mocniej! – krzyczę mu w usta, żeby wiedział, że mi to odpowiada. Że mi się to podoba. Wszystko: jego siła, jego bezwzględność, sposób, w jaki mnie zawłaszcza, miejsce, w którym to robimy…

– Słodki Jezu, Livy. – Miller wędruje wargami na moją szyję, którą zaczyna kąsać i ssać. Odchylam głowę do tyłu i łapię go za barki, Miller natomiast nie odpuszcza… ani… na… chwilę. Jego usta zaczynają poruszać się jeszcze szybciej. I jeszcze. A może nawet jeszcze. – Ja pierdolę!

– O Boże! – krzyczę, czując krew napływającą z wielką siłą do mojej cipki. – O Boże, o Boże, o Boże! Miller! – Dźwięki przestają docierać do mnie wyraźnie, czuję,

że mąci mi się w głowie, w końcu poddaję się i zamykam oczy, tracąc też wzrok. Teraz już tylko czuję. Bardzo intensywnie. – Szczytuję!

– Dobrze! Chcę to poczuć, słodka dziewczyno. – Miller odrywa twarz od mojej szyi i przysysa się do moich ust, wpychając niecierpliwie język do środka, gdy ich nie rozchylam. Jestem zbyt skupiona na nadchodzącym jak burza orgazmie. Na orgazmie, od którego mój świat zatrzęsie się w posadach.

Wpadam w panikę, gdy trafiam w miejsce, z którego nie ma już powrotu, a mimo to nie jestem w stanie dojść na szczyt. Cała się spinam. Sztywnieję w ramionach Millera i poruszam się tylko dlatego, że Miller przejął kontrolę nad naszymi ciałami. Naciera na mnie bez ustanku, przyciągając do siebie moje ciało, podczas gdy nasze usta przypuszczają na siebie brutalny atak. Ale nic z tego. Nie jestem w stanie dojść, więc daję ujście swojej frustracji.

– Mocniej, do cholery! – wrzeszczę zdesperowana. – Daj mi dojść! – Wyciągam rękę i szarpię go mocno za włosy. Miller ryczy i wbija się we mnie głębiej.

Ale nagle nieruchomieje. Czuję jeszcze większą wściekłość, gdy uśmiecha się do mnie z satysfakcją. Patrzy, jak dyszę ciężko, czuje, jak zaciskam się na nim od środka. Sam zaraz też eksploduje. Widzę to mimo bezczelnego zadowolenia w jego oczach. Nie jestem jednak pewna, czy jest taki zadowolony dlatego, że doprowadza mnie do obłędu, czy dlatego, że bierze mnie na biurku Williama.

Błysk potu na jego czole odwraca na chwilę moją uwagę… Ale nagle Miller odzywa się i zmusza mnie, bym znów spojrzała mu w oczy.

– Powiedz, że jestem twój – nakazuje cicho.

Serce zaczyna mi walić jeszcze mocniej.

– Jesteś mój – mówię ze stuprocentowym przekonaniem.

– Doprecyzuj.

Miller zawiesza mnie na granicy orgazmu. Trzyma nas mocno razem, a jego krocze przyciśnięte do mojej cipki to jedyna rzecz, która przytrzymuje mnie w miejscu.

– Należysz. Do. Mnie – wypowiadam każde słowo wyraźnie, zachwycona przebłyskiem szczęścia, które zajmuje miejsce zuchwałości. – Do mnie – powtarzam. – Nikt inny nie może cię pieścić, nie może cię dotykać… – Obejmuję jego policzki obiema dłońmi i przyciskam usta do jego warg, kąsając je lekko, a następnie liżąc pozostawiony ślad. – Ani cię kochać.

Z ust mojego dżentelmena na niepełny etat wydobywa się przeciągły jęk. Jęk szczęścia.

– Zgadza się – mruczy. – Połóż się, słodka dziewczyno.

Spełniam z chęcią jego żądanie. Puszczam jego twarz i opadam na plecy, nie odrywając od niego wzroku. Miller uśmiecha się tym swoim wspaniałym, olśniewającym uśmiechem, a następnie okrężnymi ruchami bioder wbija się we mnie głęboko i powoli, doprowadzając mnie natychmiast do ekstazy.

– Oooch – wzdycham i zamykam oczy. Zanurzam dłonie w swoich jasnych włosach i przytrzymuję głowę, którą kręcę z boku na bok.

– Zgadzam się – jęczy wstrząsany dreszczem Miller, a zaraz potem wycofuje się ze mnie pospiesznie i kładzie swój członek na moim brzuchu. Dopiero wtedy dociera do mnie, że nie założył prezerwatywy.

Miller ejakuluje na moim brzuchu, a jego członek pulsuje w spazmach rozkoszy. Przyglądamy się temu w milczeniu.

Nie muszę mówić tego, z czego oboje zdajemy sobie sprawę. Kiedy Miller wpychał mnie do gabinetu Williama, nie był w stanie myśleć o zabezpieczeniu. Myślał wyłącznie o tym, by oznaczyć swoją własność w gabinecie jednego ze swoich wrogów.

Perwersja? Owszem. Czy mi to przeszkadza? Nie.

Miller opuszcza się powoli na mnie i przygniata mnie swoim ciałem do biurka. Szuka swojego ulubionego miejsca na mojej szyi i muska je z czułością nosem.

– Przepraszam.

Niewyraźny uśmiech, który wypływa na moje usta, jest pewnie równie perwersyjny co irracjonalne postępowanie Millera.

– Nie…

Urywam w pół słowa, bo w gabinecie trzaskają drzwi. Miller unosi powoli głowę znad mojej szyi i patrzy na mnie z góry. Widząc wyrachowany uśmiech wypływający powoli na jego przepiękne usta, muszę aż zagryźć wargi, bo mam wielką ochotę odpowiedzieć tym samym.

Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

– Ty gnoju. – Głęboki głos Williama ocieka jadem. – Ty cholerny degeneracie.

Wytrzeszczam oczy, bo mimo niezdrowej satysfakcji, którą odczuwam, dociera do mnie w końcu cała potworność sytuacji. Miller jednak w dalszym ciągu uśmiecha się chytrze. Pochyla głowę i całuje mnie niewinnie.

– To była prawdziwa przyjemność, słodka dziewczyno. – Podnosi się i odwrócony plecami do Williama, zasłania mnie swoim ciałem i zapina spodnie. Uśmiecha się do mnie i wiem, że chce mi w ten sposób powiedzieć, abym się nie przejmowała. Poprawia mi majtki i obciąga sukienkę, i dobrze, bo jestem tak zestresowana, że pewnie nie byłabym w stanie doprowadzić się do porządku. Na koniec pomaga mi podnieść się z biurka i odsuwa się na bok, wystawiając mnie na gniew Williama, który wstrząsa jego potężną postacią.

Cholera, William ma mord w oczach.

Jego usta wykrzywiają się pogardliwie. Cały się trzęsie. Ja też zaczynam. Ale nie Miller. On ignoruje furię Williama, wysuwa spokojnie krzesło, odwraca mnie i sadza moje bezwładne ciało.

– Pani – mówi, a ja zaczynam się krztusić na tę arogancję. Życie mu chyba niemiłe. Na pewno.

Wpatruję się pustym wzrokiem przed siebie i zaczynam nerwowo okręcać diamentowy pierścionek na palcu. Kątem oka widzę, że Miller z przesadnym pietyzmem wygładza swój garnitur, po czym siada na krześle obok mnie. Zerkam na niego zdenerwowana. A on się uśmiecha. I puszcza do mnie oko! Puszcza do mnie oko, na co ja zakrywam sobie dłonią usta i parskam. Staram się pohamować śmiech i udawać, że dostałam napadu kaszlu. Co za strata energii. W tej sytuacji nie ma nic śmiesznego. Nie było, zanim Miller wziął mnie na biurku Williama, i zdecydowanie nie ma teraz. Znaleźliśmy się w naprawdę poważnych tarapatach. W dużo większych niż wcześniej.

Siedzę sztywno i uciszam się, słysząc zbliżające się kroki, Miller natomiast rozsiada się wygodnie, zakłada nogę na nogę i zsuwa dłonie wzdłuż podłokietników. William obchodzi biurko, a ja podążam za nim nieufnym wzrokiem. Atmosfera w gabinecie jest… nie do wytrzymania.

William zasiada powoli na swoim fotelu i nie odrywając wzroku od zblazowanego Millera, w końcu się odzywa. Jego słowa wprawiają mnie w osłupienie.

– Zmieniłaś fryzurę. – Odwraca się do mnie i przygląda się moim włosom, zmierzwionym zapewne po seksie. Moja twarz jest spocona, ciało nadal wibruje.

– Ścięłam włosy – odpowiadam. Czując jego pogardę, czuję też, że mam wielką ochotę pokazać pazurki.

– U fryzjera?

Poruszam się niespokojnie. Niedobrze. Ludzie ścinają zwykle włosy u fryzjera – to się rozumie samo przez się – zatem fakt, że William zadał to pytanie, nie wróży zbyt dobrze.

– Tak. – To nie jest kłamstwo. Naprawdę ścięłam włosy u fryzjera… dzień po tym, jak sama je skróciłam.

William składa dłonie na wysokości swoich ust i przygląda mi się. Wiercę się dalej nerwowo i unikam jego wzroku. W następnej jednak chwili William zwraca zimne spojrzenie na Millera i odzywa się do niego:

– Gdzie ty, kurwa, miałeś rozum? – W jego głosie pobrzmiewa zajadłość. Postanawiam zaryzykować i na niego spojrzeć, bo zastanawia mnie, czy jego pytanie dotyczy tego, co tu zastał, czy tego, co zapewne wie na temat wczorajszego zajścia w Ice.

Miller chrząka i strzepuje od niechcenia jakiś pyłek z ramienia. Manifestuje swoją obojętność i robi to w pełni świadomie. Chce rozdrażnić Williama i choć sama wielokrotnie robiłam to samo, to nie jestem pewna, czy to najlepszy moment. Ja się pohamowałam… z trudem. Miller też powinien powściągnąć swoją zuchwałość.

– Ona jest moja – odpowiada, patrząc na Williama. – Będę z nią robił to, co mi się żywnie podoba.

Cała się kulę, zdumiona totalnym egotyzmem Millera w tak delikatnym momencie. Sam przecież twierdził, że potrzebujemy pomocy Williama, dlaczego

więc teraz tak się zachowuje? Świetnie się dogadują? Akurat! Wiem, że Miller dziwnie dobiera słowa. Przywykłam do tego, ale tą odzywką chce ewidentnie jeszcze bardziej rozwścieczyć Williama, kiedy zaś zbieram się w końcu na odwagę i zerkam na byłego sutenera mojej matki, widzę, że cały aż gotuje się z wściekłości. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Millerowi się udało.

William zrywa się z krzesła i wali otwartymi dłońmi w stół. Nachyla się, wykrzywiając wściekle twarz.

– Jesteś o krok od tragedii, Hart! A ja angażuję się osobiście w tę popieprzoną sytuację, żeby do tego nie dopuścić!

Odsuwam się na krześle, chcąc znaleźć się jak najdalej od Williama – staram się na próżno schronić przed jego gwałtownym wybuchem. Z każdą chwilą sytuacja staje się coraz trudniejsza. Miller podnosi się powoli z krzesła i przybiera taką samą pozycję jak William. Zaraz rozpęta się piekło. Nie jestem głupia: spokojne, płynne ruchy Millera nie są oznaką opanowania. Drżąca broda i dzikie spojrzenie świadczą o czymś wręcz przeciwnym. Jestem sparaliżowana i bezużyteczna w obliczu starcia tych dwóch potężnych mężczyzn.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że nie tylko jestem w stanie pogruchotać wszystkie kości tym pasożytom, ale że to zrobię – szepcze Miller prosto w twarz Williama. Jego ramiona unoszą się rytmicznie… niemal spokojnie. – Niech pan nie ma złudzeń, nawet się nie będę zastanawiał i zrobię to z ogromną przyjemnością.

– Kurwa mać! – klnie William. Jednym szybkim ruchem łapie Millera za koszulę, tuż przy szyi, zaciskając mocno pięść i przyciągając do siebie jego twarz. Podrywam się zszokowana, ale nie każę im przestać. Nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Puszczaj – cedzi powoli Miller, dysząc z wściekłości. – Natychmiast.

Obaj mężczyźni zastygają na niemiłosiernie długą chwilę, ale w końcu William rzuca znów przekleństwem i odpycha Millera od siebie, po czym sam opada na krzesło, odchyla głowę i patrzy w sufit.

– Tym razem naprawdę spaprałeś sprawę, Hart. Siadaj, Olivio.

Moje pośladki szybko odnajdują znów siedzenie; nie chcę robić dodatkowych problemów. Odwracam się do Millera, który obciąga koszulę i poprawia supeł krawata, a potem sam też zajmuje miejsce. Ogarnia mnie głupia ulga, gdy wyciąga rękę i ściska mocno moją dłoń, chcąc w ten sposób mi przekazać, że wszystko w porządku. Że panuje nad sytuacją.

– Domyślam się, że chodzi o wczoraj.

William parska sarkastycznie i opuszcza głowę. Wodzi wzrokiem między mną a Millerem.

– A nie o to, że znaczyłeś w moim gabinecie to, co twoim zdaniem należy do ciebie, zgadza się?

– Co należy do mnie.

– Na litość boską! Dosyć tego! – wołam, przelewając swoją złość na Millera. – Dajcie wreszcie spokój! – Obaj mężczyźni cofają się na krzesłach, a na ich irytująco przystojnych twarzach maluje się zaskoczenie. – Mam dość tej głupiej demonstracji sił! – Wyrywam dłoń z uścisku Millera, ale on szybko znów ją chwyta i podsuwa do ust, składając na niej kilkakrotnie pocałunek.

– Przepraszam – mówi szczerze.

Kręcę głową i biorę głęboki wdech, po czym odwracam się do Williama, który przygląda się Millerowi uważnie, z namysłem.

– Myślałam, że pogodziłeś się z faktem, że nie da się nas rozdzielić – stwierdzam, zauważając, że Miller przestaje zasypywać pocałunkami grzbiet mojej dłoni. Po tym, jak William pomógł nam uciec z Londynu, byłam pewna, że nie będzie już stawał nam na drodze.

William wzdycha, a Miller kładzie sobie moją dłoń na kolanach.

– Ciągle ze sobą walczę w tej kwestii, Olivio. Potrafię rozpoznać miłość. Ale potrafię też rozpoznać katastrofę. Nie mam, kurwa, pojęcia, co w tej sytuacji zrobić, żeby było dobrze. – Chrząka i rzuca mi przepraszające spojrzenie. – Wybacz wulgarność.

Prycham sarkastycznie. Mam mu wybaczyć wulgarność?

– Co w takim razie robimy? – ciągnie William, zwracając się do Millera, zupełnie się nie przejmując zdumieniem na mojej twarzy.

No dobrze, miejmy to już za sobą. Też odwracam się do Millera, przez co on zaczyna wiercić się niespokojnie.

– W dalszym ciągu chcę z tym skończyć – oznajmia Miller, wyraźnie speszony uważnym spojrzeniem dwóch par oczu. W jego słowach pobrzmiewa jednak determinacja. Determinacja jest potrzebna. Choć dochodzę do wniosku, że ona sama nie wystarczy.

– Tak, to już ustaliliśmy. Ale spytam raz jeszcze: naprawdę uważasz, że pozwolą ci tak po prostu odejść? – Pytanie jest retoryczne. William nie oczekuje odpowiedzi. I jej nie dostaje. Mówi więc dalej: – Po co ją tam zabrałeś, Hart? Skoro wiedziałeś, że sytuacja jest bardzo delikatna?

Postanawiam się wtrącić. Pod wpływem tego pytania sztywnieją wszystkie obciążone poczuciem winy mięśnie w moim ciele. Nie mogę pozwolić, żeby Millerowi oberwało się i za to.

– Nie zabrał mnie – wyznaję cicho zawstydzona, czując, że Miller ściska mocniej moją rękę. – Miller był w Ice. Ja byłam w domu. Dostałam telefon z nieznanego numeru.

William marszczy brwi.

– Mów dalej.

Zbieram się na odwagę i zerkam kątem oka na Millera. Jego twarz wyraża czułość i miłość.

– Usłyszałam toczącą się rozmowę i nie spodobało mi się to, co usłyszałam. – Czekam na oczywiste pytanie, ale William zaskakuje mnie, mówiąc coś zupełnie innego.

– Sophia. – Zamyka oczy i wciąga ostrożnie powietrze. – Pokręcona Sophia Reinhoff. – Otwiera oczy i patrzy ostro na Millera. – A więc koniec z ukrywaniem twojego związku z Olivią.

– To nie wina Millera – sprzeciwiam się, pochylając się naprzód. – Wszystko przeze mnie. To ja poszłam do klubu. To ja wyprowadziłam Millera z równowagi.

– W jaki sposób?

Zamykam usta i znów prostuję się na krześle. Nie będzie zachwycony, gdy to usłyszy, tak jak Miller nie był zachwycony, gdy to zobaczył.

– Ja… – Czuję, jak pod wyczekującym spojrzeniem Williama zaczynają płonąć mi policzki. – Ja…

– Została rozpoznana – wtrąca się Miller i wiem, że robi to dlatego, że wini za to Williama.

– Miller…

– Nie, Olivio – przerywa mi i nachyla się lekko. – Została rozpoznana przez jednego z pańskich klientów.

Żal, jaki zalewa twarz Williama, budzi we mnie poczucie winy.

– Jakiś gnój chciał, żebym mu ją oddał, zaoferował, że się nią zaopiekuje. – Miller zaczyna się trząść, bo na samo to wspomnienie znów ogarnia go wściekłość. – Niech mi pan powie, panie Anderson, co by pan zrobił na moim miejscu?

– Zabiłbym go.

Aż się wzdrygam, słysząc krótką odpowiedź Williama, bo wiem z absolutną pewnością, że nie kłamie.

– No cóż, ja go oszczędziłem. – Miller siada znów wygodniej. – O tyle, o ile. Czy jestem przez to lepszym człowiekiem?

– Chyba tak – odpowiada William bez zastanowienia, najzupełniej szczerze. Z jakiegoś powodu mnie to nie dziwi.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. A teraz przejdźmy dalej. – Miller zmienia pozycję. – Odchodzę, zabieram ze sobą Cassie i zaraz panu powiem, jak zamierzam to zrobić.

William przygląda się mu przez chwilę z uwagą, po czym obaj odwracają się do mnie.

– Mam wyjść?

– Zaczekaj na mnie w barze – odpowiada chłodno Miller z miną, którą szybko zdążyłam poznać. To mina ucinająca wszelką dyskusję.

– Przyprowadziłeś mnie więc tu tylko po to, żeby mnie zerżnąć na jego biurku?

– Olivio! – upomina mnie William, odrywając na moment moje wściekłe spojrzenie od Millera. Piorunuje mnie wzrokiem i gdybym nie była w tej chwili tak

urażona, odszczeknęłabym mu się. Ale rozumiem, że na nic się tu nie przydam. Prawdę mówiąc, dotychczasowe wydarzenia wskazują raczej na to, że przynoszę więcej szkód niż pożytku, ale jestem zbyt wściekła… na wszystko. Wścieka mnie moja bezradność, wścieka mnie to, że wszystko psuję.

Wstaję cicho, odwracam się bez słowa i uciekam przed napiętą atmosferą, zamykając za sobą bezszelestnie drzwi. Idę jak ogłuszona korytarzem, kierując się do damskiej toalety. Staram się ignorować przy tym fakt, że doskonale znam drogę. Nie zwracam uwagi na rzucane mi po drodze zaciekawione spojrzenia mężczyzn, kobiet i obsługi. Nie jest to łatwe, ale udaje mi się, bo wiem, że te same spojrzenia mogą później wywołać o wiele większe poczucie bezsensu; to dodaje mi sił.

Po skorzystaniu z toalety, umyciu rąk i wpatrywaniu się przez całą wieczność pustym wzrokiem w swoje odbicie w lustrze wracam do Lounge Bar. Siadam na wysokim stołku i zamawiam szybko kieliszek wina – chcę skupić się na czymkolwiek, byle tylko nie myśleć o rozmowie toczącej się w gabinecie Williama.

– Szanowna pani. – Barman podsuwa mi z uśmiechem kieliszek.

– Dziękuję. – Biorę powolny łyk i rozglądam się po barze, zadowolona, że Carl zniknął. Rzut oka na telefon mówi mi, że dopiero południe. Mam wrażenie, że dzisiejszy ranek ciągnął się przez całe lata, ale myśl o tym, że za kilka godzin zobaczę się z babcią i zabiorę ją do domu, poprawia mi humor.

Spokojna atmosfera baru i wino sprawiają, że zaczynam się odprężać… Nagle jednak ogarnia mnie to uczucie – to, którego nie czułam od wyjazdu z Nowego Jorku. Mrowienie. Nieprzyjemne mrowienie na wysokości ramion i wrażenie, że włoski na karku stają mi dęba. Masuję się po karku i rozglądam na boki, ale nie zauważam niczego niepokojącego: pogrążeni w cichej rozmowie mężczyźni popijają ze szklaneczek swoje drinki, a na stołku obok mnie siedzi jakaś kobieta. Postanawiam zignorować mrowienie i biorę kolejny łyk wina.

Zbliża się barman. Mija mnie z uśmiechem i podchodzi do mojej sąsiadki.

– Proszę hendricksa – zamawia kobieta cichym, ochrypłym, ociekającym seksem głosem. Z tego, co pamiętam, tak brzmi większość kobiet Williama. Jakby uczęszczały na lekcje sztuki uwodzenia słowem, bo nawet zwykłe zamówienie przy barze ma erotyczny wydźwięk. Uśmiecham się do siebie mimo swoich wspomnień, sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że wiem, że ja nigdy nie mówiłam takim głosem.

Podnoszę kieliszek do ust i przyglądam się, jak barman nalewa gin i podaje go kobiecie, a potem odwracam się odrobinę, żeby mieć widok na wejście. Czekam, aż pojawią się w nim Miller i William. Kiedy przyjdą? W ogóle jeszcze żyją? Staram się nie zamartwiać, co okazuje się dość łatwe, gdy powracają do mnie wszystkie niepożądane doznania. Odwracam się powoli, odruchowo.

Moja sąsiadka siedzi przodem do mnie, w drobnej dłoni trzyma lekko kieliszek.

W dłoni takiej jak moje.

Moje serce wybucha nagle, zasypując mnie milionem wspomnień, które zaczynają unosić się wokół mnie jak opary. Wspomnienia są wyraźne. Aż nazbyt wyraźne.

– Skarbie – szepcze kobieta.

ciąg dalszy nastąpi…

W kwietniu 2015

Ta Noc

Tom 6 i ostatni

Finał

Podziękowania

Jakiś czas temu przelałam moją duszę na papier. Przeświadczenie, że nikt nie przeczyta mojej debiutanckiej powieści, Tego Mężczyzny, *wydaje się teraz trochę niemądre. Od chwili, gdy wkroczyłam na tę niesamowitą drogę, minęły dwa lata, i zagłębiliście się w lekturze mojej kolejnej powieści. Nie zamierzam podawać w wątpliwość wyroków bóstw przeznaczenia. Jeśli było mi pisane zabierać Was dzięki słowom w głąb mojej wyobraźni, będę to robić z przyjemnością do końca swoich dni. Wszystkim moim oddanym czytelnikom dziękuję za to, że pozwalacie mi siać zamęt w Waszych sercach. Jak zwykle jestem ogromnie wdzięczna wszystkim, którzy pracują za kulisami, a zwłaszcza mojej redaktor w wydawnictwie Grand Central, Leah. Ta książka okazała się dla mnie emocjonalnie wyczerpująca. Byłam wykończona, a Leah była przy mnie przez cały czas, pomagając mi kończyć opowieść o Livy i Millerze.*

Teraz Wy możecie się zatracić w świecie Millera Harta.

Do zobaczenia po drugiej stronie.

Jodi